

Budzanowska:
Na medal

Pisula i in.:
Zawitości awansowe

Szczepaniak i in.:
Wydawcy po nowemu

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 5/2020

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Zabójcza jasność Str. 62-63

Wydawcy z uczelni – retrospektywa subiektywna

Fotografie: Piotr Krybus, Piotr Kieraciński, Maciej Męczyński

Wydawnictwa szkół wyższych całkowicie zmieniły się przez ostatnie 30 lat, podobnie jak zmieniło się ich otoczenie i kultura edytorska w Polsce. Dawno już minęły czasy, gdy niektórzy rektorzy marzyli o stworzeniu polskiego Oxford University Press, podczas gdy inni przeciwnie – chcieli wyprowadzić wydawnictwa poza uniwersytety. Żadna z tych opcji się nie ziściła. O tym jakie dziś są wydawnictwa piszemy na stronach 24-30.

Wydawcy przetrwali na uczelniach, gdyż książka zawsze była ważna dla nauki i kształcenia akademickiego. Jako słabe ogniwo w uczelnianej hierarchii, wydawnictwa próbowały występować wspólnie. Stworzyły Stowarzyszenie Wydawców Szkół Wyższych, które ich organizuje i reprezentuje, a także organizuje coroczne konferencje wydawców.

Oficyny uczelniane skupiają się także wokół imprez wydawniczych. Najstarszą były Targi Książki Akademickiej Atena wraz z konkursem o tej samej nazwie. Potem zastąpiły je targi Academia, które są częścią Warszawskich Targów Książki. Z kolei na Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie funkcjonuje Salon Wydawców Akademickich z konkursem SWSW Gaudeamus i konkursem o nagrodę Targów w Krakowie S.A. Swoje nagrody SWSW wręcza także podczas Poznańskich Dni Książki Naukowej – to kolejna impreza skupiająca wydawców książki naukowej, dziś pod patronatem Międzynarodowych Targów Poznańskich, organizowana przez Wydawnictwo Naukowe UAM. Jedną z tych nagród nosi imię ks. Edwarda Pudelki, szefa Wydawnictwa KUL, współtwórcę i pierwszego prezesa SWSW. Przez lata Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej organizowała Wrocławskie Targi Książki Naukowej, także z towarzyszącym im konkursem. Przez kilka lat wydawcy organizowali Dni Polskiej Książki Naukowej za Granicą.

(p)



Statuetki konkursu WTKN w 2009 r.



Statuetka nagrody SWSW Gaudeamus



Puchar ministra nauki, Targi Książki w Krakowie 2009 r.

Konferencja Wydawców Szkół Wyższych 2012; pierwsza z prawej Aurelia Grejner, obecna prezes SWSW, dyrektor Wydawnictwa UWM.



Zarząd SWSW w 2009 r.: Henryk Podolski (UKSW), Grażyna Jarzyna (UKW) i Anna Zielińska-Krybus (UPP).



Red. Piotr Dobrołęcki odbiera dyplom członka honorowego SWSW, 2009.

Otwarcie 19. Poznańskich Dni Książki Naukowej.



Wręczenie nagrody Gaudeamus 2019.



Stoisko Wydawnictwa Uniwersytetu Zielonogórskiego na Wrocławskich Targach Książki Naukowej w 2011 r.

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
NCN w czasie pandemii – Zbigniew Błocki	7
Czarny łabędź zmienia świat – Alojzy Nowak	14
Awansowe zawiłości	
Dwa w jednym – Wojciech Piśula	15
W świecie równoległym – Dariusz Galasiński	15
W nowym opakowaniu – Piotr Stec	16
Struktury ograniczają wolność – Piotr M. Wojtulek, Radosław Kamiński, Katarzyna M. Jarzemska, Agnieszka Jastrzębska	17
Wolność wyobraźni i odpowiedzialność obserwatora – Jerzy Kociatkiewicz	19

ROZMOWA FORUM

Dydaktycy są dziś mistrzami świata – z dr Anną Budzanowską, podsekretarzem stanu w MNiSW, rozmawia Piotr Kieraciński	21
--	----

WYDAWCY PO NOWEMU

Wykaz stał się bodźcem do zmian – Jolanta Szczepaniak	24
Treści naukowe są dobrem publicznym – z Ewą Bluszcz, dyr. i red. nac. Wydawnictwa UŁ, rozmawia Grzegorz Filip	26
Jakość jest najważniejsza – Beata Jankowiak-Konik	28

ŻYCIE NAUKOWE

FNP Start 2020

100 najzdolniejszych młodych naukowców – materiał sponsorowany	39
---	----

Polemiki

Kilka istotnych okoliczności – Radosław Biskup	52
W obronie feudalnych „poetek badawczych” – Ewa Wótkiewicz	54
Odpowiedź na nieprawdziwe i przeinaczone treści – Tersea Borawska, Henryk Rietz	56
Sprostowanie – Zespół Prasowy UMK	57

Z laboratoriów

Globalna sieć komputerowa przed i po pandemii – Łukasz Świerczewski	59
--	----

Zgąśmy sztuczny księżyc! – Joanna Kosmalska	62
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Mistrzowie i nauczyciele w nauce – Zbigniew Drozdowicz	31
Epidemia nie zatrzymała Erasmusa – z dr. Pawłem Poszytkiem, dyr. gen. FRSE, rozmawia Piotr Kieraciński	34
Kształcimy ludzi – Tomasz Róg	36
Co wiemy o naszych studentach? – Piotr Miller, Kinga Kwiatkowska	43
Epidemia wpływa na pomoc materialną – Jacek Pakuła	45
Uczelnia po wirusie – Marcin Chałupka	48
Czytelnia czasopism	58

Publikuj lub giń

Redaktorzy i tłumacze – Marek Misiak	50
---	----

W stronę historii

Uniwersytet Stefana Batorego w Warszawie i Poznaniu. Cz. 2 – Anna Supruniuk, Mirosław Supruniuk	65
--	----

Rody uczone (257)

Obrębscy. Cz. 1 – Magdalena Bajer	69
--	----

Kartki z dziejów nauki w Polsce (226)

Krakowska blokada – Piotr Hübner	72
---	----

OKOLICE NAUKI

Nauka statystyki z Szyborską i Tokarczuk – Mirosław Szreder	74
Książki	76

FELIETONY

Refleksje z czasów zarazy – Henryk Grabowski	75
---	----

Szkiełko w oku

Co lekarz robi z milionem pacjentów – Piotr Müldner-Nieckowski	68
---	----

Na marginesach nauki

Humanistyczny plankton – Leszek Szaruga	80
--	----

Projekt okładki – Sławomir Makal



Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVII Nr 5 (318) Maj 2020

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. **Rada Patronacka 2017-2020:** prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Joanna Kosmalska, Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapi” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

„Forum Akademickie” jest dofinansowane ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na podstawie umowy 6/SOŃ/2019/21

Zmiany u strażaków

WARSZAWA Rektor-komendant Szkoły Głównej Służby Pożarniczej nadbryg. dr hab. inż. Paweł Kępka został odwołany ze stanowiska. Decyzję podjął minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński po zapoznaniu się z raportem z prac zespołu komendanta głównego Państwowej Straży Pożarnej wyjaśniającym przyczyny i okoliczności wystąpienia przypadków zakażenia koronawirusem SARS CoV-2 wśród skoszarowanych studentów SGSP. Ustalono, że w szkole został przyjęty niewłaściwy system zarządzania, co w efekcie doprowadziło do obniżenia dyscypliny wśród kadry i studentów. Wprowadzone ograniczenie wydawanych przepustek i udzielanych urlopów nie miało zastosowania w praktyce. Negatywnie oceniono też skuteczność działań izolacyjnych – studenci mający dolegliwości osobiście zgłaszali swoje objawy dzwoniąc do Inspekcji Sanitarnej, co było sprzeczne z procedurą postępowania Głównego Inspektora Sanitarnego MSWiA. Od 1 maja uczelnią kieruje mł. bryg. dr inż. Jarosław Chodorowski, dotychczasowy komendant powiatowy PSP w Kłodzku.

Nagroda dla historyka z UW

WARSZAWA/MONACHIUM Prof. Włodzimierz Borodziej z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymał międzynarodową nagrodę badawczą przyznaną przez Fundację Maxa Weбера przy Kolegium Historycznym w Monachium. Jej laureatami są naukowcy prowadzący międzynarodową działalność w ramach nauk humanistycznych i społecznych. Otrzymują 30 tys. euro oraz zaproszenie na pobyt badawczy w Monachium. Prof. Borodziej związany jest z Instytutem Historycznym UW. W latach 1999–2002 był prorektorem uczelni. Pracował również na Uniwersytecie Filipa w Marburgu oraz na Uniwersytecie im. Friedricha Schillera w Jenie. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się wokół najnowszej historii Polski, Niemiec i Europy Środkowo-Wschodniej.



Fot. UW

Otrzymują 30 tys. euro oraz zaproszenie na pobyt badawczy w Monachium. Prof. Borodziej związany jest z Instytutem Historycznym UW. W latach 1999–2002 był prorektorem uczelni. Pracował również na Uniwersytecie Filipa w Marburgu oraz na Uniwersytecie im. Friedricha Schillera w Jenie. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się wokół najnowszej historii Polski, Niemiec i Europy Środkowo-Wschodniej.

Pod nowym szyldem

KROSNO Z początkiem maja Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Stanisława Pigonia stała się Karpacką Państwową Uczelnią w Krośnie. Dołączyła tym samym do dziesięciu PWSZ-ów – w Sanoku, Tarnobrzegu, Oświęcimiu, Pile, Zamościu, Płocku, Skierniewicach, Włocławku, Ciechanowie i Nowym Targu – które zmieniły swoje nazwy w ub.r. Jak tłumaczą rektorzy, stoi za tym konieczność podkreślenia akademickiego charakteru PWSZ-ów, często mylnie utożsamianych ze szkołami branżowymi. Krośnieńska uczelnia została utworzona 15 czerwca 1999 roku. Kształciła wtedy w pięciu specjalnościach licencjackich. Obecnie oferta obejmuje 18 kierunków studiów pierwszego stopnia. W 2019 roku uruchomiono pierwsze studia magisterskie na kierunkach: inżynieria produkcji oraz zarządzanie. Strukturę uczelni tworzą trzy instytuty: Humanistyczny, Zdrowia i Gospodarki, Politechniczny. W KPU studiuje niemal 2,5 tys. osób.

Dwa w jednym

KRAKÓW Instytut Odlewnictwa oraz Instytut Zaawansowanych Technologii Wytwarzania – należące do Sieci Badawczej Łukasiewicz – od kwietnia funkcjonują pod jednym szyldem: Krakowskiego Instytutu Technologicznego. Jego siedziba mieści się przy ul. Zakopiańskiej 73. Pracuje w nim 205 osób. Dyrektorem jest dr inż. Marek Kwiecień. W strukturze funkcjonują cztery centra: Technologii Odlewania, Zaawansowanych Technologii Wytwarzania, Obróbki Materiałów oraz Badań Materiałowych. W Ł-KIT projektowane będą materiały na potrzeby elektromobilności, w tym ogniwa paliwowe. Naukowcy zajmą się technologiami druku 3D na bazie metali, tworzyw sztucznych oraz ceramiki. Powstaną też materiały kompozytowe i nanokompozytowe dla zastosowań spe-

cialnych. Rozwiązania z Ł-KIT trafią m.in. do przemysłu odlewniczego, narzędziowego, lotniczego, medycznego i kosmicznego. Projektowane będą także materiały oraz technologie dla energetyki wiatrowej offshore oraz krajowego sektora fotowoltaicznego.

Kryptografowie nagrodzeni

WARSZAWA Prof. Stefan Dziembowski z Uniwersytetu Warszawskiego oraz prof. Sebastian Faust z Politechniki w Darmstadt zostali laureatami Polsko-Niemieckiej Nagrody Naukowej Copernicus 2020. Za badania nad modelami zabezpieczania danych przed niepożądanym dostępem, matematycznymi podstawami kryptowalut i innymi zagadnieniami z zakresu kryptografii i bezpieczeństwa IT otrzymali po 100 tys. euro. Współpracują od dekady. Ich praca nad równoważnością tzw. modelu wycieku z szumami i modelu z losowym próbkowaniem znacząco przyczyniła się do poznania metod obrony przed tzw. atakami typu „side-channel”, które są uważane za jedno z największych zagrożeń dla praktycznych systemów bezpieczeństwa. Ostatnio stworzyli system „Perun”, który umożliwia wykonywanie aplikacji blockchainowych w czasie rzeczywistym. Pracują nad jego wdrożeniem w postaci projektu typu open source zintegrowanego z istniejącymi platformami blockchainowymi. Nagrodę po raz ósmy przyznały wspólnie Fundacja na rzecz Nauki Polskiej i niemiecka organizacja naukowa DFG.



Fot. Arch. prywatne



Fot. Karolin Binner

Zrównoważać rozwój

ŁÓDŹ Uniwersytet Łódzki jako pierwsza polska uczelnia została członkiem Sustainable Development Solutions Network. To założona w 2012 roku przy Organizacji Narodów Zjednoczonych prestiżowa sieć, która łączy liderów zrównoważonego rozwoju i najwyższej klasy pracowników naukowych z Unii Europejskiej w celu promowania praktycznych rozwiązań w tym obszarze. Głównym celem SDSN jest wspieranie UE w realizacji założeń tzw. Zielonego Ładu. SDSN ściśle współpracuje z agencjami ONZ, wielostronnymi instytucjami finansującymi, sektorem prywatnym i społeczeństwem obywatelskim. Z inicjatywą wejścia do sieci wyszli: prof. Rafał Matera, dziekan Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, i prof. Mariusz Sokołowicz, prodziekan ds. promocji i współpracy z zagranicą. Reprezentantem UŁ w radzie SDSN będzie prof. Jakub Kronenberg z WE-S.

Polscy prawnicy w CAfA

HAGA Dr hab. Piotr Stec, prof. UO, dziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego, dr Alicja Jagielska-Burdak z Katedry UNESCO Prawa Własności Kulturowej UO oraz Hoa Dessoulavy-Śliwińska, doktorantka Uniwersytetu SWPS, zostali arbitrami pierwszego międzynarodowego Sądu Arbitrażowego ds. Sztuki (Court of Arbitration for Art, CAfA). To jedyni prawnicy z Polski w nim zasiadający. Powstał w 2018 roku i ma stanowić stałe forum dla prowadzenia postępowań arbitrażowych i mediacji, które coraz częściej stosowane są w zakresie rozwiązywania sporów dotyczących dóbr kultury. Rekrutacja i ocena aplikacji kandydatów do bazy arbitrów i mediatorów CAfA trwała ponad rok.



Stop fałszowaniu leków

WARSZAWA Warszawski Uniwersytet Medyczny został oficjalnie przyjęty do globalnej organizacji Fight The Fakes, której działalność skupia się na podniesieniu świadomości na temat zagrożeń związanych z fał-

szowaniem leków. Założona w 2013 r. FTF zrzesza obecnie 40 organizacji partnerskich reprezentujących służbę zdrowia, pacjentów, hurtowników i szeroko rozumiany przemysł. Stołeczna uczelnia jest jedynym jej członkiem z obszaru Europy Środkowo-Wschodniej. Problematyką przestępczości farmaceutycznej na WUM zajmuje się Wydział Farmaceutyczny. W 2016 roku utworzono Zespół ds. Sfałszowanych Leków, a w ub.r. – Zakład Farmacji Kryminalistycznej, którym kieruje prof. Zbigniew Fijałek. Wydział współpracuje ze Szkołą Policji w Pile, Biurem Służby Kryminalnej Komendy Głównej Policji oraz Stowarzyszeniem „Stop Nielegalnym Farmaceutyką”, do którego należą pracownicy naukowo-dydaktyczni wydziału.

Liderki GOZ

WARSZAWA Justyna Bronowicka (na fot.), studentka Uniwersytetu Wrocławskiego, została zwyciężczynią konkursu Stena Circular Economy Award promującego ideę gospodarki o obiegu zamkniętym (GOZ). Doceniono jej „Sklep samozaopatrujący”, którego głównym celem jest upcykling starych ubrań oraz edukacja w zakresie ekologii. W nagrodę otrzymała laptop oraz grant w wysokości 10 tys. zł na realizację pomysłu. Zakłada on stworzenie miejsca, gdzie konsumenci mogą zostawić zużyte ubrania, poddawane następnie procesowi upcyklingu. Za ich naprawę i ponowne doprowadzenie do użytku



Fot. Arch. prywatne

będą odpowiedzialni seniorzy, chcący spędzić czas w pożyteczny i kreatywny sposób. Gotowe ubrania trafiają do osób potrzebujących oraz konsumentów, którzy zachodzą w środowisku informacji politycznej oraz towary. Wyróżniono pomysły studentek z Politechniki Łódzkiej (aplikacja do rozpoznawania odpadów) oraz Akademii Sztuki w Szczecinie (ekologiczne opakowanie na kanapki).

Rządy w erze turbulencji

HAGA Cztery polskie badaczki znalazły się w gronie partnerek 14 międzynarodowych konsorcjów wyłonionych w programie „Democratic governance in a turbulent age” sieci NORFACE. Zwycięskie projekty opiewają na 17,8 mln euro. Prof. Agnieszka Stępińska z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza przyjrzy się zmianom, jakie zachodzą w środowisku informacji politycznej oraz czynnikiem stanowiącym zagrożenie dla demokracji lub stwarzającym szansę na jej wzmocnienie. Prof. Barbara Błaszczuk z Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN zbada mechanizmy wykorzystywane przez „wykluczających populistów” do zwiększenia władzy poprzez podważanie rządów w obszarach prawa, gospodarki i mediów. Dr Marta Marchlewska z Instytutu Psychologii PAN przeprowadzi eksperymenty, które pomogą zrozumieć i przezwyciężyć procesy polaryzacyjne. Dr Agata Dziuban z Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego zajmie się obywatelstwem w kontekście europejskiej kryminalizacji. Sieć NORFACE tworzy 20 europejskich agencji (w Polsce Narodowe Centrum Nauki) finansujących badania w obszarze nauk społecznych i behawioralnych.

Wyróżniony dom na bagnach

BIAŁYSTOK Alicja Jaroszek i Justyna Laszczkowska, studentki Wydziału Architektury Politechniki Białostockiej, zdobyły wyróżnienie w VI konkursie „House in Forest 2020 – Wooden House”. Ich praca była jedyną z Polski docenioną przez jury. Uczestnicy mieli za zadanie wymyślić nową i oryginalną koncepcję drewnianego domu w środowisku leśnym. Dom z projektu „Suspended house” znajduje się w sercu starego lasu na terenach bagiennych. Opiera się na konstrukcji z drewna klejonego, zawieszanej na linach stalowych i podpartej na słupach. Co ciekawe, budynek zmienia się wraz ze zmianami wilgotności i pór roku. Kształtem przypomina drzewo, które idealnie pasuje do zastającego środowiska naturalnego. Każdy użytkownik domu ma zapewniony panoramiczny widok na



Fot. Autori

okoliczny krajobraz, a symbolizująca pień drzewa siatka wspinaczkowa zlokalizowana wewnątrz pozwala dotrzeć na wszystkie piętra budynku. Dostępność jest również zapewniona przez wysokie kładki zawieszane w koronach drzew.

Davidias dla kroatysty z UŚ

KATOWICE Prof. Leszek Małczak z Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego otrzymał doroczną nagrodę Davidias wręczaną tradycyjnie w Dniu Chorwackiej Książki. Za najlepsze studium zagranicznego kroatysty uznano jego publikację *Od przekładu ideologicznego do przekładu subwersyjnego. Chorwacko-polskie związki kulturalne w latach 1944–1989 (Od ideološkoga do subverzivnoga prijevoda: Hrvatsko-poljske kulturne veze od 1944 do 1989)*. Prof. Leszek Małczak od 2016 roku pełni funkcję kierownika Zakładu Teorii Literatury i Translacji Instytutu Filologii Słowiańskiej UŚ. Jest badaczem literatur południowosłowiańskich i tłumaczem. Zajmuje się przede wszystkim literaturą i kulturą chorwacką. Jego zainteresowania naukowe skupiają się wokół fenomenu regionalizmu, chorwacko-polskich kontaktów kulturalnych, komparatystyki literackiej i kulturowej oraz historii, teorii i praktyki przekładu.

Nagroda za nowy paradygmat

KRAKÓW Dr hab. Agnieszka Walecka-Rynduch z Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie została laureatką Nagrody im. dr. Karola Jakubowicza. Jej monografia *MediaEgo w MediaPolis. W stronę nowego paradygmatu komunikowania politycznego* jest pierwszym w literaturze polskiej opracowaniem poświęconym specyficznej przestrzeni współczesnej komunikacji bezpośredniej (MediaPolis), w której wyrasta nowy tożsamościowy typ polityka medialnego (MediaEgo). Krakowska badaczka została doceniona za śmiałość w dowodzeniu zaistnienia nowego paradygmatu, a także za wysoką jakość warsztatu metodologicznego. Autorów wybitnych publikacji naukowych, zajmujących się badaniami demokracji, praw człowieka, polityki medialnej, etyki dziennikarskiej i mediów publicznych od trzech lat honoruje Polskie Towarzystwo Komunikacji Społecznej.



Fot. Arch. prywatne

HCÉRES po raz pierwszy

ŁÓDŹ Politechnika Łódzka jako pierwsza polska uczelnia otrzymała certyfikat HCÉRES potwierdzający wysoką jakość kształcenia i badań. Proces akredytacji trwał dwa lata. W spotkaniach ze specjalistami z HCÉRES (Haut Conseil de l'évaluation de la recherche et de l'enseignement supérieur) uczestniczyło ponad 170 pracowników, studentów, absolwentów oraz partnerów uczelni. Wysoko oceniono bogatą ofertę kształcenia PŁ, dostosowaną do potrzeb rynku pracy, jak również działania uczelni w doskonaleniu programów nauczania. W raporcie końcowym zwrócono uwagę na szeroki zakres współpracy PŁ z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Dostrzeżono także bardzo dobrze rozwiniętą sieć międzynarodowej wymiany studentów, zaangażowanie społeczności akademickiej

w budowanie jakości kultury oraz świadomość zasad etyki zawodowej. Akredytacja została przyznana na 5 lat.

Na rzecz środowiska

WARSZAWA Prof. Grażyna Dąbrowska oraz dr Agnieszka Gajewicz-Skrętna zostały laureatkami I edycji Eko Plebiscytu Lirene „Kobieta.



Fot. Andrzej Romański



Fot. L'Oréal

Innowacja. Natura”. Obie otrzymały po 10 tys. zł. Najlepsze spośród prawie 200 proekologicznych inicjatyw wyłonili internauci, oddając prawie 12 tys. głosów. Prof. Grażyna Dąbrowska z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu jest biologiem molekularnym i autorką dwóch preparatów: PETout, przyspieszającego rozkład tworzyw sztucznych, oraz Biologicznego Stymulatora Płonowania, zwiększającego wydajność upraw i ich odporność na patogeny przy ograniczonej chemizacji rolnictwa. Z kolei dr Agnieszka Gajewicz-Skrętna, adiunkt na Wydziale Chemii Uniwersytetu Gdańskiego, koncentruje się na rozwoju metod komputerowych wspierających ocenę ryzyka chemicznego stwarzanego przez nowe oraz już obecne w środowisku substancje chemiczne (o jej badaniach pisaaliśmy w kwietniowym FA).

Doradzą w sprawie klimatu

WARSZAWA Prof. Jerzy Duszyński, prezes PAN, powołał interdyscyplinarny Zespół doradczy do spraw kryzysu klimatycznego. Na czele 16-osobowego gremium stanął prof. Szymon Malinowski z Instytutu Geofizyki na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Członkowie, również przy udziale innych ekspertów, będą prezentować stanowisko nauki w sprawie konieczności podjęcia natychmiastowych działań w celu ograniczenia zmian klimatu i jego skutków oraz stworzenia ambitnej polityki klimatycznej Polski. Zadeklarowano również wsparcie merytoryczne przy opracowaniu rządowego planu działania dla skutecznej i kontrolowanej gospodarczo oraz społecznie redukcji emisji gazów cieplarnianych, a także zarządzania kryzysem i procesem transformacji w kierunku gospodarki zeroemisyjnej. Zgodnie z założeniami oenztowskiego Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC) celem do roku 2030 powinno być ograniczenie emisji o 45% względem roku 2010 i jej całkowita redukcja do roku 2050. Zakończenie prac Zespołu zaplanowano na koniec 2022 roku.

Bolid na wodór

KRAKÓW Studenci z Koła Naukowego Konstruktorów MechanikiCAD działającego na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Robotyki Akademii Górniczo-Hutniczej skonstruowali bolid zasilany ogniwem wodorowym. Przy 320 cm długości i 75 cm szerokości pojazd Hydrive 1 waży tylko ok. 30 kg. Efekt taki udało się osiągnąć dzięki pokryciu karoserii laminatem na bazie włókien węglowych. W połączeniu z opływowym kształtem karoserii zapewnia to minimalną siłę oporu powietrza, dzięki czemu bolid może



Fot. KNN MechanCAD

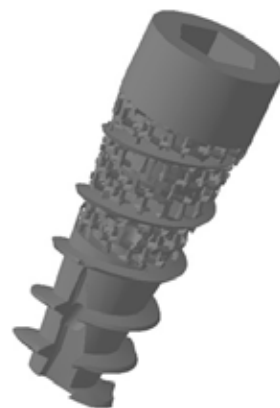
rozвивać większe prędkości przy mniejszym zużyciu paliwa. Maksymalna zakładana prędkość to 41 km/h. Auto ma budowę modułową. Kierownicę wykonano w technice druku 3D. Oryginalny jest również pomysł silnika indukcyjnego, który wyróżnia się zdolnością hamowania rekuperacyjnego – podczas zwalniania maszyna nie traci zgromadzonej energii, lecz przekształca ją w energię elektryczną. W przyszłym roku wystartuje w Shell Eco-marathon.

Algorytm antysmogowy

ŁÓDŹ Naukowcy z Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości rozpoczęli prace nad algorytmem, dzięki któremu będzie można się dowiedzieć, jak skutecznie rozmieszczać urządzenia do pomiaru czystości powietrza i jak przewidywać z precyzyjną dokładnością mechanizmy rozprzestrzeniania się smogu na obszarze Łodzi. Do ustalenia potrzebnej do właściwego pomiaru liczby sensorów i ich rozmieszczenia wykorzystają sztuczną inteligencję i tzw. uczenie maszynowe. Uwzględnią m.in. warunki topograficzne, urbanistykę, korytarze powietrza. Prototypowa instalacja pozwoli śledzić aktualną jakość powietrza, w tym obecność najbardziej groźnych dla zdrowia związków, czyli pyłu drobnego ($PM_{2.5}$ i PM_{10}), ozonu w warstwie przyziemnej, dwutlenku azotu i dwutlenku siarki. Wartość przedsięwzięcia, realizowanego wraz z firmą InConTech z Białegostoku, wynosi blisko 2 mln zł. Uczelnia otrzyma z tej puli 326 250 zł.

Nowatorskie implanty

WARSZAWA Naukowcy z Wydziału Inżynierii Materiałowej Politechniki Warszawskiej pracują nad technologią wytwarzania za pomocą druku 3D nowatorskich bioaktywnych implantów stomatologicznych. Będą się wyróżniać możliwością aplikacji czynników biologicznie aktywnych bezpośrednio do otaczających tkanek miękkich oraz tkanki kostnej w celu poprawy procesu leczenia. Porowatość otwarta wprowadzona do konstrukcji implantów umożliwi uniknięcie problemów występujących w obecnie stosowanych rozwiązaniach. Obniży ona moduł Younga (wielkość określająca sprężystość materiału przy rozciąganiu i ściskaniu), co pozwoli uniknąć tzw. efektu ekranowania naprężeń wywołującego resorpcję kości wokół implantu. Poprawi też osteointegrację implantu dzięki przetrzaniu jego części porowatej tkanką kostną, co wpłynie na lepszą stabilizację. Dodatkowo systemem innowacyjnych kanałów wewnętrznych środki biologicznie aktywne będą dostarczane do chorej tkanki na każdym etapie leczenia. To rozwiązanie dotąd niespotykane w implantach.



Fot. PW

GRIEG rozstrzygnięty

WARSZAWA Do konkursu złożono 305 wniosków, z których do finansowania eksperci skierowali 28 projektów, w większości z zakresu nauk ścisłych i technicznych (12). Polsko-norweskie zespoły badawcze otrzymają w sumie ponad 156 mln zł. Aż 85% tej sumy to środki Norweskiego Mechanizmu Finansowego na lata 2014–2021, a 15% to współfinansowanie krajowe (Narodowe Centrum Nauki). Najwyżej wyceniono projekt prof. Tomasza Lipniackiego z Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN (prawie 6,4 mln zł), który z partnerami z SINTEF MiNaLab w Oslo zajmie się analizą interakcji komórek „Naturalnych Zabójców” z zakażonymi rakowymi komórkami nabłonka płuc. Naukowcy chcą poznać rolę komórek NK w eliminacji bądź tłumieniu postępów infekcji wirusowych oraz ich znaczenie w terapiach immunoonkologicznych. Wyniki pozwolą na rozwój technik mikrofluidycznych w badaniach biomedycznych.

Nowa siedziba dla medyków

WARSZAWA Studenci medycyny na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w przyszłym roku rozpoczną zajęcia w nowym Collegium Medicum. Budynek o powierzchni ponad 3,8 tys. m² będzie mieścił sale dydaktyczne oraz specjalistyczne laboratoria, a także pomieszczenia do



Fot. GWT

symulacji medycznych. Obiekt ma mieć cztery kondygnacje, w tym jedną podziemną, oraz możliwość nadbudowy kolejnych. Dzięki prostej i nowoczesnej bryle, a także elewacji w stonowanej gamie kolorystycznej, harmonijnie wpisze się w krajobraz otoczenia kampusu przy ul. Wóycickiego 1/3. W gmachu zainstalowane zostaną zaawansowane systemy audiowizualne, a rozbudowana instalacja fotowoltaiczna ograniczy jego zapotrzebowanie na energię. Inwestycję zrealizuje firma Skanska SA, która wcześniej odpowiadała za powstanie Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych UKSW. Planowany termin ukończenia to przełom III i IV kwartału 2021 roku.

Na rok za Atlanty

WARSZAWA Polsko-Amerykańska Komisja Fulbrighta wyłoniła laureatów Programu BioLAB. Na roczny staż do jednego z renomowanych ośrodków badawczych w Stanach Zjednoczonych: Oklahoma Medical Research Foundation, University of Chicago, University of Texas, Southwestern Medical oraz Center University of Virginia, wyjedzie 43 studentów z 15 szkół wyższych. Najwięcej z Uniwersytetu Warszawskiego (11), Uniwersytetu Jagiellońskiego (6) i Uniwersytetu Wrocławskiego (6). Program BioLAB przeznaczony jest dla studentów studiów magisterskich i doktoranckich kierunków biologiczno-chemicznych oraz medycznych. Podczas stażu studenci dołączają do zespołów badawczych prowadzących projekty z takich dziedzin, jak neurologia, krytalografia, wirusologia czy genetyka molekularna. Biorą też aktywny udział w życiu amerykańskiej uczelni, uczestnicząc w seminariach, wykładach gościnnych oraz poznając tamtejszą kulturę.

Nowa dyrektorka NAWA

WARSZAWA Minister nauki i szkolnictwa wyższego Wojciech Murdzek powołał dr Grażynę Żebrowską na stanowisko dyrektorki Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Od lipca ub.r. kierowała ona Departamentem Współpracy Międzynarodowej w MNiSW. Z wykształcenia jest fizykiem. Uzyskała podwójny doktorat z zastosowań nauk fizycznych w medycynie na Université de Rennes 1 (Francja) i na Uniwersytecie Gdańskim. W latach 2003–2019 pracowała w Ambasadzie RP w Waszyngtonie.



Fot. NAWA

Jako doradca ds. nauki, technologii i szkolnictwa wyższego inicjowała i ułatwiała współpracę między polskimi i amerykańskimi partnerami. Do jej głównych obowiązków należała promocja polskich uniwersytetów i ośrodków badawczych wśród amerykańskich studentów i naukowców. Fotel dyrektorki NAWA był wolny po tym, jak w marcu dymisję złożył Łukasz Wojdyga. Od 1 kwietnia funkcję p.o. dyrektorki pełniła Agnieszka Stefaniak-Hrycko.

Oskar dla „Pisma Folkowego”

LUBLIN „Pismo Folkowe”, wydawane przez Akademickie Centrum Kultury UMCS „Chatka Żaka” i Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie we współpracy ze Stowarzyszeniem Animatorów Ruchu Folkowego, otrzymało honorową Nagrodę im. Oskara Kolberga. To najbardziej prestiżowe wyróżnienie dla osób i instytucji zajmujących się propagowaniem folkloru, przyznawane od 1974 roku. „Pismo Folkowe” ukazuje się nieprzerwanie od 1996 roku (do roku 2014 jako Pismo Folkowe „Gadki z Chatki”). Jego idea zrodziła się w środowisku młodych entuzjastów tradycji skupionym wokół Orkiestry św. Mikołaja. Do końca ub.r. wydano 145 numerów. Przez 24 lata działalności stało się platformą wymiany wiedzy, doświadczeń, wydarzeń i pasji odbiorców zainteresowanych zagadnieniami z zakresu etnologii i etnomuzykologii, kulturoznawstwa i antropologii kultury. Red. naczelną jest obecnie dr Agata Kusto, etnomuzykolog z Instytutu Nauk o Kulturze i Instytutu Muzyki UMCS.



W dwóch dyscyplinach

KALISZ Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego jako jedyna spośród szkół tego typu ma prawo nadawania stopnia doktora już w dwóch dyscyplinach. Po tym, jak przed rokiem otrzymała uprawnienia w dyscyplinie nauki medycznej, teraz doszło kolejne – nauki o bezpieczeństwie. Początkowo Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów wydała decyzję odmowną. Jednym z argumentów był brak opinii Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Zmiana nastąpiła po złożeniu odwołania przez rektora prof. Andrzeja Wojtyłę i uzupełnieniu dokumentów. Dodatkowo przesłano opinię prawną Biura Analiz Sejmowych, która jednoznacznie wskazuje, że brak oceny parametrycznej nie stanowi przeszkody, by uczelnia posiadała uprawnienia do nadawania stopnia naukowego.

Doskonalwsze płetwy

KATOWICE Naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego, Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach i Krakowie oraz Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy zaprojektowali udoskonalone płetwy do pływania. Wykonali je ze specjalnego materiału przyjaznego dla skóry człowieka, o dodatkowych właściwościach przeciwbakteryjnych i przeciwwgrzybiczych. Są lżejsze, nieco krótsze i jednocześnie szersze od standardowych, co sprawia, że nie obciążają aż tak bardzo stawu kolanowego. Z wynalazku będą mogli korzystać nie tylko profesjonalni pływacy i nurkowie, lecz również osoby uczące się oraz ci, którzy wykorzystują płetwy do rehabilitacji w wodzie.



Źródło:

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Ewa Chojnacka, Izabela Koptoń-Ryniec, Anna Korzekwa-Józefowicz, Anna Lisicka, Jacek Szymik-Kozaczko, Paweł Spiechowicz, Jolanta Świążkowska, Dominika Wojtyśiak-Łańska, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Kim jest nowy minister

Wojciech Murdzek został powołany przez prezydenta Andrzeja Dudę na stanowisko ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Zastąpił Jarosława Gowina, który na początku kwietnia podał się do dymisji.

Nowy szef resortu jest z wykształcenia inżynierem elektronikiem. Urodził się 13 grudnia 1957 r. w Świdnicy. W 1981 r. ukończył studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Wrocławskiej, a w 1988 r. na tej samej uczelni – studia podyplomowe na kierunku projektowanie systemów mikroprocesorowych. Jest też absolwentem studiów podyplomowych na kierunku New Public Management w Międzynarodowej Wyższej Szkole Logistyki i Transportu we Wrocławiu.

W latach 1981–1992 był konstruktorem w Zakładach Elektrotechniki Motoryzacyjnej w Świdnicy. Między 1990 a 1998 r. zasiadał w Radzie Miejskiej w Świdnicy, najpierw jako radny, a później wiceprzewodniczący. W latach 1999–2002 był starostą powiatu świdnickiego, a od 2002 do 2014 r. przez trzy kadencje sprawował urząd prezydenta Świdnicy. W latach 2014–2015 był radnym Rady Powiatu Świdnickiego.



Jest działaczem partii Porozumienie. W październiku 2019 roku został wybrany do Sejmu IX kadencji z listy PiS w Wałbrzychu. Wcześniej przez cztery lata zasiadał w Sejmie VIII kadencji. Przewodniczył sejmowej nadzwyczajnej komisji ds. deregulacji. Był również członkiem sejmowych komisji: gospodarki i rozwoju, finansów publicznych oraz tzw. komisji śledczej ds. VAT. Jako parlamentarzysta pracował nad „ustawami o innowacyjności”, określającymi warunki prowadzenia i poprawiającymi otoczenie prawne działalności innowacyjnej. Od 5 grudnia 2019 r. pełnił funkcję sekretarza stanu w Ministerstwie Rozwoju. Zasiadał w Radzie Sieci Badawczej Łukasiewicz.

Aktywnie angażuje się w działalność społeczną, m.in. w Fundacji Pomocy Biednym Dzieciom „Ut unum sint” (od 1990 r. jest prezesem). Wspiera też Towarzystwo im. św. Brata Alberta. Jest wieloletnim przewodniczącym Stowarzyszenia „Wspólnota Samorządowa Ziemi Świdnickiej”. W latach 2001–2007 był prezesem Sudeckiego Stowarzyszenia Inicjatyw Gospodarczych, które współzakoładał.

Akademia z tarczą

W przygotowanym przez rząd pakiecie rozwiązań zapobiegających negatywnemu oddziaływaniu koronawirusa na gospodarkę, znalazły się również rozwiązania dotyczące środowiska akademickiego.

Tarcza antykrzysowa 3.0 przesuwą o rok – z końca 2021 na koniec 2022 – termin umorzenia niezakończonych postępowań w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego, tytułu profesora oraz przewodów prowadzonych na zasadach sprzed wejścia w życie Konstytucji dla Nauki. Wydłużono też okres przejściowy, w którym osoby ubiegające się o stopień lub tytuł naukowy do osiągnięć publikacyjnych zaliczyć mogą artykuły naukowe opublikowane w czasopiśmie spoza nowego wykazu.

Nowe przepisy umożliwiają instytutom Sieci Badawczej Łukasiewicz korzystanie ze źródeł finansowania dostępnych dla instytutów badawczych. Do tej pory środki z subwencji mogły być wykorzystane jedynie do bieżącej działalności, teraz również na naukę i rozwój.

Wprowadzono zawieszenie spłaty kredytu studenckiego na okres do pół roku pod warunkiem złożenia wniosku do końca tego roku akademickiego. Po upływie czasu zawieszenia kredytobiorca nie będzie zobowiązany do spłaty wyższych rat kapitałowych.

Uczelnie otrzymały prawo do wprowadzenia nowych zasad i terminów rekrutacji na studia oraz do szkół doktorskich.

Już wcześniej zmiany w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce wprowadziła tzw. tarcza antykrzysowa 2.0. Dopuszcza ona wykorzystanie technologii informatycznych w trakcie sesji egzaminacyjnej oraz przy obronach prac dyplomowych, doktorskich i kolokwium habilitacyjnego. W trybie zdalnym mogą być prowadzone posiedzenia zgromadzenia ogólnego i prezydium oraz komisji i zespołów doradczych PAN. Również organy szkół wyższych, np. Senat, mogą procedować online.

Więcej uprawnień zyskał rektor, który może wydawać zarządzenia w sprawach należących do kompetencji Senatu uczelni, jeśli ten nie będzie mógł funkcjonować, a podjęcie decyzji jest niezbędne dla zapewnienia ciągłości działania uczelni. W sytuacji, gdy rektor bądź

jego zastępca nie może sprawować swoich obowiązków, osobę do ich wypełniania wskaże minister.

Większe uprawnienia otrzymał także dyrektor Narodowego Centrum Badan i Rozwoju, który z pominięciem procedury konkursowej może przyznać środki finansowe na badania lub prace rozwojowe dotyczące metod prewencji rozprzestrzeniania się, zakażenia lub zwalczania zakażenia albo choroby zakaźnej będącej przyczyną ogłoszenia zagrożenia epidemicznego bądź stanu epidemii.

Przedłużono o rok okres ewaluacji działalności naukowej obejmującej okres 2017–2021. Także ważność legitymacji studenckich, doktorskich i pracowniczych została przedłużona do 2021 r. bez konieczności potwierdzania ich ważności.

Dużo miejsca w ustawie poświęcono pomocy dla studentów i doktorantów. Zniesiony został limit dwóch zapomóg w roku akademickim. Student może złożyć wniosek za każdym razem, gdy jego sytuacja życiowa ulegnie pogorszeniu. Wnioski rozpatrywane są w trybie uproszczonym. Nie obowiązuje też reguła, zgodnie z którą stypendium socjalne, stypendium dla osób niepełnosprawnych i zapomoga przysługują przez okres kształcenia nieprzekraczający 6 lat. Oznacza to, że studenci z dłuższym stażem również mogą się ubiegać o te świadczenia. Student, którego miesięczny dochód na osobę w rodzinie nie przekracza 528 złotych, nie musi dołączać do wniosku o przyznanie stypendium socjalnego zaświadczenia z ośrodka pomocy społecznej o sytuacji materialnej. Zostanie ona zweryfikowana na podstawie innych dokumentów.

Zgodnie z ustawą niewykorzystana w tym roku dotacja celowa może przejść na rok 2021. Dotyczy to środków na kształcenie i obsługę realizacji zadań NAWA, NCN, NCBR i Centrum Łukasiewicz.

Zmienione przepisy umożliwiają ukończenie konsolidacji instytutów działających w ramach Sieci Badawczej Łukasiewicz. Chodzi o Instytut Farmaceutyczny i Instytut Biotechnologii i Antybiotyków, które mają stać się częścią Instytutu Chemii Przemysłowej im. prof. Ignacego Mościckiego. W uzasadnieniu napisano o konieczności zapewnienia ciągłości ich funkcjonowania, „tym bardziej z tego

powodu, że są zaangażowane w działania mające na celu zwalczanie wirusa SARS-CoV-2". Prezes Centrum Łukasiewicz będzie z kolei mógł powoływać ad hoc zespoły problemowe przeznaczone do rozwiązania interdyscyplinarnych problemów, m.in. w zakresie przeciwdziałania COVID-19. Dotychczas nie miał takiej możliwości.

Przesunięto także termin pierwszego konkursu w ramach programu „Regionalna Inicjatywa Doskonałości”. Zostanie on ogłoszony nie później niż do 30 czerwca 2023 r (pierwotnie – 2022).

MK

NCN w czasie pandemii

Tak jak każda instytucja w Polsce i za granicą Narodowe Centrum Nauki musiało bardzo szybko przystosować się do nowej sytuacji wywołanej pandemią COVID-19. Nasze działania w pierwszych tygodniach dotyczyły zarówno oferty grantowej jak i zmian organizacyjnych w pracy biura NCN.

Zadaniem Centrum jest finansowanie badań podstawowych. Wzorem European Research Council i wielu innych agencji grantowych od samego początku działamy na zasadzie bottom-up. Oznacza to, że Rada NCN nie wyznacza odgórnie tematyki ogłaszanych konkursów, a w wyniku wielostopniowej ewaluacji przy pomocy zewnętrznych, głównie zagranicznych ekspertów wybierane są najlepsze wnioski i najlepsi naukowcy reprezentujący całe spektrum badań podstawowych. W normalnych warunkach cały proces, od momentu ogłoszenia konkursu do podpisania umowy grantowej, trwa prawie rok.

Uznaliśmy jednak, że obecna sytuacja jest wyjątkowa i po raz pierwszy w historii NCN pod koniec marca br. ogłosiliśmy dedykowany konkurs: Szybka ścieżka dostępu do funduszy na badania nad COVID-19. Oczywiście badania tego typu mogą być – i jestem przekonany, że będą – finansowane także w naszych standardowych konkursach w przyszłości, za kluczowy czynnik uznaliśmy jednak szybkość działania, przy zachowaniu możliwie jak najwyższych standardów oceny. Naszym wnioskodawcom daliśmy tylko 2 tygodnie na złożenie wniosku, a sobie zaledwie miesiąc na ewaluację, wyniki powinny zostać ogłoszone w połowie maja. Mimo tak krótkiego czasu konkurs cieszył się bardzo dużą popularnością. Wpłynęły 262 wnioski, z czego 19 (12 w naukach o życiu, 4 w naukach humanistyczno-społecznych i 3 w naukach ścisłych i technicznych) na łączną kwotę ponad 12 mln zł zostało zakwalifikowanych do finansowania.

Dzięki międzynarodowej współpracy NCN polscy naukowcy mają też inne możliwości aplikowania o szybkie fundusze na badania nad COVID-19. Stało się tak dzięki naszym wspólnym przedsięwzięciom z Austrian Science Fund (FWF, konkurs CEUS-UNISONO w ramach współpracy środkowoeuropejskiej) oraz ze Swiss National Science Foundation (SNSF, konkurs ALPHORN). Obie agencje ogłosiły specjalne konkursy na badania nad COVID-19, również podlegające przyspieszonej ocenie. Mogą w nich uczestniczyć partnerzy współpracujący z tymi agencjami w ramach Lead Agency Procedure, w tym również NCN. Moim zdaniem to znakomita okazja dla polskich zespołów do współpracy z czołowymi naukowcami z wielu europejskich krajów (oprócz Austrii i Szwajcarii także tych, które mają z nimi tego typu porozumienia). Dodatkową korzyścią dla NCN jest fakt, że ocena merytoryczna jest dokonywana w FWF i SNSF, choć oczywiście my będziemy finansować polskie zespoły w tych konsorcjach, których projekty zostaną zakwalifikowane do finansowania.

Ograniczenia w kontaktach spowodowane stanem epidemii wymagały także odpowiednich zmian w organizacji pracy biura NCN. Od połowy marca wszyscy pracownicy, oprócz kilku osób, których obecność została uznana za niezbędną, pracują zdalnie. Było to możliwe



właściwie z dnia na dzień, głównie dzięki wprowadzonej kilka lat temu elektronicznej pracy biura. Od 2016 r. stopniowo wyeliminowaliśmy papier w całym procesie grantowym, od złożenia wniosku, poprzez podpisanie umowy, do składania raportów rocznych i końcowych. Wydaje mi się, że pod względem cyfryzacji należymy do absolutnej czołówki wśród instytucji publicznych w Polsce, choć podejrzewam, że obecna sytuacja zmobilizuje teraz wiele z nich do pójścia podobną drogą.

Dzięki tym rozwiązaniom nie było nawet potrzebne przekładanie terminów składania wniosków w aktualnych konkursach. O miesiąc natomiast przedłużyliśmy termin składania raportów rocznych (na koniec kwietnia). W przypadku starszych projektów odbywało się to jeszcze drogą papierową, jednak ze względu na okoliczności postanowiliśmy wyeliminować tę procedurę i poprosiliśmy wszystkie jednostki o kierowanie do nas wszelkiej korespondencji elektronicznie. Zgodnie z wcześniejszym harmonogramem przebiega ewaluacja we wszystkich naszych konkursach, przy czym oczywiście wszystkie posiedzenia zespołów ekspertów odbywają się zdalnie. Odwołaliśmy natomiast dodatkowe wydarzenia: planowane na połowę maja Dni Narodowego Centrum Nauki w Białymstoku oraz przewidzianą w połowie czerwca uroczystą inaugurację programu NCN w ramach Funduszy Norweskich i EOG.

Nikt dziś nie wie jak będzie wyglądać sytuacja, zarówno epidemiczna, jak i gospodarcza, za kilka czy kilkanaście miesięcy. Jednym z problemów zespołów realizujących projekty badawcze jest brak możliwości prowadzenia badań w laboratoriach czy ograniczenia w mobilności. Do tej pory nie mieliśmy wielu sygnałów o problemach w tym zakresie, które wymagałyby naszej interwencji, a na te, które otrzymujemy, staramy się reagować możliwie przychylnie, biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację. Na razie sprzyjają temu dość elastyczne zasady realizowania projektów NCN, np. możliwość jednostronnego przedłużania projektu przez jednostki o maksymalnie 12 miesięcy. Zdajemy sobie jednak sprawę, że jeżeli obecne ograniczenia potrwać dłużej, to będzie to wymagało głębszych zmian w naszych regulacjach.

Wszystkie pandemie kiedyś się kończą i za jakiś czas wrócimy do normalnego funkcjonowania. Czujemy jednak chyba wszyscy, że nic nie będzie już takie jak dawniej. Czy obudzimy się w świecie bardziej demokratycznym, czy autorytarnym? Jaka będzie sytuacja gospodarcza? Co dalej z globalizacją, czy wrócą granice? Czy będziemy podróżować tyle co dawniej? W jakim stopniu te zmiany wpłyną na naukę, na jej bieżące funkcjonowanie, a przede wszystkim na jej znaczenie w społeczeństwie? Czy ono rzeczywiście wzrośnie w wyniku obecnych doświadczeń, tak jak logicznie należałoby się spodziewać? NCN jako ważna instytucja w naszym systemie będzie te zmiany na bieżąco obserwować i w miarę możliwości starać się dostosowywać do rozwoju sytuacji, mając stale na celu, tak jak do tej pory, podnoszenie jakości i pozycji międzynarodowej polskiej nauki.

Zbigniew Błocki, dyrektor NCN

Skomercjalizować „konja trojańskiego”

Prof. Magdalena Król ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie otrzymała grant Proof of Concept Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Na realizację projektu TROJAN (*Riding a „Trojan horse” against cancer*), w którym będzie testować modele „humanizowane”, dostała 150 tys. euro. To 38 grant ERC dla polskiego naukowca.

Granty Proof of Concept mają na celu sprawdzenie potencjału komercyjnego wyników badań osiągniętych w projekcie ERC. Dlatego adresowane są jedynie do laureatów indywidualnych grantów wszystkich kategorii (Starting, Consolidator, Advanced) z minionych lat. W 2016 roku prof. Magdalena Król otrzymała Starting Grant o wartości ponad 1,4 mln euro na pięcioletnie badania zjawiska przekazywania komórkom nowotworowym pewnego rodzaju białek przez komórki układu odpornościowego.

Opracowana przez nią metoda oparta jest na zdolnościach makrofagów – komórek układu odpornościowego człowieka – do wędrowania w głąb niedostępnych rejonów guza nowotworowego. To pozbawione naczyń krwionośnych guzy lite, przez które dostarczano by leki przeciwnowotworowe. Makrofagi w naturalnych warunkach posiadają tzw. klatki białkowe, w których można zamknąć lek, całość „zapakować” do makrofaga, a on z kolei mógłby przekazać substancję na teren guza i zlikwidować nowotwór. Prof. Król i współpracujący z nią naukowcy odkryli, że makrofagi przekazują klatki białkowe bezpośrednio komórkom nowotworowym. Nikt wcześniej tego nie zaobserwował i nie opisał. Odkryte zjawisko nazwano TRAIN.

– Badamy między innymi, jaka jest naturalna funkcja tego transportu i co dzieje się z tymi „klatkami” potem w komórkach nowotworowych. Czy przyłączając się do komórek nowotworowych mają za zadanie im pomóc, czy je zabić? Staramy się nasze odkrycie wykorzystać w terapii, żeby stworzyć takiego „konja trojańskiego” – tłumaczy badaczka.

W Proof of Concept sprawdzi wyniki dotychczasowych badań na modelach „humanizowanych”, czyli poprzez celowanie w ludzkie komórki nowotworowe w modelu mysim oraz PDX (*patient-derived xenograft* – komórki pobrane z guza pacjenta wszczepione do myszy). Są to najbardziej wiarygodne modele przedkliniczne. Jeśli

się powiodą, będzie to przełom w terapii onkologicznej. Kolejnym etapem byłaby komercjalizacja odkrycia.

Badania podstawowe odkrytego mechanizmu prowadzone są na SGGW, zaś rozwijaniem terapii zajmuje się spółka Cellis, założona przez prof. Król w 2016 roku. Był to wówczas jeden z pierwszych biotechnologicznych start-upów założonych przez naukowców. Od tamtej pory opatentowano już poszczególne części procesu, całą konstrukcję „konja trojańskiego” oraz jego zastosowanie.

Prof. Magdalena Król jest specjalistką w zakresie onkologii eksperymentalnej. Pracuje na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej SGGW, który ukończyła z wyróżnieniem w 2006 roku. Po uzyskaniu dyplomu lekarza weterynarii rozpoczęła pracę w całodobowej klinice weterynaryjnej. Podczas studiów doktoranckich (na macierzystym wydziale) odbyła staże naukowe w Szwecji i Holandii. Po złożeniu pracy wyjechała na staż podoktorski do Netherlands Cancer Institute w Amsterdamie. Od grudnia 2009 roku, po uzyskaniu stopnia doktora nauk weterynaryjnych, jest zatrudniona na stanowisku adiunkta w Katedrze Nauk Fizjologicznych. Habilitowała się w 2014 roku. Prowadzi pracownię Król Lab. Jest członkiem m.in. American Association of Cancer Research i European Association of Cancer Research. Należy do komitetu sterującego Europejskiego Programu Współpracy w Dziedzinie Badań Naukowo-Technicznych.

W tegorocznym rozdaniu Proof of Concept wyłoniono 55 stypendystów z 17 krajów. Najwięcej z Niemiec (9), Hiszpanii i Izraela (po 5). Od 2011 roku granty PoC otrzymało w sumie ponad tysiąc osób. Prof. Magdalena Król dołączyła do dwójki dotychczasowych polskich laureatów: prof. Janusza Bujnickiego z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej (2012) i prof. Piotra Sankowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego (2015).

Mariusz Karwowski

Turbulencje, niespodzianki i status quo

Po nagłych zmianach trybów głosowania, wymuszonych stanem epidemii, proces wyborczy na uczelniach idzie już pełną parą. „Uważam, że nie są nam dziś potrzebne napięcia generowane przez wyborcze spory i przeciągające się procedury. Odpowiedzialne rozstrzygnięcia powinny wspomagać nas we wspólnych działaniach, poprzez które stawimy czoło wyzwaniom najbliższej i dalszej przyszłości” – napisał prof. Stanisław Kistryn, wycofując się z wyścigu o fotel rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na placu boju został więc tylko prof. Jacek Popiel, prorektor ds. polityki kadrowej i finansowej.

W UMCS unieważniono wybory 40 studenckich elektorów. Rektor prof. Stanisław Michałowski (nie może kandydować) dopatrywał się naruszenia prawa w tym procesie (w posiedzeniu brały udział osoby nieupoważnione), a w decyzji pomogły mu opinie prawnika i biegłego grafologa. Z kolei w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Przemyśle unieważniono reelekcję dr. Pawła Treflera. Głosowanie odbyło się w trybie online, tyle że takiej formy nie przewiduje statut uczelni. Zwróciła na to uwagę dr Anna Budzanowska, podsekretarz stanu w MNiSW, kierując do uczelni odpowiednią informację.



Tam, gdzie wszystko odbyło się bez przeszkód, nie brakowało niespodzianek. Do pierwszej w tym roku porażki urzędującego rektora doszło na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Prof. **Zbigniew Gaciong** pokonał prof. Mirosława Wielgosia stosunkiem głosów 118:80. Rektor elekt jest specjalistą chorób wewnętrznych i nadciśnienia tętniczego. Od 1998 r. kieruje Katedrą i Kliniką Chorób Wewnętrznych, Nadciśnienia Tętniczego

i Angiologii WUM. Zasiada w Radzie Doskonałości Naukowej. W latach 1996–2002 był prodziekanem I Wydziału Lekarskiego, a następnie prodziekanem i do roku 2012 dziekanem Centrum Kształcenia Podyplomowego. Pełni funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Medycyny Personalizowanej. Był pierwszym polskim delegatem do Europejskiego Stowarzyszenia Specjalizacji Medycznych (UEMS).



Po raz pierwszy w 50-letniej historii Politechniki Koszalińskiej na jej czele stanie kobieta – dr hab. **Danuta Zawadzka**, prof. PK. Była jedyną kandydatką. Głosowało na nią 58 z 70 elektorów. Została dziewiątym rektorem uczelni, a pierwszym wywodzącym się z nietechnicznego kierunku (wszyscy jej poprzednicy byli inżynierami). W 1998 roku ukończyła Wydział Ekonomii i Zarządzania PK i od tamtej pory związana jest zawodowo ze swoją Alma Mater. Od 2011 r. pracuje w Katedrze Finansów na Wydziale Nauk Ekonomicznych PK. Jest członkiem Polskiego Stowarzyszenia Finansów i Bankowości, Athens Institute for Education and Research (ATINER) i Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.



Stojącego od 2016 roku na czele Politechniki Rzeszowskiej prof. Tadeusza Markowskiego (nie mógł startować z uwagi na ustawowy limit wieku) zastąpi dr hab. inż. **Piotr Koszelnik**, prof. PRz. Pokonał trzech kontrkandydatów, uzyskując już w pierwszej turze 54 głosy na 100 oddanych. Ukończył technologię chemiczną na PRz. Kieruje Zakładem Inżynierii i Chemii Środowiska na Wydziale Budownictwa i Inżynierii Środowiska PRz. Od 2012 do 2019 roku był dziekanem

tego wydziału. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół zagadnień ochrony środowiska wodnego przed zanieczyszczeniami antropogenicznymi, w tym zanieczyszczeniami nowej generacji (emerging pollutants).

Rektorem Szkoły Głównej Handlowej będzie od 1 września dr hab. **Piotr Wachowiak**, prof. SGH. Stery uczelni przejmie z rąk prof. Marka Rockiego, który kieruje SGH już trzecią kadencję (w latach 1999–2005 i 2016–2020). W głosowaniu elektronicznym prof. Wachowiak,

obecny prorektor ds. nauki i zarządzania, wygrał z prof. Marzeną Weresą, dziekan Kolegium Gospodarki Światowej (181:21). Rektor elekt ukończył Wydział Handlu Wewnętrznego SGPiS na kierunku organizacja i zarządzanie. Kieruje Instytutem Zarządzania SGH. Specjalizuje się w problematyce społecznej odpowiedzialności biznesu oraz zarządzania ludźmi w organizacji. Prowadzi badania na temat polityki personalnej w przedsiębiorstwach działających w Polsce, negocjacji, pomiaru kapitału intelektualnego przedsiębiorstw, zarządzania wiedzą w przedsiębiorstwach oraz społecznej odpowiedzialności biznesu. Przewodniczy Radzie ds. Przedsiębiorczości przy Prezydencie RP.

Nowych rektorów mają także dwie publiczne uczelnie zawodowe. W Gnieźnie, nietypowo, wybory przeprowadzono w trybie... korespondencyjnym. Najpierw do elektorów wysłano karty do głosowania. Mieli oni trzy dni na ich wypełnienie i przekazanie. Po otwarciu kopert okazało się, że za jedynym kandydatem, prof. **Pawłem Chęcińskim**, opowiedziało się 9 elektorów, 2 było przeciwnych, a 2 się wstrzymało. Następca dr. hab. Janusza Wiśniewskiego, prof. PWSZ, jest specjalistą z zakresu chirurgii ogólnej, chirurgii naczyniowej i angiologii. W latach 2004–2006 pełnił funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Chirurgii Naczyniowej. Od 2004 r. kieruje Kliniką Chirurgii Ogólnej, Naczyniowej i Angiologii Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Od 2012 r. przewodniczy Komisji Bioetycznej UMP.

Czwartym rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu został prof. **Robert Wiszniowski**, zastępując dr. hab. Piotra Jurka, prof. PWSZ (limit wieku). Od 2016 roku jest dziekanem Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracuje w Instytucie Politologii UW. W latach 1999–2019 był zatrudniony dodatkowo w PWSZ im. Witelona w Legnicy. Z wałbrzyską uczelnią związał się od tego roku akademickiego. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół teorii i praktyki marketingu politycznego i wyborczego, systemu politycznego Unii Europejskiej, komunikowania publicznego i politycznego oraz teorii państwa. Jest założycielem i redaktorem naczelnym „Polish Political Science Review. Polski Przegląd Politologiczny”.

O reelekcję z powodzeniem ubiegali się w kwietniu profesorowie: Jerzy P. Gwizdała (Uniwersytet Gdański), Sylwester Czopek (Uniwersytet Rzeszowski), Arkadiusz Mężyk (Politechnika Śląska), Radziław Kordek (Uniwersytet Medyczny w Łodzi), Krzysztof Polkowski (Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku), Wojciech Ślęczka (Akademia Morska w Szczecinie), Arkadiusz Tofil (PWSZ w Chełmie).



On-line także na praktycznych

Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie w sytuacji obowiązujących ograniczeń epidemicznych sprawnie wdrożyła i realizuje kształcenie zdalne. To, co do niedawna uchodziło za przejaw nowoczesności i swego rodzaju ekstrawagancję, teraz stało się dla wielu ośrodków przykrą koniecznością. Nasze doświadczenia wskazują, że nie musi tak być. Ten sposób nauczania nie jest idealny w każdych warunkach. Jego niedoskonałości uwidaczniają się szczególnie w zakresie kształcenia praktycznego: nabywania przez studentów umiejętności mających składowe manualne, a zwłaszcza wymagających pracy laboratoryjnej i obsługi urządzeń, których posiadanie przekracza możliwości poszczególnych studentów. Można jednak, wykorzystując metody zdalne, kształtować w dużym stopniu także i ten zasób kompetencji.

Zastosowanie zróżnicowanych narzędzi nauczania, w tym audio-wizualnej platformy komunikacyjnej umożliwiającej kontakt synchroniczny oraz asynchroniczny platform e-learningowych, wraz z wykorzystaniem tradycyjnych już e-maili oraz innych komunikatorów internetowych, w tym powiązanych z mediami społecznościowymi, zapewnia szerokie możliwości realizowania zajęć o różnym charakterze. W każdym przypadku istotne jest również udostępnianie studentom materiałów, prezentacji skryptów, zadań etc. Najprostsze do przeprowadzenia w tej formule są oczywiście wykłady, niewiele różniące się od „zwykłych”, prowadzonych w salach z udziałem studentów. Rekomendowana przez uczelnię platforma ZOOM pozwala wykładowcy na udostępnienie obrazu własnego pulpitu uczestnikom. Reszta zależy od dostępności oprogramowania i łącza internetowego. Uczestnicy w prosty sposób włączają się do telekonferencji za pomocą linku wygenerowanego przez prowadzącego zajęcia. Uczelnia kupiła dwadzieścia odrębnych hostów, dzięki którym możliwe jest zabezpieczenie dydaktyki zdalnej na wszystkich kierunkach.

Co ważne, program ten funkcjonuje również w formie nieodpłatnej, pracuje stabilnie i łatwo uzyskać przy jego pomocy połączenie wykładowców z uczestnikami zajęć, również za pośrednictwem telefonu komórkowego. Ta ostatnia droga komunikacji została w krośnieńskiej KPU z powodzeniem zastosowana m.in. do prowadzenia zajęć terenowych na kierunku zielarstwo. Wykładowca wyrusza w teren i w odpowiednim miejscu łączy się ze studentami pozostającymi w swoich domach za pomocą telefonu komórkowego. Dzięki temu oglądają oni on-line prezentowane przez nauczyciela gatunki leśne, poznają ich cechy i obserwują siedliska, w których rośliny rosną. Nie jest to tylko bierny odbiór filmu, w którym jedynym

aktorem jest prowadzący. Studenci mogą zadawać pytania, wymieniać się opiniami, a nawet nagrywać zajęcia i w razie potrzeby obejrzeć je ponownie. Wprowadzone rozwiązania są zgodne ze wskazaniami ministra nauki i szkolnictwa wyższego, który podkreślał, że metody on-line powinny być wdrażane, nawet jeśli wcześniejsze zapisy w kartach przedmiotów tego nie przewidywały.

Prowadzenie zajęć na odległość to tylko jeden z problemów, z którymi trzeba się w koronawirusowej rzeczywistości zmierzyć. Zawieszenie zajęć w uczelniach, które nastąpiło 12 marca, spowodowało również przerwanie procedur dyplomowania oraz zamrożenie zaliczeń i egzaminów studentów, którzy z różnych względów korzystali z przedłużenia zimowej sesji egzaminacyjnej. Po krótkim okresie niepewności co do dalszego rozwoju sytuacji i po analizie możliwości formalnoprawnych, a także po opracowaniu technicznych wskazań co do dalszego postępowania, rektor KPU w Krośnie, prof. Grzegorz Przebinda, wydał zarządzenie, na mocy którego wszystkie zaległe zaliczenia i egzaminy miały zostać przeprowadzone w krótkim czasie z wykorzystaniem technik zdalnych. Nakazywało ono również podjęcie przerwanych lub odłożonych 12 marca egzaminów dyplomowych. Procedurę ich oceny należy przeprowadzić na przesyłanych pocztą elektroniczną dokumentach w formacie pdf. Bez zmian pozostaje kontrola antyplagiatowa i ocena pracy.

Niezwykle przydatny okazał się tu zapis regulaminu studiów, który powstał niemal rok wcześniej i dopuszczał, w uzasadnionych okolicznościach, przeprowadzenie egzaminu dyplomowego za pośrednictwem wideokonferencji. Wynikał on z porozumienia między KPU w Krośnie a Ukrainką Akademią Drukarni we Lwowie o wydawaniu wspólnych dyplomów na kierunku zarządzanie. Takie egzaminy odbyły się także na kierunkach inżynierskich: budownictwie, rolnictwie, produkcji i bezpieczeństwie żywności, informatyce, inżynierii środowiska, górnictwie i geologii, mechanice i budowie maszyn oraz na pielęgniarstwie. Studenci tego ostatniego kierunku zdążyli zdać część teoretyczną egzaminu przed zawieszeniem zajęć 12 marca. Budowanie narzędzi pozwalających przeprowadzić część praktyczną egzaminu trwało blisko dwa tygodnie. Ostatecznie ponad siedemdziesięciu absolwentów, na trzech hostach platformy komunikacyjnej jednocześnie, zdało ten wymagający sprawdzian i ukończyło uczelnię.

Przystąpienie do egzaminu dyplomowego poprzedzone było rozważaniem przez kierowników zakładów możliwości uczestniczenia studentów w takiej formie egzaminu. Następnie wygenerowano wideokonferencję dla każdego studenta i członków komisji. Każdy zdający otrzymał osobne zaproszenie i swoje własne godziny wejścia na egzamin. Przyjęto dwie metody losowania pytań egzaminacyjnych. Na niektórych kierunkach przygotowano listy pytań identyczne ze znanymi studentom, ale o zmienionej kolejności. W rezultacie student wybierając numer pytania, nie wiedział, które wskazuje. Wybrane pytania były odczytywane przez przewodniczącego komisji, a same listy dołączane do protokołu egzaminacyjnego. Drugim sposobem było wykorzystanie generatora pytań, który w sposób niezależny losował numery z bazy pytań egzaminacyjnych. Obydwa sposoby spełniły swoje zadanie.

Przeprowadzenie egzaminów on-line jest ważne z wielu powodów. Dla studentów oznacza przypieczętowanie pewnego etapu kształcenia i osiągnięcia awansu zawodowego, co



w wielu wypadkach stanowiło motywację do podjęcia studiów. Pandemia koronawirusa SARS-CoV-2, będąca przyczyną zawieszenia zajęć w polskich uczelniach, stawia przed nami jeszcze jedno wyzwanie. Potrzebujemy w placówkach służby zdrowia uzupełnień personelu medycznego: solidnie wykształconych pielęgniarek i pielęgniarzy. Już z pierwszych sygnałów, jakie docierają do uczelni z okolicznych szpitali, wiadomo, że działania podjęte w celu dokończenia egzaminów na pielęgniarstwie były oczekiwane i przyczynią się do podtrzymania

funkcjonalności wielu oddziałów szpitalnych, na których nawet 25% personelu znajduje się na kwarantannie lub zwolnieniu lekarskim.

Mamy świadomość, że podobne do obecnej epidemii zjawiska mogą wystąpić również w przyszłości. Wypracowane ostatnio procedury i wytworzone zasoby dydaktyczne stanowią kapitał, który wzmacnia nas na wypadek kolejnych tego rodzaju wyzwań.

Dominik Wróbel

Budynki puste, praca wre

Kompleksowy System Informatyczny (KSI) powstawał w Uniwersytecie Łódzkim przez niemal dziesięć lat, a jego pełne wdrożenie nastąpiło w 2014 roku. Teraz, w trudnym dla wszystkich czasie pandemii, pozwala nam zarządzać zdalnie uczelnią bez żadnych negatywnych skutków zarówno dla jakości, jak i tempa pracy. Mija drugi miesiąc, odkąd nie spotykamy się w budynkach. Bilans: kryzysów zero, wydajność 100%, konstruktywnych lekcji i nowych pomysłów – wiele. KSI wdrażamy obecnie również na Śląsku...

Reforma systemu zarządzania UŁ rozpoczęła się od decentralizacji zarządzania wprowadzonej uchwałą Senatu z dnia 23 listopada 2009 roku. Na jej mocy do dyspozycji dziekanów wydziałów zostały przekazane prawie wszystkie środki finansowe, którymi wcześniej dysponował rektor. Kolejnym kamieniem milowym w tym procesie było wprowadzenie systemu oceny pracowniczey w 2012 r. Natomiast elementem spajającym wszystkie te działania stało się wdrożenie i uruchomienie od 1 kwietnia 2014 r. KSI, który umożliwił, między innymi, szybkie pozyskiwanie wielu różnorodnych informacji ze wszystkich obszarów działalności uczelni. Wśród wielu pozytywnych skutków zastosowania tego systemu można chociażby wskazać istotne ułatwienie realizacji projektów finansowanych ze źródeł zewnętrznych i konstruowanie ich rzetelnych budżetów, m.in. w oparciu o precyzyjne wyliczanie kosztów pośrednich.

Efektom „ubocznym” wdrożenia KSI stała się konieczność sukcesywnej cyfryzacji większości realizowanych procesów i przenoszenia ich z obiegu tradycyjnego (papierowego) do obiegu elektronicznego.

Na bazie rozwijanego know-how i w oparciu o doświadczenia zdobywane w kolejnych latach stosowania systemu, w 2017 roku Uniwersytet Łódzki stworzył wraz z Uniwersyteciem Opolskim konsorcjum, mające na celu dalszy rozwój KSI oraz narzędzi informatycznych obsługujących ten system. Uczelnie ze Śląska przekonały między innymi spore oszczędności finansowe oraz organizacyjne, jakie gwarantuje używanie tej innowacji, wpisującej się w nurt zmian zachodzących w zarządzaniu uniwersytetami w Unii Europejskiej (tzw. menedżeryzacja uczelni).

KSI składa się z dwóch w pełni ze sobą zintegrowanych części: podsystemu rachunkowości zarządczej oraz podsystemu rachunkowości finansowej. Umożliwia on uzyskiwanie szeregu szczegółowych danych analitycznych w ujęciu ex post i ex ante, np. takich jak koszty wynagrodzeń pracowników akademickich (zarówno miesięcznie, jak i godzinowe), koszty poszczególnych powierzchni: sal dydaktycznych, powierzchni biurowych, komercyjnych itp. (zarówno miesięcznie, jak i za godzinę lub za powierzchnię), koszty poszczególnych edycji pojedynczych kierunków studiów, koszty projektów badawczych itd. Upraszczając to w pewnym stopniu, można napisać, że KSI jest innowacyjną koncepcją zbierania danych finansowych i niefinansowych, a następnie prezentowania różnorodnych informacji w dowolnym przekroju analitycznym dla odbiorców wewnętrznych i zewnętrznych.

Zastosowanie opisywanego systemu w praktyce wymaga odpowiedniego połączenia dwóch elementów, bez których niemożliwym

byłoby jego wdrożenie i wykorzystanie. Po pierwsze są to ludzie – z jednej strony odpowiednio przeszkoleni pracownicy zajmujący się obsługą tego systemu, zbieraniem informacji i tworzeniem raportów zarządczych, z drugiej zaś odbiorcy tych informacji (np. dziekani, kierownicy jednostek administracyjnych) posiadający odpowiednią wiedzę zarządczą umożliwiającą analizę i interpretację otrzymanych informacji. Po drugie to system informatyczny – narzędzie techniczne, dzięki któremu możliwa jest cyfryzacja realizowanych procesów i przetwarzanie dużej ilości danych.

Zarówno na etapie wdrażania KSI, jak również później, gdy był on już stosowany w codziennej praktyce uczelni, władze UŁ konsekwentnie kładły duży nacisk na podnoszenie kompetencji osób wykorzystujących go w swojej codziennej pracy. Setki godzin szkoleń dla kierowników wszystkich szczebli zarządzania – począwszy od całego kolegium rektorskiego, a skończywszy na pracownikach administracyjnych na wydziałach. Specjalnie opracowane, dedykowane studia podyplomowe i wiele innych działań zmieniły w ostatnich latach kulturę organizacyjną UŁ. Można stwierdzić, że uczelnia przeszła z etapu administrowania do etapu zarządzania. Aspekty behawioralne są niewątpliwie najważniejszym elementem decydującym o sukcesie opisywanej strategii.

Drugi element sukcesu KSI – system informatyczny – jest chyba najbardziej widoczną w codziennej pracy zmianą dla każdego pracownika UŁ. Faktury zakupowe, wnioski socjalne, sprawy kadrowe, umowy o dzieło lub zlecenia, delegacje i wiele innych dokumentów; dzięki KSI w UŁ jeszcze przed pandemią wszystkie te procesy były wykonywane online.

Obecny czas i wynikające z niego trudności jedynie potwierdziły słuszność przyjętej ponad dekadę temu strategii daleko idącej informatyzacji uczelni. Dzięki wdrożeniu KSI pracownicy UŁ mają dzisiaj możliwość pracy zdalnej we własnych domach (100% pracowników administracji centralnej!), bez konieczności kontaktów bezpośrednich, co jest niezwykle istotne ze względu na zagrożenie epidemiczne. Nagła zmiana trybu pracy nie wpłynęła negatywnie na jakość zarządzania uczelnią. Co więcej, nowy tryb pracy pokazał wiele nowych możliwości systemu funkcjonującego w UŁ od 2014 r. Nie można w tym miejscu nie wspomnieć również o niezwykle istotnych aspektach behawioralnych obecnej sytuacji. Choć pracownicy UŁ nie mogą się na co dzień spotykać fizycznie, nie wpływa to na efektywność realizowanych przez nich procesów zarządczych. Uniwersytet Łódzki nie tylko zdał wewnętrzny egzamin z zarządzania kryzysowego, ale staje się on również prekursorem innowacji zarządczej dla innych jednostek. Realizuje w ten sposób jeden z trzech głównych elementów swojej misji (po nauce i dydaktyce) – oddziaływanie na otoczenie społeczno-gospodarcze. Dzięki KSI Uniwersytet Łódzki współtworzy obecną rzeczywistość i wyznacza standardy zarządcze ułatwiające innym organizacjom efektywne wykonywanie swojej działalności w tym trudnym czasie pandemii.

Jacek Kalinowski

Edukacja „pandemiczna” czyli o kształceniu zdalnym na uczelniach

Co zadecydowało o sukcesie? Odpowiedź jest nadzwyczaj prosta: nie takie czy inne narzędzie informatyczne, nie trafne zarządzenia rektorów czy dziekanów, nie uczelniane ośrodki nauczania zdalnego, lecz przede wszystkim nauczyciele akademicki! Choć to zabrzmiało jak slogan, nauczyciele akademicki są największym kapitałem naszych uczelni.

Kształcenie zdalne w Polsce przed pandemią było traktowane na uczelniach państwowych – w lekkim tylko uproszczeniu – po macoszemu, jako mało ważny dodatek do właściwego nurtu nauczania. Latami interesowało się nim jedynie grono entuzjastów – nauczycieli akademickich, którzy prowadząc zajęcia stacjonarne, dodatkowo korzystali z platform zdalnego nauczania nie uzyskując z tego tytułu żadnych gratyfikacji i uznania. Obowiązujące wtedy rozporządzenia MNiSW pogłębiały ten stan marazmu, uniemożliwiając uruchomienie w Polsce studiów w pełni zdalnych. Ogólnie, w kręgach decydentów, czy to na szczeblu ministerialnym, czy uczelnianym, panowała nieufność do nauczania zdalnego, które nigdy nie dorównało kształceniu tradycyjnemu, gdyż m.in. nie zapewniała właściwej relacji mistrz-uczeń. Problem w tym, że w nauczaniu tradycyjnym, szczególnie podczas studiów licencjackich w grupach ćwiczeniowych lub wykładowych liczących dziesiątki, a czasem setki studentów, owa więź mistrz-uczeń i tak była fikcją, rajem utraconym w „fabrykach edukacji”.

Gwoli rzetelności, Polska nie była wyjątkiem w Europie. Duże, stare, prestiżowe uczelnie na kontynencie europejskim (w krajach anglosaskich i nordyckich było nieco inaczej) z rezerwą odnosiły się do zdalnych metod kształcenia. Spektakularnym przykładem może być najstarszy w Europie Uniwersytet Boloński, gdzie kilka lat temu, po zmianie władz rektorskich, rozwiązano – jako niepotrzebne – tamtejsze centrum zdalnego nauczania.

W Uniwersytecie Jagiellońskim mieliśmy jeden wyjątek, nie tylko na skalę polską. Władze dziekańskie Wydziału Lekarskiego jeszcze w poprzednim roku akademickim zadecydowały o rezygnacji z tradycyjnych wykładów i stopniowym (w okresie 2 lat) przechodzeniu na e-wykłady na platformie zdalnego nauczania. W każdym razie, w roku akad. 2018/19 mieliśmy w sumie w Uniwersytecie 5.468 zajęć aktywnych na naszej platformie zdalnego nauczania, co stanowiło 12,4% wszystkich zajęć dydaktycznych w UJ. Wprawdzie jak na polskie warunki był to w miarę dobry wynik, ale z drugiej strony w praktyce oznaczał on, że co najmniej 4 na 5 nauczycieli akademickich nie miało w ogóle styczności z nauczaniem zdalnym. Wybuchła pandemia i nagle z dnia na dzień 80% nauczycieli akademickich jednym

zarządzeniem rektora UJ musiało zupełnie zmienić metody kształcenia. Podobnie było na innych uczelniach. Pokazuje to skalę wyzwania, przed którym niespodziewanie stanęła edukacja uniwersytecka. Czy byliśmy do tego przygotowani? Powiedzmy szczerze – nie. Ani z punktu widzenia formalnoprawnego (wspomniane rozporządzenie MNiSW), ani infrastrukturalnie (infrastruktura informatyczna nie uwzględniała gwałtownego kilkukrotnego wzrostu użytkowników w przeciągu kilku dni), ani metodycznie (dla przykładu w nieobowiązkowych szkoleniach z obsługi platform zdalnego nauczania wraz z metodyką nauczania zdalnego uczestniczyło każdego roku najwyżej stu kilkudziesięciu pracowników UJ).

Pierwsze dwa tygodnie

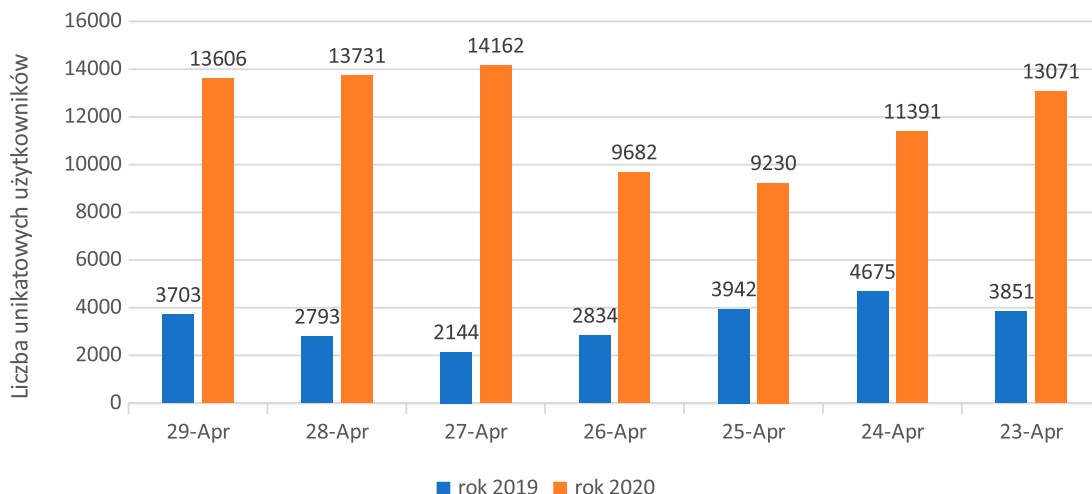
Przez drugą połowę marca mailowy i telefoniczny HelpDesk Centrum Zdalnego Nauczania UJ działał 12 godzin na dobę przez 7 dni w tygodniu. O każdej porze dnia pojawiały się zapytania lub prośby o poradę – w sumie kilkadziesiąt dziennie. Ponad tysiąc osób dziennie korzystało wtedy z przewodników online, przygotowanych przez CZN, a poświęconych różnym aspektom kształcenia zdalnego.

Reprezentuję UJ w Education Innovation Working Group uniwersytetów Grupy Coimbra, stąd wiem, że i w innych uniwersytetach zrzeszonych w tej grupie w pierwszym okresie kluczowe było wsparcie dla nauczycieli akademickich oferowane przez uczelniane ośrodki zdalnego nauczania (lub ich odpowiedniki). Obok HelpDesku i przewodników online, na niektórych europejskich uczelniach sprawdziły się tzw. virtual afterwork sessions, czyli wymiana doświadczeń i pomysłów w gronie nauczycieli akademickich, którzy po raz pierwszy zaczynali przygodę z kształceniem zdalnym.

W marcu w rozmowach nauczycieli akademickich pojawiły się takie terminy jak: Webex (produkt Cisco), BigBlueButton (oprogramowanie open-source'owe), Teams (produkt Microsoftu), a także Zoom, OpenMeetings, GoToMeeting itd. To przykłady narzędzi do spotkań zdalnych ze studentami w czasie rzeczywistym. Dzięki owym narzędziom wideokonferencyjnym udostępnia się na żywo, wraz z komentarzem, prezentacje dla studentów. Łatwe w obsłudze, a co najważ-



Aktywność na platformie Pegaz – porównanie 2019 r. z 2020 r.
(tydzień 23-29 kwietnia)



niejsze najbardziej przypominające dotychczasową praktykę nauczania tradycyjnego, szybko stały się ulubionym środkiem dydaktycznym nauczycieli akademickich w czasie pandemii, szczególnie tych, którzy do tej pory nigdy nie zetknęli się z platformami zdalnego nauczania. Ulubionym środkiem dydaktycznym nauczycieli, ale niekoniecznie studentów. Wprawdzie narzędzia wideokonferencyjne zapewniają interaktywność, ale tak naprawdę dotyczy to nauki w małych grupach. Wyobraźmy sobie półtoragodzinny wykład dla stu studentów, siedzących (albo i nie) przed komputerami (laptopami, tabletami, telefonami komórkowymi) z wyłączoną kamerką internetową. Mało interaktywności, mało intensywności. Nic dziwnego, że na podobne aspekty zwrócono uwagę w ankiecie przygotowanej przez Samorząd Studentów UJ, a dotyczącej pierwszych tygodni kształcenia „pandemicznego”.

Sprzyjając okolicznością było to, że jeszcze przed pandemią wiele uczelni w Polsce posiadało dostęp (licencje) do pakietu Office 365, w skład którego wchodzi m.in. narzędzie MS Teams. Ku mojemu zaskoczeniu serwery Microsoftu (poza kilkoma dniami na początku) dość dobrze radziły sobie ze wzrastającą liczbą użytkowników. W UJ przynajmniej połowa spotkań zdalnych ze studentami w czasie rzeczywistym odbywała się za pośrednictwem MS Teams.

Synchronicznie czy asynchronicznie?

Spotkania zdalne ze studentami w czasie rzeczywistym to przykład aktywności synchronicznych. Abstrahując nawet od pewnych niedogodności związanych z aktywnościami synchronicznymi (konieczność dostosowania się do konkretnego terminu, przeciążenia, wręcz niestabilność w dostępie do Internetu przez studentów), ważniejsze z punktu widzenia kształcenia zdalnego są aktywności asynchroniczne, a więc testy samosprawdzające przyswojenie wiedzy przez studentów, moderowane fora merytoryczne, przysyłanie plików z rozwiązaniem zadań, tworzenie baz wiedzy typu wiki itp. Platformy zdalnego nauczania (Moodle, Canvas, Blackboard itd.) wspierają właśnie aktywności asynchroniczne w procesie kształcenia. Kwiecień 2020 roku był w UJ czasem wprowadzania metod asynchronicznych przez nauczycieli – nowicjuszy zdalnego nauczania. Coraz częściej zamiast wykładu na żywo za pośrednictwem MS Teams proponowano studentom wykład w postaci nagrania wideo, który powstał przez nagranie komentarza do prezentacji przygotowanej w narzędziu MS PowerPoint. Wykład wideo był uzupełniony o testy, zadania i fora. Porównaliśmy na Pegazie (to nazwa platformy zdalnego nauczania UJ opartej na oprogramowaniu Moodle) tydzień 31 marca – 6 kwietnia 2020 r. z tym samym tygodniem sprzed roku. Okazało się, że w 2020 r. było

na tej platformie ponad 18 razy więcej zasobów dydaktycznych dla studentów! To musi budzić szacunek, bo za tą liczbą kryje się wiele godzin pracy nauczycieli akademickich poświęconych przygotowaniu e-materiałów dydaktycznych, które byłyby pomocne dla studentów. O tym, że proces przechodzenia z nauczania tradycyjnego na zdalne nie jest w UJ pozorny, świadczą też dane o aktywności (głównie studentów) na Pegazie podczas Świąt Wielkanocnych 2020: Niedziela Wielkanocna, 12 kwietnia: 3.760 użytkowników; Poniedziałek Wielkanocny, 13 kwietnia: 6.672 użytkowników.

Uwzględniając niezbyt korzystny punkt startu, przyznam, że nie spodziewałem się, iż proces przechodzenia z kształcenia tradycyjnego na zdalne przebiegnie w UJ w miarę sprawnie. Z informacji uzyskanych od kolegów zajmujących się nauczaniem zdalnym w innych polskich i europejskich uczelniach też wyłania się pozytywny obraz przemian w edukacji akademickiej. Nie twierdzę, że tak jest na każdej uczelni oraz że podobnie udanie przebiega edukacja zdalna na poziomie szkół podstawowych i średnich. Co zadecydowało o tym częściowym sukcesie? Odpowiedź jest nadzwyczaj prosta: nie takie czy inne narzędzie informatyczne, nie trafne zarządzenia rektorów czy dziekanów, nie uczelniane ośrodki nauczania zdalnego (to były warunki konieczne, lecz niewystarczające), lecz przede wszystkim nauczyciele akademicy! Choć to zabrzmiało jak slogan, nauczyciele akademicy są największym kapitałem naszych uczelni.

Dlaczego piszę o „częstkowym” sukcesie? Bo najważniejsze wyzwanie dopiero stoi przed uczelniami – to egzaminy zdalne. Czyha tu wiele niebezpieczeństw różnorodnej natury (finansowej, informatycznej, formalnoprawnej i etycznej).

Po pandemii

Po pandemii świat będzie inny, także w aspekcie edukacji. Jeśli pozostaną z nami na co dzień nawyki intensywniejszych kontaktów ze studentami pomiędzy zajęciami stacjonarnymi (o ile takie zajęcia stacjonarne pozostaną w przyszłych programach studiów); aktywności asynchroniczne na platformie zdalnego nauczania (a nie przy korzystaniu z nieprzystosowanego do tego pakietu Office 365) staną się codziennością edukacji akademickiej; nastąpi zmiana niekorzystnych przepisów ministerialnych i będzie można uruchamiać studia w pełni zdalne, m.in. z myślą o Polsce na Wschodzie i na Zachodzie (Uniwersytet Języka i Kultury Polskiej?); zrezygnujemy z anachronicznych tradycyjnych wykładów przy kompromitującej frekwencji studentów – czas edukacji „awaryjnej” podczas pandemii nie zostanie zmarnowany.

Jacek Urbaniec

Czarny łabędź zmienia świat

Pandemia z perspektywy zarządzania i ekonomii

Koronawirus stworzył wyjątkową okazję do wypróbowania na masową skalę całych wiązek zdalnych technologii w takich obszarach jak usługi finansowe, handel, gastronomia, medycyna, edukacja, praca biurowa, rozrywka, administracja czy media. Można przypuszczać, że po ustaniu pandemii wiele z tych rozwiązań zostanie z nami, zmieniając tryb i zakres funkcjonowania wielu sektorów, a przede wszystkim strukturę zatrudnienia i kwalifikacji pracowników. Można oczekiwać wzrostu zapotrzebowania na usługi projektowania, inżynierii i obsługi systemów. Jeśli tak się stanie, to także Wydział Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego będzie musiał odpowiedzieć na te wyzwania. Zatem poza rzetelnym kształceniem w zakresie funkcjonowania biznesu, gospodarki, nauki języków obcych, finansów, marketingu, zarządzania, zasad funkcjonowania korporacji transnarodowych, kształtowania zdolności analitycznych, kultury biznesu, otoczenia prawnego-gospodarczego biznesu i otwartości na zmieniający się świat będziemy zwracali uwagę na kształtowanie się gospodarek i biznesu światowego po pandemii. Z całą pewnością będzie on inny od tego, który znamy, także z makroekonomicznej i międzynarodowej perspektywy. Zmieni się także podejście do gospodarki oraz do roli państwa w gospodarce.

Liberalne koncepcje ekonomiczne zakładały, że rola państwa powinna być minimalna, tak w gospodarce, jak i w życiu społecznym. Uważano, że homo oeconomicus (człowiek racjonalnie gospodarujący) sam będzie sobie sterem i żeglarzem. Należy mu tylko zapewnić odpowiednie warunki funkcjonowania i rozwoju. Gospodarkę miała natomiast rządzić słynna „niewidzialna ręka rynku”, prowadząca w długiej perspektywie do równowagi i prosperity. Uważano, że z jednej strony atomizacja społeczeństwa, powodująca większą konkurencyjność, a z drugiej strony pogoń za zyskiem i jego maksymalizacją, to najważniejsze atrybuty współczesnej liberalnej gospodarki rynkowej, które zapewnią społeczeństwu dobrobyt i bezpieczeństwo.

Pojawienie się „czarnego łabędzia” – koronawirusa – obaliło te hipotezy. Okazuje się bowiem, że państwo, a w szczególności jego instytucje (silny rząd, silne samorządy, publiczne: służba zdrowia, telewizja publiczna, ośrodki pomocy społecznej etc.) są nie tylko potrzebne, ale konieczne dla bezpiecznego funkcjonowania społeczeństwa. Okazuje się, że tylko dobrze zorganizowane państwo może się w miarę efektywnie przeciwstawić „czarnemu łabędziowi”. Widzimy to na przykładzie Korei Południowej i Taiwanu, gdzie mamy do czynienia z jednej strony z silnym państwem i jego sprawnie działającymi instytucjami, a z drugiej z demokratycznym porządkiem prawnym i gospodarką rynkową. W efekcie sprawnego działania instytucji publicznych koronawirus został szybko opanowany. Po drugiej stronie mamy Włochy, Francję i w szczególności Stany Zjednoczone, w których rola państwa w gospodarce była bardzo ograniczona, a instytucje publiczne znacznie słabsze od biznesu prywatnego. Dodatkowo obserwowaliśmy bardzo zróżnicowane systemy funkcjonowania gospodarki oraz instytucji publicznych i samorządowych w poszczególnych stanach. W efekcie brak koordynacji działania tych instytucji na poziomie federalnym, brak koordynacji funkcjonowania systemu ochrony zdrowia, który dodatkowo był wysoce wyspecjalizowany i przygotowany na przyjmowanie pacjentów z dobrym ubez-

pieczeniem, spowodowały dużą nieporadność w walce z epidemią. Sytuacja taka będzie z pewnością wymagała w przyszłości przebudowy zasad funkcjonowania gospodarek w tych krajach.

W perspektywie międzynarodowej pandemia wpłynie na wzmocnienie na świecie pozycji Chin, które w stosunkowo krótkim czasie ją opanowały, wykorzystując w tym celu centralizację kraju oraz rygory charakterystyczne dla państw mniej demokratycznych, jak choćby zakaz przemieszczania się. Osłabieniu ulegną procesy integracyjne w Unii Europejskiej, która okazała się mało zdolna do wspólnego działania przeciwko pandemii i do wzajemnej pomocy. Osłabnie również znaczenie Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, przynajmniej w zakresie polityki gospodarczej i społecznej. Wydaje się, że nastąpi osłabienie lub nawet koniec globalizacji opartej na prostej kooperacji międzynarodowej, a rozpocznie się globalizacja oparta na chińskiej koncepcji „One Belt one Road”, w której Andrzej Koźmiński wyróżnia pięć wymiarów: koordynację polityk rozwojowych, budowanie bazy transportowej, zniesienie wszelkich barier handlowych, budowanie wspólnego rynku i stworzeniu unii monetarnej, bazującej na walucie chińskiej RnB. Można by tylko na koniec dodać, że cała ta koncepcja z pewnością oparta będzie na platformie elektronicznej, w budowaniu której największe osiągnięcia jak dotychczas mają Chiny i USA, które co prawda są osłabione w sferze socjalnej,

ale wciąż silne w sferze innowacji i nowych technologii.

Prowadzone na Wydziale Zarządzania UW badania potwierdzają hipotezy Christopiera Pissaridies o zmieniającej się naturze rynku pracy i o znikających zawodach. Z pewnością doświadczymy tych zjawisk w niedługim czasie. Będzie to w zasadniczej mierze rezultatem rozwoju sztucznej inteligencji, automatyzacji i robotyzacji. Z drugiej jednak strony wydaje się, że jeszcze przez wiele lat specjalnościami przyszłościowymi będą także te, które związane są z przygotowywaniem algorytmów programujących roboty i automaty oraz specjalności opierające się na tzw. umiejętnościach miękkich, związanych z zarządzaniem. Na wydziale prowadzone są w tym zakresie badania, a proces dydaktyczny jest tak ukierunkowywany, aby absolwenci w miarę szybko dostosowywali się do zmieniających się warunków funkcjonowania gospodarki. W rezultacie w stosunkowo krótkim okresie, bo w ciągu dwóch miesięcy po uzyskaniu dyplomu, otrzymują oni pierwszą pracę.

Po pierwszych niedobrych doświadczeniach z koronawirusem w zakresie zdrowia – słaba organizacja służby zdrowia, brak podstawowych środków ochronnych, skafandrów, masek, testów potrzebnych do wykrywania pandemii – należy się spodziewać również jego wpływu na kształtowanie się rynku pracy. Atak koronawirusa przyspieszy zastępowanie pracy ludzi robotami, automatami i algorytmami. Wymagać to będzie co najmniej zmiany organizacji i kultury pracy. Może nastąpić także zmiana modelu konsumpcji, związana z rezygnacją z posiadania nadmiernej ilości dóbr materialnych na rzecz podnoszenia jakości życia niematerialnego, jak dłuższy pobyt z rodziną w domu, większy pobyt na dobra kulturalne etc. Zjawiska te także trzeba będzie uwzględnić w procesie edukacji studentów.

Prof. dr hab. Alojzy Z. Nowak, dziekan Wydziału Zarządzania UW, prowadzi badania w obszarze polityki makroekonomicznej, integracji europejskiej, finansów i handlu międzynarodowego oraz bankowości i ubezpieczeń.



Dwa w jednym

Powinien być to system umożliwiający awans akademicki w dużej liczbie ośrodków naukowych, ale pozostający pod ścisłą kontrolą instytucji centralnej (czyli RDN).

Dyskusja dotycząca modelu awansu akademickiego w Polsce przebiega często zgodnie z ruchem wahadła: od lewej do prawej i z powrotem. Kolejne dekady cechują się wychyleniem to w jedną (liberalną), to w drugą (centralistyczną) stronę. Dzieje się tak dlatego, że system jest złożony i działa pod wpływem wielu czynników. Warto zacząć zatem te rozważania od tego, jakie cele przed nim stawiamy. A mogą być co najmniej dwa. Po pierwsze, system awansowy służyć musi rozwojowi nauki jako takiej. Po drugie – jego celem jest rozwój twórczych, efektywnych kadr naukowych i naukowo-dydaktycznych.

Jakkolwiek byłby zorganizowany, system awansów musi uwzględniać obiektywne warunki funkcjonowania nauki w Polsce. Należą do nich: głęboki niedobór liczby kadr akademickich w Polsce (np. w porównaniu do podobnej populacyjnie do nas Hiszpanii to jest jak 1:1,8); zróżnicowanie poziomu naukowego środowisk akademickich pomiędzy ośrodkami akademickimi i całymi regionami kraju; aspiracje krajowe oraz lokalne i regionalne do posiadania ośrodka akademickiego.

Na dyskusję o systemie awansu nakładają się tradycyjne zarzuty o kastowości, feudalnym charakterze hierarchii akademickiej, hamowaniu rozwoju młodej kadry itp. Z drugiej zaś strony mamy do czynienia z chronicznym niedofinansowaniem nauki, niewysokim, biorąc pod uwagę kwalifikacje, uposażeniem kadry akademickiej oraz niedostatkami infrastrukturalnymi. Dyskusja powinna także uwzględnić skumulowane dane o efektach rozmaitych zabiegów dokonywanych wobec tego systemu w przeszłości. Dyskutanci często podnoszą dwie główne kwestie: drożności systemu awansów oraz jakości postępowań awansowych (tj. efektów ich działania). Jak się wydaje, jest to główna oś organizująca dyskusję. Jak więc pogodzić cel, polegający na udrożnieniu systemu, tak aby w naszym kraju pojawiło się więcej kadry akademickiej i aby jednocześnie jej jakość rosła?

Dodam, że wiele rozwiązań dotyczących obecnej Rady Doskonałości Naukowej uważam za dobre i chciałbym ich utrzymania. Uważam,



że system powinien zostać w pewnym zakresie zdecentralizowany, tj. więcej niż obecnie ośrodków powinno posiadać uprawnienia do nadawania stopni naukowych. Jednocześnie powinien on zostać scentralizowany pod kątem nadzoru nad procesem awansowym. I tak np. nie widzę powodu, dla którego nadanie stopnia doktora habilitowanego nie miałoby podlegać zarówno kontroli (w pewnym zakresie istniejącej obecnie), jak i zatwierdzeniu przez RDN. Tym bardziej tytuł naukowy profesora powinien podlegać ścisłemu nadzorowi Rady. Tak więc powinien być to system umożliwiający awans akademicki w dużej liczbie ośrodków naukowych, ale pozostający pod ścisłą kontrolą instytucji centralnej (czyli RDN). Zwykle przy propozycjach takich rozwiązań podnoszą się głosy, że są silne środowiska akademickie, które nie wymagają takiego nadzoru, bo same stosują wyższe wymagania i kryteria niż te ogólne. Uważam, że jest inaczej, a mówię to na podstawie doświadczeń recenzyjnych, dotyczących także wniosków pochodzących

z „flagowych” ośrodków. Podstawową przesłanką jakości postępowań awansowych oraz nadzoru nad nimi powinna być ich jawność oraz czytelne, jednakowe dla wszystkich zasady.

Taki system wymaga jednak pewnej istotnej zmiany, m.in. wzmocnienia prawnego, administracyjnego oraz kadrowego Rady Doskonałości Naukowej. Sądzę także, że – w uzasadnionych przypadkach – powinna ona mieć dużą swobodę w przeprowadzaniu własnej oceny wniosków awansowych, poprzedzającej zatwierdzenie nadania stopnia.

Zasadę obowiązującą od kilku lat, że nadanie stopnia naukowego doktora habilitowanego nie podlega zatwierdzeniu przez organ centralny, uważam finalnie za szkodliwą.

Mam oczywiście wątpliwości, czy MNiSW oraz nasze środowisko są gotowe ponieść takie ofiary jak wzrost kosztów utrzymania RDN oraz zwiększenie jej roli decyzyjnej.

Prof. dr hab. Wojciech Pisula pracuje w Instytucie Psychologii PAN. Zajmuje się psychologią porównawczą i ewolucyjną, bada m.in. relacje ludzi i zwierząt.

W świecie równoległym

Jeśli poważnie traktować przepisy ustawy, polska nauka ma więcej osób zmieniających jej tory niż reszta galaktyki!

W 1991 roku, rok po uzyskaniu doktoratu z filologii polskiej, wyjechałem do Wielkiej Brytanii. Przez lata byłem częścią międzynarodowego systemu postępowań awansowych, które zresztą dość znacznie różnią się między sobą. Jedne uczelnie najpierw dokonują wstępnej selekcji, inne nie, jedne mają recenzentów tylko spoza uczelni, inne nie. Przez te blisko 30 lat procedury były dopracowywane (kto np. powinien napisać prośbę o recenzję, jak lepiej wyłaniać stosownych recenzentów, jakie dokumenty wysłać recenzentowi), jednak esencja postępowania awansowego

pozostawała niezmienna. Kilka osób na odpowiednim poziomie naukowym ma się wypowiedzieć na temat dorobku naukowego kandydata, pozostających kilka osób wyrabia sobie zdanie na podstawie recenzji. Nic więcej.

W nauce polskiej, mam wrażenie, jest inaczej. Dyskusje na temat tego, jak ma wyglądać profesura czy habilitacja, ba, czy w ogóle habilitacja jest potrzebna, trwają, odkąd pamiętam. Trzech recenzentów, kolokwium, superrecenzent i CK; czterech recenzentów, kolokwium i rada wydziału; czterech recenzentów, brak kolokwium i rada

wydziału, ale postępowania publiczne; teraz częściowo wracamy do kolokwium (tego niesamowitego obrzędu pokazywania habilitantowi, gdzie jego miejsce), ale zamieniamy radę wydziału na radę dyscypliny, a sama habilitacja nie jest obowiązkowa. W głowie się kręci!

Dyskusje oczywiście się nie skończyły, jestem też pewien, że będą nadal stanowiły ważny element polskiego sztafetu akademickiego. Nadal też będziemy sobie rwać resztki włosów z głów czy kolokwium dla wszystkich, czy kontrola zewnętrzna, a na dodatek, w jakich to dyscyplinach będziemy w ogóle mogli habilitację robić. Podobnie z tytułem naukowym.

Gdy zastanawiałem się, skąd ta różnica między nauką polską a tą, w której funkcjonowałem przez trzy dekady, odpowiedź zawsze pozostawała ta sama. Otóż fundamentem wszelkich postępowań awansowych „tam” było i jest silne zaufanie do rzetelności osądu recenzentkiego. Nigdy nie spotkałem się z dyskusją podważającą wypowiedź recenzenta (a w różnych rolach przeczytałem i omówiłem kilkaset recenzji awansowych w kilku krajach). Gdy recenzenci się nie zgadzali, komisje awansowe usiłowały dociec źródeł niezgody, zawsze pozostając jednak na stanowisku, że niezgoda jest autentyczna i pochodzi z odmiennej, acz zawsze rzetelnej, oceny dorobku kandydata.

A teraz popatrzmy na sytuację polską. Ręce można załamać, czytając na łamach FA rubrykę prof. Marka Wrońskiego. Nie, nie dlatego, że pracownicy nauki są nieuczciwi (wszędzie bywają), ale dlatego, że nawet najlepsze uczelnie chcą zamieścić te nieuczciwości pod dywan, a na postępowaniach dyscyplinarnych można się uczyć braku przejrzystości. Osiem lat istnienia blogu <http://habilitant2012.pl/> to osiem lat lektury o postępowaniach awansowych, które odbierają chęć do życia.

Negatywne recenzje z pozytywnymi konkluzjami, recenzje z karygodnymi błędami, recenzje od szefów, rodzice jako promotorzy, przepisywanie autoreferatów do recenzji, kłótnie o naturę dyscypliny, recenzje habilitacyjne na profesorskich blogach, tuż polskiej nauki, którzy umawiają się, kto nie dostanie habilitacji... A przecież to tylko niewielka część tego wszystkiego, co czytamy w postępowaniach habilitacyjnych i profesorskich. Strach myśleć o tym, czego nie czytamy. A wszystko, rzecz jasna, oblane pompacyjnym sosem znacznego wkładu w naukę. Nie, nie w naukę polską, w naukę w ogóle. Jeśli poważnie traktować przepisy ustawy, polska nauka ma więcej osób zmieniających tory nauki niż reszta galaktyki!



Fot. Arch. prywatne

I gdy czytam to wszystko, odmawiam poważnej debaty na temat tego, jak ma wyglądać habilitacja czy profesura. Jakakolwiek zmiana postępowań awansowych nie spowoduje tego, że recenzenci piszący nierzetelne recenzje nagle doznają objawienia uczciwości akademickiej; odpowiednie komisje zaczną wypalać żelazem nieuczciwość akademicką, a każdy habilitant czy profesor będzie dobrze wiedział, że niepowodzenie wynika z uczciwego namysłu nad dorobkiem. Warto uświadomić sobie, że nawet upublicznienie recenzji nie spowodowało tego, że recenzenci zaczęli choćby weryfikować to, co piszą. Nie robi też tego żadna kolejna zmiana w procedurze.

I w ten sposób dochodzimy do sedna sprawy. Odnoszę wrażenie, że gorące dyskusje nad tym, czy organizować kolokwia habilitacyjne (przeżyłem dwa – mam, absurdalnie, dwie habilitacje) są próbą niedyskutowania o tym, że wśród nas zasiadają, piastują, namaszczają osoby, o których pisze Wroński i anonimowy habilitant2012. I dopóki my wszyscy będziemy tolerować nieuczciwe czy nierzetelne zachowania, bo jeden przecież tylko zapomniał zacytować, a drugi troszczył się wszak o dobro, dopóty nie ma sensu dyskutować o postępowaniach awansowych.

Zanim zaczniemy się martwić o to, jak przeprowadzać habilitacje czy profesury, potrzebna jest uczciwa dyskusja na temat fundamentów nauki, którą uprawiamy. Nie, nie na temat nieuczciwości (ona była, jest i będzie), ale na temat tego, jak sobie z nią radzić. Plagiaty, koleżeńskie recenzje, ustawki awansowe, dopisywanie się do artykułów, komisje dyscyplinarne, to wszystko wymaga bolesnej debaty i środowiskowego popatrzenia w lustro, bez zastanawiania się, co na zachodzie, a co gdzie indziej.

Nie wykluczam, że z tej debaty nie wyniknie nic. Jednak bez niej nauka polska nadal będzie funkcjonować we wszechświecie równoległym. Pozostanie nam tylko radość z tego, że to my, a nie reszta świata, mamy ustawowo zagwarantowany znaczny wkład w naukę. No i kolejne dekady dyskusji.

Prof. dr hab. Dariusz Galasiński jest absolwentem polonistyki. Habilitował się z lingwistyki oraz psychologii. Jest profesorem nauk humanistycznych. Prowadzi badania na styku lingwistyki i psychologii. Po 30 latach pracy w Wielkiej Brytanii wrócił do Polski. Wykładał na SWPS, a obecnie pracuje na Wydziale Anglistyki UAM.

W nowym opakowaniu

Wiara w to, że zmiana przepisów zmieni ludzi jest miła, ale naiwna. Doświadczenie uczy, że rewolucja często polega na zastąpieniu starej sitwy nową.

Niektóre zarazy mają charakter sezonowy i nawiedzają nas w regularnych odstępach czasu. Jedną z nich jest dyskusja o stopniach i tytułach naukowych oraz ścieżkach kariery akademickiej. Kiedyś objawiała się co pokolenie, teraz praktycznie co kwartał. Sprowadza się ona do wspólnego mianownika: „zróbmy, żeby było jak na Zachodzie”, a każdy z jej uczestników, wliczając pewnie i piszącego te słowa, ma jakąś wizję akademickiego Opactwa Telemy, jak nie w wersji Franciszka Rabelais to Aleistera Crowleya. (Moja jest prosta: dostęp do źródeł, ekspres do kawy, nieograniczone fundu-

sze i proszę mi nie zawracać głowy punktami, stopniami i awansami. Mam ciekawsze rzeczy do zrobienia niż kolekcjonowanie kolejnych tubek z dyplomami. *He/She who dies with the most degrees & titles still dies*, a ja niekoniecznie chcę być najbardziej utytułowanym nieboszczykiem na cmentarzu.) Problem w tym, a jest to tylko pierwszy z wielu, że prawo to nie fizyka. Nie ma jednego słusznego zbioru reguł. Importowanie obcych rozwiązań prawnych jest sztuką dobrze znaną prawnikom komparatystom. Zwykle mówimy o niej jako o legal transplants, co bardziej medycznie usposobieni praw-

nicy tłumaczą jako transplantacje prawnicze, a ci z nas, którzy wolą uprawiać swój ogródek, jako flancowanie. Niezależnie od tego, który obraz bardziej przemawia do czytelnika, prawo, transplantologia i ogrodnictwo mają jedną cechę wspólną: nie wszystko da się zrobić metodą „kopiuj – wklej”. Świetnie wiemy, że nie każdy organ można przeszczepić, a jak się da, to dawca i biorca muszą być zgodni, w dodatku biorca potem wymaga stałej opieki medycznej. Żaden rozsądny ogrodnik nie poprze też dziś pomysłów tysenkistów i nie powie, że wystarczy kupić nasiona, na polskich nizinach będziemy zbierać ryż, a w Tatrach uprawiać kawę (*Burzliwe dzieje gruszek na wierzbie* (red-Por), <https://wyborcza.pl/1,75400,524313.html>, odsłona 29.05.2020), prawda? Jednocześnie ci sami ludzie, którzy wysmialiby takie pomysły jako szarlatanerie, myślą, że można przenieść dowolny kawałek obcego systemu prawnego, wpisać do polskiej ustawy, ignorując zupełnie historię, kontekst kulturowy tudzież reguły rządzące systemem, który kopiujemy i będzie „jak na Zachodzie”.



Źródło: UO

Popatrzymy zatem, jak w dużym uproszczeniu mogą wyglądać systemy, z których możemy skopiować ścieżki kariery i jak na ich tle wygląda twórczość krajowa.

Model nr 1 – imperialny, z silną centralizacją procedur awansowych, centralnym ciałem odpowiadającym za awanse i uczonymi będącymi urzędnikami państwowymi podzielonymi na gildie niczym rosyjscy kupcy w XIX w. Do tego dochodzi klasyfikacja dyscyplin gorsza niż u Deweya. Awanse są sformalizowane i każda kolejna reforma komplikuje obraz. We Francji po zreformowaniu wszystkiego po raz kolejny coś w rodzaju habilitacji (doctorat d'État) zastąpiła l'habilitation à diriger des recherches (HDR), bardziej ponoć liberalna. Oczywiście dla prawa, zarządzania i politologii jest wyjątek i tam po starciu można awansować przez concours d'agrégation. Na ten model prawdopodobnie zapatrzyli się Rosjanie ze swoją Centralną Komisją i stopniami kandydata i doktora nauk, a potem w pewnym stopniu i my. Frankofilów wśród prawników nie brakuje.

Model nr 2 – germański. Istnieje stały system rang, ale decydowanie kto ma być doktorem, docentem i profesorem, jest w zasadzie w gestii uczelni. Uczony jest urzędnikiem, który od pewnego etapu dostaje pełną samodzielność i w ramach swojego stosunku pracy jest praktycznie nieusuwalny. Niezależność w tym systemie symbolicznie podkreśla mianowanie na stopień urzędniczy profesora przez głowę państwa w ramach jej konstytucyjnych kompetencji. Profesor, podobnie jak sędzia czy oficer, służy państwu niezależnie od bieżących koniunktur politycznych.

Model 3 – nazwijmy go zakładowym: jest konsensus co do tego, jak nazywają się stanowiska służbowe, ale nie ma rozbudowanej hierarchii stopni i tytułów. Jest doktorat jako stopień ostateczny, gdzieś gdzie uzupełniany przez alternatywne doktoraty praktyczne różnego kalibru, równoważne klasycznemu lub nie. W awanse państwo zasadniczo się nie wtrąca, a każda uczelnia ustala własne reguły gry, dostosowane do jej misji i miejsca w hierarchii dziobania. Promować doktorów może w zasadzie każdy, komu uczelnia pozwoli. Niektóre, i to całkiem nieźle, uniwersytety nie wymagają od promotora nawet doktoratu.

Model 4 – hybrydowy: jest organ centralny odpowiedzialny za tytuły i stopnie, ale pracownicy są zwykłymi etatowymi pracownikami nie podlegającymi szczególnej ochronie. Jest wyższy stopień naukowy, ale nie jest konieczny do awansu na profesora, za to tytuł profesora po starciu przyznaje prezydent, ale już nie w ramach swoich konstytucyjnych prerogatyw. Autonomia uczelni jest bardzo mocno ograniczona

przez istnienie organu centralnego, ale uniwersytety mają dużą swobodę w kreowaniu polityki kadrowej. Czyli uroczy, krajowy galimatias.

System z centralnym organem ułatwia sterowanie uczelniami publicznymi. Ale w takiej sytuacji – trzeba powiedzieć to sobie wyraźnie – autonomia jest fikcją, a uczony jest urzędnikiem publicznym. Systemy z habilitacją i profesurą zapewniają w teorii porównywalność kwalifikacji, no i pozwalają zawęzić pulę kandydatów na stanowisko do tych, którzy spełniają minimalne kryteria. Za to utrudniają wejście do systemu ludziom, którzy kariery robili w krajach „bezhabilitacyjnych”. Problem ten łagodzi się, wprowadzając rozmaite zastępcze ścieżki awansu, w których trzeba wykazać się osiągnięciami analogicznymi do tych, które są podstawą habilitacji, tylko nie używamy tego brzydkiego słowa. W modelu „zakładowym” nie mamy tych problemów, mamy jednak mniejszą ostrość kryteriów awansu i w każdym miejscu pracy trzeba zgadywać, co robić, żeby przejść wyżej. Brak ustawowej regulacji awansów łączy się często także z systemem zarządzania, w którym społeczność akademicka jest albo odpodmiotowiona, albo ma ograniczony wpływ na rzeczywistość. W konsekwencji pozycja prawna uczonych w takiej organizacji jest słabsza.

W konsekwencji pozycja prawna uczonych w takiej organizacji jest słabsza.

Każdy z tych systemów wyrósł w innej kulturze politycznej i prawnej, każdy z nich był przeszczepiany za granicę z różnymi skutkami. Nawet habilitacja nie jest żywą skamieliną – wprowadzili ją nie dawno Włosi i Rumuni. We wszystkich tych systemach pojawiają się podobne problemy: blokowanie awansów, koterie, nieprzejrzyste reguły gry. W żadnym chyba z krajów reformujących system zmiana przepisów nie spowodowała przebrożenia moralnego. Ba, są nadal takie (i to przodujać!), w których niezbyt swojsko brzmiące nazwisko może przekreślić szanse na etat i awans. Wszędzie też, choć z różnym natężeniem, pojawiają się „brudne wspólnoty”. Dlatego prosta zmiana modelu awansu wywoła takie skutki, jak obcinanie bojarom bród przez cara Piotra. Francuzami się nie stali, za to byli ogoleni i wściekli. Wiara w to, że zmiana przepisów zmieni ludzi jest miła, ale naiwna. Doświadczenie uczy, że „brudne wspólnoty” wykazują się dużą trwałością, a rewolucja często polega na zastąpieniu starej siłty nową, której członkowie, mimo najlepszych z początku chęci, po prostu wejdą w istniejącą kulturę organizacyjną i staną się nowymi despotami, gorliwie tępiącymi złogi starego systemu i promującymi swoich.

Wspólne dla wszystkich tych systemów jest jedno – to członkowie cechu, mistrzowie, decydują o tym, czy wyzwolić czeladnika z terminu. I jest obojętne, czy robią to w bardziej, czy mniej formalnej procedurze, czy czeladnik dostaje licentiam ubique docendi, czy tylko status mistrzowski na swojej uczelni. Zasada pozostaje ta sama. Przepis nadaje jej tylko formę mniej lub bardziej praktyczną.

Istotne jest co innego: jak wygląda kultura cechu? Czy mistrzowie dbają o czeladników, czy rozwijają – przepraszam za nowomowę – coaching i mentoring? Czy młodszy kolega lub koleżanka są kolegami właśnie, czy konkurencją w walce o władzę, fundusze i prestiż? Póki nie wymyślimy, jak zmienić kulturę cechu na bardziej przyjazną, nie dłubmy za bardzo przy systemie awansów. Najwyżej poprawmy parę oczywistych niedoróbek. Jeśli bowiem będziemy zmieniać formę przy niezmiennym treści, dostaniemy to samo, co już mamy, ale w nowym, błyszczącym opakowaniu.

Dr hab. prof. UO Piotr Stec jest prawnikiem, dziekanem Wydziału Prawa Uniwersytetu Opolskiego. Specjalizuje się w prawie własności intelektualnej i prawie cywilnym porównawczym.

Struktury ograniczają wolność

Proponowana przez nas fakultatywność habilitacji jest kompromisem, który zapewne nie usatysfakcjonuje wszystkich, ale da możliwość weryfikacji, czy jesteśmy gotowi na faktyczną autonomię jednostek naukowych w naszym kraju.

Niebawem miną dwa lata od uchwalenia ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Ten najważniejszy dla naukowców w Polsce akt prawny budzi znaczne emocje w środowisku akademickim, podgrzane jeszcze niedawną dymisją *spiritus movens* reformy, wicepremiera Jarosława Gowina. Ocena reformy byłego już ministra jest nierzadko skrajna. Niektóre środowiska krytykują ją za niszczenie uczelnianej demokracji i autonomii, inne z kolei za nadmierną zachowawczość. Z kolei sam wicepremier kilkakrotnie przyznawał, że niektóre plany kierowanego przez niego MNiSW nie zostały zrealizowane, a pierwotny kształt zmian został zdeformowany na etapie prac parlamentarnych. My chcielibyśmy natomiast wskazać, z perspektywy młodych naukowców pracujących w naukach ścisłych, przyrodniczych i technicznych, że reforma ma szansę osiągnąć pozytywne efekty jedynie pod warunkiem, że jej założenia będą nie tylko realizowane, ale także konsekwentnie udoskonalane.

Jednym z tematów budzących gorące dyskusje w środowisku akademickim stała się w ostatnim czasie kwestia systemu awansowego w Polsce. Ustawa 2.0 miała wprowadzić w tym względzie korektę polegającą na powrocie do modelu z nieobowiązkową habilitacją. Krokiem w tym kierunku była, w zamierzeniu ustawodawcy, możliwość zatrudniania na stanowisku profesora uczelni osób, które nie posiadają stopnia naukowego doktora habilitowanego. Z perspektywy czasu widać jednak, że rozwiązanie to, niezabezpieczone żadnymi uprawnieniami dla profesorów bez habilitacji, jest nieskuteczne. Dowodzą tego m.in. pojawiające się konkursy na zatrudnienie, formułujące obowiązek posiadania stopnia dr. hab. lub tytułu prof. (zob. np. uchwała Rady Młodych Naukowców nr 2/2020 z dnia 16.01.2020 r. lub interpelacja poselska nr 5181 w Sejmie obecnej kadencji z dnia 27.04.2020 r.). Wydaje się zatem, że w kwestii awansów progresywne stronnictwo wśród naukowców powinno czuć się rzeczywiście zawiedzione. Zostało po staremu, z iście wertykalną strukturą awansów naukowych, w której to formalne stopnie, a nie dorobek naukowy, definiują położenie naukowca w systemie. Przekłada się to także na strukturę stanowisk w jednostkach badawczych (tj. aby uzyskać wyższe stanowisko, często są wymagane kolejne stopnie, a nie kompetencje czy dorobek). System ten, wprowadzony w Polsce w latach 50., ma się zatem w dalszym ciągu świetnie, a jego utrzymywanie uzasadniane jest koniecznością utrzymywania kontroli nad jakością naukowców chcących pracować samodzielnie. Pojawiają się postulaty, że zmniejszenie tej kontroli doprowadzi do upadku obyczajów akademickich i w związku z tym awanse powinny być tym obszarem, gdzie autonomia uczelni i innych jednostek naukowych powinna być (i obecnie jest) ograniczana. Z drugiej strony

sporu pojawiają się postulaty zupełnej likwidacji habilitacji (i profesury tytularnej) oraz oddania kwestii awansów pod jurysdykcję niezależnych, zagranicznych zespołów naukowców, nawet na zasadach quasi-outsourcingu. Tym bardziej szkoda, że ustawodawca nie zdecydował się na kompromis między oboma podejściami, tj. nie podjął się wprowadzenia realnie fakultatywnej habilitacji.

W ramach tej fakultatywności istniałyby zatem dwie równoległe ścieżki dochodzenia do faktycznej samodzielności naukowej. Pierwsza ścieżka, tak jak dotychczas, wymagałaby uzyskania habilitacji jako uprawnienia m.in. do pełnienia funkcji promotora prac doktorskich. Druga natomiast habilitacji by nie wymagała, realizując w pewnym stopniu ideę spłaszczoną (w sensie stopni naukowych) struktury uniwersytetu, znanej w systemach anglosaskich.

Zgodnie z taką koncepcją, jeśli w odpowiednio przeprowadzonym konkursie (np. na stanowisko adiunkta, który w naszym rozumieniu powinien odpowiadać stanowisku assistant professor w USA) najlepszym pod względem dorobku kandydatem okazałaby się osoba bez habi-

ltacji, otrzymywałaby ona stosowne stanowisko, co też automatycznie wiązałoby się z uzyskaniem choć tych najbardziej kluczowych uprawnień, które posiadają osoby ze stopniem dr. hab. (w szczególności możliwość promowania doktorów). Nietrudno dostrzec przynajmniej trzy zalety takiego rozwiązania. Po pierwsze, otwarcie konkursów na osoby nieposiadające stopnia dr. hab. zwiększyłoby konkurencję i poprawiłoby jakość kadry akademickiej, wszak stałyby się one otwarte także na naukowców z zagranicy, którzy pracują w systemach niewymagających habilitacji. Po drugie, możliwość zatrudnienia takich osób pomogłaby uczelniom uelaśczyć politykę zatrudnienia, zwiększając tym samym ich autonomię. Po trzecie, zmniejszyłoby

to fetyszyzację stopni i tytułu, a naukowcy mniej koncentrowaliby się na formalnych postępowaniach awansowych, a bardziej na prowadzeniu badań i budowaniu swojego (i uczelni) dorobku. Te właśnie zalety fakultatywnej habilitacji zrozumiano już w latach '80 w Niem-

czech, gdzie udało się poprzez realną fakultatywność habilitacji oraz pełną transparentność reguł oceny dorobku spłaszczyć hierarchię w nauce. Dziś niemieccy uczeni mogą wybrać między tradycyjną karierą w wersji pruskiej – z habilitacją a karierą w wersji anglosaskiej – z uzyskaniem samodzielności jako doktor bez habilitacji. W Polsce nadal wyboru niestety nie ma. Bez habilitacji uzyskanie pełnej samodzielności (a potem i stanowiska profesora) jest trudne. Natomiast ze względu na brak dodatkowych uprawnień piastowanie stanowiska profesora uczelni przez doktora pozbawione jest większego sensu. Pytamy wszakże, po co zatrudniać profesora, który nie ma uprawnień do wypromowania doktorów, a jedynie otrzymuje większą



Piotr M. Wojtulek



Radosław Kamiński



Katarzyna N. Jarzemska

pensję? Czy tylko dla dodatkowych punktów z algorytmów wpływających na wysokość subwencji, które mogą się zresztą w dowolnym momencie istotnie zmienić?

Wielką zaletą wprowadzenia fakultatywności habilitacji, byłaby możliwość sprawdzenia, czy nauka w Polsce jest gotowa do zmiany modelu kariery naukowej. To, że obecny model wymaga gruntownych zmian, nie podlega bowiem dyskusji. W Polsce zdecydowanie za późno uzyskuje się samodzielność naukową, a władze większości jednostek naukowych są nie-rzadko wiekowe. Liczni młodzi naukowcy w Polsce skarżą się z kolei na paternalizm ze strony tzw. pracowników samodzielnych, co wynika ze znacznej dysproporcji w uprawnieniach związanych ze stopniami. W tym kontekście źródła prawdziwych problemów niektórzy upatrują w rozwiniętym w Polsce akademickim feudalizmie, a także we wzajemnym braku zaufania powszechnym wśród naukowców na różnych płaszczynach. Tymczasem nauka potrzebuje wolności, aby mogła się rozwijać. Wolności tej nie zwiększają formalne stopnie, które w polskich warunkach przekształcone zostały de facto w bariery rozwoju. Zwłaszcza że stopnie te wcale nie gwarantują jakości, czego dowodzi choćby rubryka „Z archiwum nierzetelności naukowej” Marka Wrońskiego, publikowana co miesiąc w „Forum Akademickim”. Widać to także w takich konkursach grantowych, jak np. OPUS NCN, w którym laureatami niekoniecznie są naukowcy posiadający habilitację. Naszym zdaniem o jakości naukowca świadczy bowiem jego (recenzowany) dorobek naukowy. To przede wszystkim artykuły i/lub monografie, opublikowane w toku nieobarczonej konfliktem interesów procedury peer review, powinny stanowić co do zasady podstawę rzetelnej oceny pracownika. Rola takiej oceny na uczelniach powinna ustawicznie rosnąć, a one same powinny mieć możliwość sprawnego pożegnania się z pracownikiem niewykazującym postępów w pracy badawczej. Należy przy tym zaznaczyć, że uczelnie powinny wypracowywać efektywne narzędzia do weryfikacji wymagań stawianych swoim pracownikom, a system prawny musi dawać im możliwość realnego egzekwowania własnych postanowień.



Agnieszka Jastrzębska

Uważamy, że pozostawienie wertykalnego systemu stopni naukowych bez rzeczywistych zmian będzie jednym z powodów, dla którego Ustawa 2.0 nie osiągnie zakładanych celów w postaci wzrostu konkurencyjności i atrakcyjności nauki w Polsce. Nie sprzyjają temu zmiany pozorne, zgodnie z zasadą, że herbata nie staje się słodsza wyłącznie od mieszania łyżeczką. Powodują one jedynie zamieszanie w środowisku akademickim, dekoncentrują i zwodzą naukowców, zamiast zapewnić im poczucie swobody i bezpieczeństwa pracy badawczej. Nie uważamy też, że źródłem wszelkich problemów jest niedofinansowanie nauki. Sądzymy, że źródła te są przynajmniej dwóch rodzajów: zarówno finansowe, jak i strukturalne. Z tych powodów, nie wyrzekając się oczywiście postulatu zwiększenia nakładów na naukę, optujemy jednocześnie za dalszymi pracami nad zmianami niekorzystnych struktur, które ograniczają wolność badań naukowych w Polsce. Proponowana przez nas fakultatywność habilitacji jest kompromisem, który zapewne nie usatysfakcjonuje wszystkich, ale da możliwość weryfikacji, czy jesteśmy gotowi na faktyczną autonomię jednostek naukowych w naszym kraju. Mimo że obecny system jest nieefektywny i mało pro jakościowy, w naszej ocenie takie ewolucyjne przejście do modelu bliższego anglosaskiemu jest korzystniejsze niż szybkie wprowadzanie radykalnych zmian. Niemniej jednak bez podjęcia odpowiednich działań i ich konsekwentnej realizacji m.in. temat definitywnej likwidacji lub zachowania habilitacji pozostanie tematem spornym w środowisku akademickim.

Piotr M. Wojtulek, Uniwersytet Wrocławski (piotr.wojtulek@uw.edu.pl), przewodniczący Rady Młodych Naukowców

Radosław Kamiński, Uniwersytet Warszawski (rkaminski85@uw.edu.pl), członek Rady Naukowej Dyscypliny „Nauki Chemiczne” na UW

Katarzyna N. Jarzemska, Uniwersytet Warszawski (katarzyna.jarzemska@uw.edu.pl), członkini Rady Młodych Naukowców, członkini Rady Naukowej Dyscypliny „Nauki Chemiczne” na UW

Agnieszka Jastrzębska, Politechnika Warszawska (agnieszka.jastrzebska@pw.edu.pl), członkini Rady Naukowej Dyscypliny „Inżynieria Materiałowa” na PW

Wolność wyobraźni i odpowiedzialność obserwatora

Nie wątpię, że gdzieś istnieje instytucja opisywana przez autorów, z trzystopniowymi awansami, ramami czasowymi, płaską strukturą i jasno zdefiniowanymi grupami badawczymi prowadzonymi przez wyłonione w jawnych konkursach osoby po stażu podoktorskim.

W tekście *Wolność i odpowiedzialność* (FA 4/2020) Marcin Nowotny, Natalia Letki i Barbara Klajnert-Maculewicz postulują zastąpienie habilitacji i profesury systemem awansów uczelnianych, acz ocenianych przez zewnętrznych ekspertów. Na pewno można wartościowo dyskutować, czy i jak należy zmieniać strukturę polskiej akademii. Wspomniany tekst nie zawiera jednak wyłącznie propozycji, ale również ich uzasadnienie, i jemu właśnie chciałbym poświęcić kilka słów. To paradygmatyczny wręcz przykład argumentum ad urbem aureum: bajki o złotym mieście na wzgórzu, dokładnej, ze szczegółami, choć miasta tego argumentujący nie widzieli nawet przez lunetę.

Mamy więc plan zniesienia centralnie przyznawanych stopni i tytułów naukowych (habilitacji i profesury – autorzy nie tłumaczą,

dłaczego doktorat należałoby utrzymać) uzasadniony powołaniem się na sprawdzone praktyki, powszechne „w krajach o wysoko rozwiniętej nauce”. Dalej czytelnik może się dowiedzieć, że chodzi o kraje anglosaskie, które „odnoszą największe sukcesy w nauce”, czyli od razu odrzucane są rozwiązania np. niemieckie, francuskie bądź skandynawskie (nie mówiąc o np. chińskich). Sednem artykułu jest jednak wyliczenie owych praktyk i wyjaśnienie czytelnikowi, jak to właściwie jest w świecie anglosaskim.

Tak się składa, że przepracowałem jako pracownik naukowy trzynaście lat (do grudnia zeszłego roku) na brytyjskich uniwersytetach. Przyznam, że niezależnie od pozycji tych instytucji w rankingach mam wątpliwości co do doskonałości wielu rozpowszechnionych w Wielkiej

Brytanii rozwiązań (było to jeden z powodów, dla których zdecydowałem się przenieść do Francji), a częste fale strajków w angielskich uniwersytetach sugerują, że nie jestem w moim sceptycyzmie całkowicie odosobniony. Tu jednak moim celem nie jest polemika z wizją zmian przedstawionych w „Wolności i odpowiedzialności”, ale wyrażenie mojego głębokiego zaskoczenia opisem świata anglosaskiego wyłaniającego się z tego tekstu. Co istotne, autorzy nie przedstawiają swoich propozycji jako rozwiązań wybranych przez nich z gamy funkcjonujących w opisywanym przez siebie środowisku, ale jako powszechnie obowiązujące zasady. Mimo to, wiele z nich jest dla mnie całkowitą nowością, niespotykaną ani przeze mnie, ani przez konsultowanych przeze mnie kolegów z innych instytucji. Pozwolę więc sobie przytoczyć kilka stwierdzeń autorów wraz z komentarzem porównującym je do mojego doświadczenia.

Na pewno nie jedyny

„System funkcjonujący w świecie anglosaskim to trójstopniowa promocja: assistant professorship, associate professorship i wreszcie full professorship”. Oczywiście istnieje taka struktura i chyba jest dość rozpowszechniona, np. w Stanach Zjednoczonych. Na pewno jednak nie jest to jedyny sposób organizacji szczebli kariery uniwersyteckiej. Na przykład w Wielkiej Brytanii powszechna jest również wersja Lecturer, Senior Lecturer, Reader i Professor (czterostopniowa). Na górze miewamy Distinguished Professor (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych). W wielu nowszych instytucjach w Wielkiej Brytanii istnieje także dodatkowy szczebel na dole drabiny, często zajmowany przez osoby bez doktoratu (i wtedy mamy progresję Lecturer, Senior Lecturer, Principal Lecturer, bywający ekwiwalentem Senior Lecturer z innych uczelni). Do tego dochodzą instytucje tenure w Stanach Zjednoczonych i probation w Wielkiej Brytanii, dokładające kolejne fałdy do systemu. I rosnąca grupa sprekaryzowanych bezetatowców: *adjunct professors* (w Stanach Zjednoczonych) i „zero hour lecturers” (w Wielkiej Brytanii)..

„Do każdego etapu wyznaczone są ramy czasowe”. Na pewno w wielu miejscach są. Ale poza okresem próbnego zatrudnienia (probation, trwającego od trzech do pięciu lat) w żadnej instytucji, gdzie pracowałem, takich ram nie było. Zatrudnienie czasowe spotykałem w kontekście finansowanych z zewnętrznych grantów projektów badawczych, nijak niepowiązanych z formalnymi etapami kariery akademickiej.

„Każda promocja na kolejny stopień zawiera zewnętrzną ocenę osiągnięć naukowych kandydata”. Znow, na pewno są instytucje, gdzie taka ocena jest konieczna, ale nie była ona częścią procesu na znanych mi uczelniach, a już na pewno nie na każdym stopniu promocji.

„W krajach anglosaskich, które odnoszą największe sukcesy w nauce, struktura ta jest płaska. Instytucje składają się z dobrze zdefiniowanych grup badawczych”. W znanych mi instytucjach brytyjskich grupy badawcze są najczęściej słabo zdefiniowane i poza kluczowymi osobami kierującymi grupą lista ich członków bywa nieoczywista. Struktura organizacyjna jest często smukła (katedry, departamenty, szkoły, wydziały, administracja centralna), mętna, matrycowa (organizacja zadań badawczych krzyżuje się z organizacją nauczania) i podatna jest na okresowe odgórne reorganizacje.

„Kierownicy tych grup są wyłaniany w otwartych konkursach”. Przez wspomniane wyżej trzynaście lat nie widziałem takiego konkursu. Niejednokrotnie widziałem natomiast mianowania nowych kierowników grup badawczych przez władze wydziału bądź władze wyższego szczebla, nawet centralne.

„Najczęściej są to ludzie zaraz po stażu podoktorskim, w najbardziej aktywnym, dynamicznym okresie działalności naukowej i najbardziej twórczym okresie życia”. W znanych mi instytucjach kierownikami grup badawczych zostawały zwykle osoby z największym stażem lub największym prestiżem w danej jednostce – najczęściej profesorowie.

„To kierownik grupy badawczej jest oceniany, a nie każdy jego podwładny”. We wszystkich znanych mi przypadkach wyniki badań każdego naukowca rozliczane były indywidualnie, a wprowadzane ostatnio zmiany w formule centralnej (czyli ogólnokrajowej) okresowej oceny dorobku badawczego instytucji (REF, Research Excellence Framework) zwiększyły nacisk na poddawanie ocenie dorobku wszystkich pracowników. Instytuty i centra badawcze również były rozliczane ze swoich sukcesów, ale nie spotkałem się z sytuacją, w której zastąpiłoby to ocenę indywidualną.

„Ocena pracowników w danej grupie pozostaje w gestii jej lidera”. Nigdzie nie spotkałem takiego rozwiązania: osiągnięcia naukowe poszczególnych pracowników oceniane były na poziomie szkoły lub wydziału.

Żadne nie dotyczy wszystkich

Powyższa lista nie wyczerpuje wszystkich przypadków, w których moje doświadczenie nie zgadza się z opisem przedstawianym przez autorów artykułu, wystarczy jednak chyba do ilustracji sedna problemu. Nie wątpię, że gdzieś istnieje instytucja opisywana przez autorów, z trzystopniowymi awansami, ramami czasowymi, płaską strukturą i jasno zdefiniowanymi grupami badawczymi prowadzonymi przez wyłonięne w jawnych konkursach osoby po stażu podoktorskim. Być może istnieją również uczelnie, w których indywidualna ocena pracowników leży w gestii młodych, dynamicznych kierowników centrów badawczych (choć zdziwiłbym się, gdyby dotyczyło to etatowych pracowników brytyjskich uniwersytetów). Jednak autorzy postulują nie tylko istnienie takiej placówki, twierdzą także, że opisane przez nich rozwiązania stanowią „system anglosaski”, który polskie uczelnie powinny naśladować.

Mam pewność, że „system anglosaski” tak nie wygląda. Nie ma jednolitości rozwiązań, w samej Wielkiej Brytanii spotkać można daleko idącą różnorodność. Będzie ona jeszcze większa, gdy do systemu anglosaskiego zaliczymy Stany Zjednoczone, Australię, Nową Zelandię, a może również Kanadę i Irlandię. Mało które spośród stwierdzeń autorów dotyczyć będzie większości instytucji, żadne nie będzie dotyczyło wszystkich. To, czy w Polsce należy naśladować system anglosaski, jest tematem na zupełnie inną dyskusję. Ale jeśli nawet, to potrzebujemy w tym celu rzetelnej informacji o stosowanych rozwiązaniach, ich heterogeniczności i rozpowszechnieniu (najlepiej połączonej z refleksją, co na ich temat sądzą rozmaici interesariusze).

Jeśli zabierzemy się za naśladowanie wycinków rzeczywistości poznanych przez czasowych uczestników systemów, a przedstawianych następnie jako powszechnie obowiązujące normy, pozostaniemy, w najlepszym wypadku, z nieudolną kopią koślawej karykatury podziwanego systemu.

Jerzy Kociatkiewicz jest profesorem zarządzania zasobami ludzkimi w Institut Mines-Télécom Business School we Francji. Wcześniej pracował na uczelniach w Wielkiej Brytanii, Szwecji i Polsce. zajmuje się teorią organizacji, przestrzenią organizacyjną, doświadczaniem rzeczywistości organizacyjnej, nadawaniem sensu i procesami narracyjnymi związanymi z organizowaniem.



Źródło: researchgate.net

Rozmowa z dr **Anną Budzanowską**, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Dydaktycy są dziś mistrzami świata

Kształcenie zdalne, które musieliśmy wprowadzić nagle na tak dużą skalę, nie jest rozwiązaniem docelowym. To, co na czas epidemii okazało się optymalną konstrukcją, stworzoną i wykorzystywaną w sytuacji nadzwyczajnej, w przyszłości może być sposobem alternatywnym lub uzupełniającym.

Czy możemy mówić o zamknięciu uczelni w wyniku epidemii?

Nie. W formie tradycyjnej wydają się nam wymarłe, ale w formie zdalnej żyją pełnią życia, ujawniają obszary, o których dotychczas nie mieliśmy pojęcia lub mieliśmy tylko mgliste wyobrażenia. One zaczęły funkcjonować w innej przestrzeni – wirtualnej. Wprowadzenie ograniczeń w funkcjonowaniu uczelni nie oznacza, że są one zamknięte. Zawieszone zostało tradycyjne kształcenie, natomiast nadal prowadzone są zajęcia, tyle że w formie zdalnej. Działy IT uczelni mocno przyspieszyły. Gdyby nie one, przejście do nowego typu funkcjonowania nie byłoby możliwe. Administracja też przeszła na inny poziom, musiała się całkowicie przebudować. Rektorzy mają obowiązek zapewnienia funkcjonowania uczelni, ale jednocześnie dla ochrony pracowników w rozporządzeniu MNiSW dopuszczono zdalne świadczenie pracy, gdy tylko jest to możliwe.

A działalność naukowa?

Z pewnością pandemia COVID-19 zmieniła sposób prowadzenia działalności badawczej. Jest ona kontynuowana z zachowaniem wszelkich reguł bezpieczeństwa, ale w bardzo ograniczonym zakresie. Obecnie naukowcy poświęcają więcej czasu na zbieranie materiałów, pisanie artykułów czy recenzowanie prac. Choć wielu z nich rzadziej przebywa w laboratoriach, nadal pracują zdalnie nad projektami oraz rozwijają kontakty międzynarodowe w przestrzeni online. Jak podkreślają, sytuacja, w jakiej się znaleźli, często wręcz otwiera drogę do bardziej nieformalnej i szybszej współpracy. Niemal zupełnie stanęły jednak badania doświadczalne – te, które wymagają laboratoriów, eksperymentów. Oczywiście nie licząc badań związanych z wirusami czy z ochroną zdrowia. Nie wiem, czy zrobiliśmy słusznie, jako środowisko akademickie, ograniczając tak mocno pracę w laboratoriach, ale skoro była decyzja o lockdown, to nie było innego wyjścia.

Ministerstwo zmieniło termin i okres ewaluacji działalności naukowej.

Mamy oczywiście świadomość, że dynamika działalności naukowej w wielu obszarach uległa spowolnieniu z uwagi na

pandemii. Analizowaliśmy to, co się dzieje na świecie w zakresie mobilności i badań. W tej chwili została zawieszona współpraca międzynarodowa w formule tradycyjnej, zamknięto ogromną część laboratoriów, nawet nasze krajowe są wyłączone z normalnego trybu pracy. Wiele wskazuje na to, że szybko nie wrócimy do stanu sprzed epidemii. Fikcją byłoby twierdzenie, że możemy utrzymać termin ewaluacji. Przesunięcie o rok terminu najbliższej ewaluacji jakości działalności naukowej oraz objęcie nią pięciu zamiast czterech lat jest racjonalną odpowiedzią na to, co się dzieje w nauce. Przygotowujemy teraz nowelizację rozporządzenia w sprawie ewaluacji. Chciałabym zapewnić, że jej celem nie jest wprowadzanie istotnych zmian do zasadniczych elementów ewaluacji. Nowelizacja ma charakter w głównej mierze techniczny. Przede wszystkim dostosuje przepisy do nowego terminu ewaluacji. Ma także na celu doprecyzowanie niektórych przepisów, co jest niezbędne w świetle uwag i wątpliwości interpretacyjnych zgłaszanych przez środowisko naukowe.

Jakie formy przybrała działalność dydaktyczna? Czy wszystkim udało się skutecznie przejść do nowej rzeczywistości?

Na początku epidemii zrobiliśmy ankietę, żeby się zorientować, czy w ogóle rozwiązania dotyczące kształcenia zdalnego zostały wdrożone. Wyniki są optymistyczne. Uczelnie w miarę posiadanych zasobów infrastrukturalnych organizują nauczanie, wykorzystując metody i techniki kształcenia na odległość. Chodzi o to, aby sprawnie, zgodnie z przyjętym harmonogramem zakończyć semestr w tych obszarach studiów, gdzie jest to możliwe. Przykładowe narzędzia do nauczania zdalnego udostępniliśmy na stronie ministerstwa, w zakładce „Kształcenie na odległość”. Uruchomiliśmy również specjalny adres e-mail (e-learning@opi.org.pl), pod którym uczelnie mogą zgłaszać zapotrzebowanie na wsparcie merytoryczne lub organizacyjne. W wyborze odpowiednich narzędzi mają jednak całkowitą dowolność – to one wiedzą najlepiej, które metody będą dla nich najodpowiedniejsze. Niektóre korzystają z własnych platform e-learningowych, inne używają ogólnie dostępnych narzędzi, zarówno bezpłatnych, jak i komercyjnych. Uczelnie muszą nie tylko zapewnić infrastrukturę technologiczną umo-

liwiącą prowadzenie nauczania zdalnego oraz legalny i bezpłatny dostęp do stosowanych narzędzi wszystkim uczestnikom takiego kształcenia, ale także udzielić studentom, doktorantom oraz nauczycielom akademickim wsparcia w zakresie obsługi systemu wykorzystywanego do prowadzenia zajęć dydaktycznych online. Są też zobowiązane do zapewnienia studentom uzyskania takich samych efektów, jakie dawało kształcenie tradycyjne. Uczelnie muszą również weryfikować efekty kształcenia uzyskiwane podczas nauczania na odległość. Obecnie obowiązujące przepisy pozwalają, aby wszystkie zaliczenia i egzaminy, w tym egzaminy dyplomowe, mogły się odbywać zdalnie z wykorzystaniem technologii informatycznych. Na pewno jednak kształcenie zdalne, które musieliśmy wprowadzić nagle na tak dużą skalę, nie jest rozwiązaniem docelowym. To, co na czas epidemii okazało się optymalną konstrukcją, stworzoną i wykorzystywaną w sytuacji nadzwyczajnej, w przyszłości może być sposobem alternatywnym lub uzupełniającym. Myślę, że ten okres zmienił nasze nastawienie do kształcenia zdalnego. Być może kontraktowanie wybitnego wykładowcy z odległej uczelni do przeprowadzenia zdalnie zajęć nie będzie już budziło zdziwienia. Będą zatem pozytywne rezultaty kryzysowo wprowadzonych rozwiązań. Jakże? Zobaczmy.

Czy w formie zdalnej da się zrealizować program kształcenia w odpowiednim zakresie i na odpowiednim poziomie? Jeśli nie, to co dalej?

Zdecydowana większość programów studiów może zostać w pełni zrealizowana w formie zdalnej, widzę takie możliwości zwłaszcza w przypadku kierunków humanistycznych, społecznych. Myślę zatem, że te kierunki zakończą zajęcia w terminie. Inaczej może być z tymi, które wymagają pracy studentów w laboratoriach czy dużej dawki zajęć praktycznych. Mam świadomość, że brak dostępu do laboratoriów może zakłócić cykl wakacyjny. Dlatego, jeśli tylko sytuacja epidemiczna na to pozwoli, będziemy starali się otwierać uczelnie tam, gdzie to możliwe i konieczne, aby odrobić przynajmniej te zajęcia, w których powstały zaległości. Uczelnie dobrze radzą sobie z sytuacją, która je dotknęła. Już planują sposób odmrożenia. Przygotowaliśmy – we współpracy ze środowiskiem i GIS – rekomendacje dotyczące przywracania pracy uczelni. Liderami tego projektu były Gdański Uniwersytet Medyczny i Politechnika Gdańska, którym bardzo dziękuję. Tak czy inaczej, studenci mają obowiązek uczestniczenia w zajęciach prowadzonych na odległość oraz wykonywania i raportowania wszystkich zleconych zadań. Obowiązkiem nauczyciela akademickiego jest natomiast przygotowanie materiałów dydaktycznych zapewniających każdemu studentowi obciążenie pracą na zajęciach, zgodnie z liczbą godzin przypisaną w planie i programie studiów. Prowadzący zajęcia musi również regularnie monitorować i dokumentować proces uczenia się studentów. Konieczna jest też weryfikacja efektów uczenia się uzyskanych podczas nauki zdalnej. Może ona zostać przeprowadzona w trybie online, przy użyciu narzędzi informatycznych.

Czy dotyczy to także obron prac dyplomowych, a może i doktorskich?

Może. I mieliśmy już tego przykłady.

Czy ministerstwo przewiduje odgórne skrócenie okresu wakacji akademickich, przedłużenie czasu trwania zajęć, zaliczania przedmiotów i zdawania egzaminów w tym roku akademickim?

Obowiązujące przepisy określają tylko daty rozpoczęcia i zakończenia roku akademickiego, który trwa, przypomnę, od 1 października do 30 września następnego roku i tych terminów nie ma potrzeby zmieniać. Organizacja roku akade-



Zdjęcie: MNiSW

Dr **Anna Budzanowska** (ur. w 1976 r.) jest absolwentką Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jej zainteresowania naukowe koncentrują się na doktrynach politycznych i prawnych, systemach ustrojowych oraz na politykach publicznych. Jest specjalistką z zakresu myśli politycznej francuskiej prawicy i stypendystką rządu francuskiego. Ukończyła również Podyplomowe Studia Menedżerskie prowadzone przez Gdańską Fundację Kształcenia Menedżerów i Uniwersytet Gdański. Była wicedyrektorem Instytutu Adama Mickiewicza, kierowała Departamentem Sportu w Ministerstwie Sportu i Turystyki oraz pełniła funkcję dyrektora ds. współpracy instytucjonalnej w Kancelarii Prezydenta. W MNiSW pracuje od 2016 r., początkowo jako dyrektor generalny, a od grudnia 2019 r. jest podsekretarzem stanu. Współtwórczyni Narodowego Kongresu Nauki oraz cyklu konferencji „Polonia Restituta. Dekalog dla Polski w 100-lecie odzyskania niepodległości”. Odpowiadała za projekty strategiczne w ministerstwie; przewodniczy pracom zespołu ds. wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki. Członek Rady Polsko-Amerykańskiej Komisji Fulbrighta z ramienia MNiSW.

mickiego pozostaje w gestii uczelni i to one będą podejmować decyzję w tym zakresie. Już teraz napływają do nas sygnały o możliwych przesunięciach terminów sesji egzaminacyjnych na sierpień.

Czy oprócz samych ustaw „covidowych”, tarcz, trzeba coś zmieniać, np. w statutach uczelni czy Prawie o szkolnictwie wyższym i nauce, aby realizować działalność uczelni i instytutów w czasie epidemii?

Zmiany niezbędne do zapewnienia ciągłości funkcjonowania uczelni i instytutów w warunkach epidemii zostały już wprowadzone. Należą do nich choćby rozwiązania umożliwiające organom uczelni i instytutów przeprowadzanie posiedzeń i głosowanie z wykorzystaniem technologii informatycznych. Obecnie trwają prace m.in. nad nowelizacją rozporządzenia w sprawie studiów, które ma ułatwić prowadzenie dokumentacji przebiegu studiów z wykorzystaniem narzędzi informatycznych. O nowelizacji swoich aktów wewnętrznych uczelnie czy instytuty powinny decydować samodzielnie. Np. w związku

z przesunięciem terminu egzaminów maturalnych i rezygnacji z ich części ustnej, do nowych rozstrzygnięć powinny być dostosowane uchwały rekrutacyjne na rok akademicki 2020/2021.

Jak sobie pani wyobraża rekrutację na studia na kolejny rok akademicki?

Jestem dobrej myśli. Już kilka tygodni temu Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich informowała, że uczelnie są gotowe czekać na wyniki matur i tak zorganizować proces rekrutacji, żeby przeprowadzić go jak najsprawniej. Oczywiście liczymy się z tym, że późne wyniki matur, w tym egzaminów poprawkowych, mogą spowodować niewielkie przesunięcia terminów rozpoczęcia zajęć na studiach, ale są one do odrobienia w trakcie roku akademickiego.

Akurat mamy wybory rektorów. Jak ich przebieg ocenia ministerstwo nauki?

Wybory rektorskie w czasie pandemii są nowym doświadczeniem dla uczelni. Społeczność akademicka jest przyzwyczajona do tradycyjnych form demokracji. Już reforma otworzyła wiele nowych obszarów, a tu nagle kolejne zmiany! Doskonale rozumiem obawy uczeni, które nie chciały w ogóle podjąć dyskusji na temat wyborów zdalnych z wykorzystaniem narzędzi elektronicznych. Argumenty były bardzo różne, choćby brak zaufania do narzędzi informatycznych czy trudności w prowadzeniu kampanii wyborczych. Wydaje się, że koniec końców uda się je przeprowadzić.

Jednak wybory w przemyskiej uczelni zawodowej zostały anulowane...

Tak, z powodów formalnych. Jak dotąd nie mamy innych niepokojących sygnałów. Niemniej skierowaliśmy do szkół wyższych zapytanie ankietowe w celu ustalenia, czy proces wyborczy nie jest u nich zagrożony. Zalecamy, aby jednak zagwarantować w statutach formę głosowania zdalnego, bo przed nami kolejne wybory innych organów uczelni, a nie wiemy, kiedy epidemia się skończy i czy nie powróci. W ostatnich dniach niemal codziennie napływają do ministerstwa informacje o wyłonieniu kolejnych rektorów. Wybory zakończyły się już w ponad jednej czwartej szkół wyższych nadzorowanych przez MNiSW. Przypomnę, że ostateczny wybór rektora powinien się zakończyć w takim terminie, aby elekt mógł objąć urząd 1 września. Zatem uczelnie mają jeszcze trochę czasu i sądzę, że pomimo różnorodnych trudności wszystkim uda się w ustawowym czasie wyłonić nowe władze.

Czy stan epidemii zamraza postępowania awansowe, czy też toczą się one dalej? Czy ewentualne zdalne obrony doktorskie nie zostaną potem zakwestionowane?

Wprowadziliśmy regulacje prawne umożliwiające prowadzenie, kontynuację postępowania awansowych w trybie zdalnym, tj. z wykorzystaniem technologii informatycznych. Dotyczy to również postępowania toczących się przed Radą Doskonałości Naukowej oraz Centralną Komisją do spraw Stopni i Tytułów. To od podmiotów przeprowadzających postępowania zależy, czy z tego skorzystają. Możliwość zdalnej obrony rozprawy doktorskiej wynika wprost z przepisów i nie należy się obawiać zakwestionowania jej wyniku. W ramach prac nad tzw. tarczą 3.0 udało się także zrealizować postulat środowiska doktorantów, aby wydłużyć o rok termin, w którym niezakończone przewody doktorskie, wszczęte na poprzednich zasadach przed 30 kwietnia 2019 r., zostaną z mocy ustawy zamknięte (z 31 grudnia 2021 na 31 grudnia 2022). Ponadto zostanie przedłużony o rok okres stosowania przejściowych zasad dotyczących wymogów publikacyjnych w ramach postę-

powania awansowych (do 31 grudnia 2021 r.), a w przypadku osób ubiegających się o stopień doktora habilitowanego, których podstawowy dorobek oparty jest na cyklach artykułów naukowych – bezterminowo, co usuwa zgłaszane wątpliwości środowiska akademickiego dotyczące możliwości przedkładania jako minimalnego dorobku artykułów naukowych opublikowanych przed 2019 r.

Co z umiędzynarodowieniem kształcenia i badań? Jak wielu studentów obcokrajowców pozostało w kraju, ilu wyjechało?

Część studentów zagranicznych pozostała w Polsce. Okazuje się, że czują się u nas bezpiecznie. Część kontynuuje kształcenie zdalne z własnych domów, oczekując złagodzenia restrykcji epidemicznych. Z danych zebranych przez Narodową Agencję Wymiany Akademickiej wynika, że w Polsce pozostała zdecydowana większość stypendystów rządu polskiego. Tym, którzy wyjechali, ale kontynuują kształcenie z wykorzystaniem środków kształcenia na odległość, wypłacane są stypendia w niezmienionej wysokości. Dla pozostających w kraju stworzona została oferta szybkich, jednorazowych zapomóg. Aplikowało o nie już 1400 studentów zagranicznych.

MNiSW monitoruje sytuację zagranicznych studentów. Cieszy nas duża liczba inicjatyw wychodzących naprzeciw potrzebom tej grupy. Uczelnie bardzo przyłożyły się do zapewnienia im odpowiednich warunków. Nie zamknięto akademików, ale rozrzedzono lokatorów; zaopiekowano się studentami zagranicznymi. Wiele uczelni obniżyło opłaty za akademiki na czas kryzysu spowodowanego epidemią, rozwijane są formy wsparcia online. Chcę za to bardzo podziękować rektorom i społecznościom uczelni.

Co z rekrutacją zagraniczną w tej sytuacji?

Przewidujemy, że zdecydowana część tego procesu będzie się odbywać online. Niestety prognozowana jest również mniejsza liczba przyjęć studentów cudzoziemców, spowodowana globalnymi obostrzeniami związanymi z COVID-19. Sytuacja polskich uczelni nie jest tu wyjątkiem, z podobnymi problemami i wyzwaniem zmagają się uczelnie na całym świecie. Aby zwiększyć konkurencyjność naszych uczelni, planujemy dopuścić, aby na kierunkach studiów o profilu ogólnoakademickim do 75% efektów uczenia się (a nie, tak jak dotychczas, 50%) mogło być uzyskane na zajęciach prowadzonych z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. Mam nadzieję, że ta zmiana pozwoli na większe uelastycznienie kształcenia i będzie miała wpływ na wybór polskich uczelni przez zagranicznych studentów.

Epidemia zmieni naukę i szkolnictwo wyższe?

Nie wiem jak bardzo. Objawiły się jednak nowe obszary, które się dynamizują, przechodzą rewolucję cyfrową, która nie miałaby miejsca, gdyby nie wybuchła epidemia. Reforma nauki otworzyła tyle nowych obszarów, że już ten dodatkowy, związany z epidemią, trudno było sobie wyobrazić. A jednak! Działalność uczelni jest poddana pewnym mechanizmom, a COVID-19 całkowicie zmienił reguły gry. Uczelnie, które przy okazji reformy przeanalizowały swą strukturę, poznały zasoby, określiły cele, przejdą dobrze także zderzenie z Covidem. Chciałam bardzo podziękować dydaktykom. Prowadzący zajęcia zdalne są dziś mistrzami świata. Szczególne podziękowania należą się paniom, które kształcą studentów, równocześnie pomagają w lekcjach, również zdalnych, swoim pociechom. To ogromny wysiłek i warto go docenić. Z mojej strony wielkie brawa.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Chcąc poruszyć problemy wydawnictw akademickich, nasza redakcja zwróciła się do dyrektorów uczelnianych oficyn wydawniczych i innych zainteresowanych osób z szeregiem pytań. Interesuje nas m.in.: jaka jest obecnie polityka uczelni wobec wydawnictw, jaki przyjmują one model biznesowy i jak się kształtują koszty, finansowanie i sprzedaż w segmencie książek akademickich. Pytaliśmy również, co się zmieniło po wprowadzeniu ministerialnego wykazu wydawców, jak wpływa na jakość książki akademickiej finansowanie

ich wydawania z grantów oraz na czym mogą dzisiaj polegać dobre praktyki recenzyjne i wydawnicze. Czy zastąpienie części tytułów drukowanych publikacjami elektronicznymi poprawia sytuację książki i wydawnictw? Czego można oczekiwać od upowszechnienia platform cyfrowych? Czy książki akademickie trafiają do bibliotek publicznych? Jakie jest miejsce wydawnictwa akademickiego pośród wydawców książek naukowych? Publikujemy wypowiedzi wydawców, którym serdecznie dziękujemy za zabranie głosu.

Jolanta Szczepaniak

Wykaz stał się bodźcem do zmian

Uczelnie mają dużą autonomię i chyba nie istnieje jeden wspólny model polityki wobec własnych wydawnictw. W większości szkół wyższych wydawnictwa są wewnętrznymi jednostkami organizacyjnymi, które podlegają rektorowi lub prorektorowi. W Politechnice Łódzkiej tak było jeszcze kilka lat temu – wtedy Wydawnictwo PŁ, jeszcze jako Wydawnictwa Naukowo-Dydaktyczne, było samodzielną jednostką i podlegało rektorowi. Ale od 2013 roku zostało włączone w strukturę Biblioteki Politechniki Łódzkiej jako jeden z jej oddziałów.

Naszą działalność wydawniczą określa uchwała Senatu Politechniki Łódzkiej z 1998 roku w sprawie zasad prowadzenia działalności wydawniczej. Jest to dokument, który nie uwzględnia wielu aspektów współczesnego rynku książki (zwłaszcza książki elektronicznej). Dlatego pracujemy nad nowym regulaminem, który zostanie przedstawiony Senatowi Politechniki Łódzkiej oraz będzie lepiej odpowiadał rzeczywistemu modelowi działania współczesnego wydawnictwa akademickiego.

Sama podstawa działania prawdopodobnie nie ulegnie zmianie – wydawnictwo będzie finansowane przez uczelnię, a koszty wydania poszczególnych publikacji ponosić będą jednostki, które wydanie danego tekstu zleciły. Ustalane są stawki honorariów dla recenzentów oraz autorów skryptów i podręczników. Dystrybucja książek opierać się będzie na sklepie stacjonarnym i sprzedaży internetowej, choć liczymy na wzrost zysków z uwagi na szerszą współpracę z platformami sprzedającymi treści elektroniczne.

Koszty, finansowanie i sprzedaż

W Politechnice Łódzkiej finansowanie publikacji leży po stronie jednostek politechnicznych – wydziałów, katedr, instytutów itp. – i opiera się na uprzednio sporządzonym planie wydawniczym. Liczba publikacji oraz nakłady w danym roku muszą być zaplanowane również ze względu na umowę z drukarnią, choć oczywiście zdarzają się publikacje, które nie zostały wcześniej zgłoszone przez dziekanów poszczególnych wydziałów lub kierowników jednostek ogólnouczelnianych. W ostatnich latach

koszty wydania książki wynosiły od kilkuset do nawet kilkunastu tysięcy złotych. Wszystko zależy od objętości, nakładu, honorariów i ceny usługi poligraficznej. Całość kosztów ponosi jednostka, która zleca wydanie publikacji. Pochodzą one z pieniędzy przeznaczonych na działalność naukową lub dydaktyczną, ewentualnie związane są z realizowanymi projektami lub uzyskanymi grantami.

Książki są dystrybuowane w wolnym dostępie poprzez własne platformy cyfrowe (repozytoria i bibliotekę cyfrową) albo trafiają do sprzedaży we własnej księgarni. Wszystko zależy od wstępnych ustaleń z autorami oraz od zapisów zawartych w umowach wydawniczych lub licencyjnych. Tytuły, które rokuje wyższą sprzedaż (np. podręczniki), wydawane są w większych nakładach (250-500 egzemplarzy), zaś dla książek mocno specjalistycznych, które potencjalnie będą miały bardzo wąską grupę odbiorców (np. monografie przygotowywane na podstawie rozpraw habilitacyjnych), ustalane są niskie nakłady (np. 50-100 egzemplarzy). Oprócz dystrybucji we własnych kanałach książki są zamawiane przez hurtownie oraz księgarnie naukowe.

Ale w praktyce zmagamy się z takimi samymi problemami jak inne wydawnictwa akademickie. Nie mamy większych szans na ogólnopolską dystrybucję swoich publikacji, zwłaszcza tych, które wydawane są w językach innych niż polski. Nasze publikacje bywają mocno specjalistyczne, w związku z czym mają ograniczone grono odbiorców, a wiele z nich to prace, których wydanie wymagane jest przez uczelnię (prace doktorskie lub rozprawy habilitacyjne). Nie dysponujemy środkami na inwestycje czy prowadzenie polityki reklamowej.

Po wprowadzeniu wykazu wydawców

Przed wszystkim zwiększyła się liczba zapytań o możliwość wydania monografii naukowych, materiałów konferencyjnych czy prac zbiorowych – i to nie tylko przez pracowników Politechniki Łódzkiej, ale też wiele innych instytucji oraz osób prywatnych. Chcą z nami współpracować instytucje, które nie znalazły się w ministerialnym wykazie.

Wykaz stał się dla nas bodźcem do zmian. Spełnialiśmy podstawowe kryteria, ale nie chcieliśmy się na tym zatrzymać. Wępiego jego wprowadzeniu zaczęliśmy kłaść nacisk na ulepszenie procesu wydawniczego, jakość tekstów oraz usprawnienie procesu recenzowania. Już wcześniej opracowaliśmy zasady etyki publikacyjnej i procedury recenzowania tak, by były zgodne z wytycznymi ministerstwa i COPE, ale dodatkowo je uszczegółowiliśmy. Uporządkowaliśmy, zaktualizowaliśmy i uzupełniliśmy informacje na stronie internetowej wydawnictwa. Wprowadziliśmy dystrybucję identyfikatorów DOI, finalizujemy umowy z platformami dystrybuującymi treści cyfrowe oraz z dostawcą systemu antyplagiatowego, rozwijamy platformę bazującą na Open Journal System, na której udostępniane są elektroniczne wersje czasopism i zeszytów naukowych. Pracujemy też nad angielską wersją językową naszej strony internetowej.

Na pytanie redakcji „Forum Akademickiego” jak wpływa na jakość książki akademickiej finansowanie wydawania z grantów odpowiem krótko: Utrzymujemy taką samą jakość publikacji niezależnie od źródła finansowania, a wszystkie przechodzą taki sam proces wydawniczy.

Padło również pytanie o dobre praktyki recenzyjne i wydawnicze.

Moim zdaniem wystarczy konsekwentnie stosować się do rekomendowanych przez ministerstwo i inne instytucje zasad związanych z procesem wydawniczym i recenzyjnym. Są one bardzo szczegółowe i precyzyjne, obejmują praktycznie każdy podmiot i każdy aspekt procesu wydawniczego. Dlatego istotne jest, aby deklarowanie przez wydawnictwo respektowania określonych zasad – na przykład wytycznych Komitetu do spraw Etyki Publikacyjnej COPE – nie było tylko pustym sloganem.

Publikacje elektroniczne a sytuacja książki

Prestiż wydawnictwa wciąż przekłada się na jakość publikacji, niezależnie od tego, czy będzie ona wydana jako książka elektroniczna, czy jako tradycyjna książka drukowana. W przypadku Wydawnictwa Politechniki Łódzkiej nie ma znaczenia, jaka będzie to postać, książki przechodzą taki sam proces wydawniczy i recenzyjny. Coraz więcej przemawia za tym, że publikacje elektroniczne będą odgrywać coraz większą rolę. Takiej formy poszukują studenci, taka forma umożliwia najszybszą dystrybucję treści (jest to ważne zwłaszcza w naukach technicznych) i z takiej formy coraz częściej korzystają sami

naukowcy. Zjawisko to ma miejsce również w segmencie czasopism naukowych, które coraz częściej porzucają wersję drukowaną na rzecz elektronicznej i platform do kompleksowego zarządzania procesem wydawniczym.

Rozwój platform komercyjnych typu Amazon czy innych serwisów, które sprzedają, wypożyczają lub udostępniają elektroniczne publikacje, pokazuje, że to przyszłość rynku książki, także książki naukowej. Nie oznacza to końca książki drukowanej, ale wszystko zmierza w kierunku publikacji czytanych na ekranie telefonu, tabletu, komputera lub czytnika... Na pewno nie traktujemy ich jako wroga, nie jest to zło konieczne. Platformy cyfrowe nie tylko pomagają zwiększyć zasięg publikacji, ale również przyspieszają ich dystrybucję. Stanowią jedno z wykorzystywanych przez wydawnictwo narzędzi promocji.

Czy książki akademickie trafiają do bibliotek publicznych? Wydawnictwo przekazuje egzemplarze obowiązkowe bibliotekom według ustawowego rozdzielnika, natomiast z bibliotekami publicznymi dokonujemy innego typu transakcji – czasami otrzymujemy prośby o przekazanie egzemplarzy, czasami jest to po prostu zakup przez sklep internetowy. Nie są to częste przypadki, ale się zdarzają.

Jakie jest miejsce wydawnictwa akademickiego wśród wydawców książek naukowych? W znacznym stopniu wydawnictwa akademickie skupiają się na publikowaniu prac pracowników macierzystych uczelni, co przekłada się na ich swoistą działalność usługową wobec uczelni. Wydają to, co jest wymagane przez uczelnię (np. rozprawy habilitacyjne, publikacje wynikające z realizowanych projektów czy materiały z konferencji), a nie to, co będzie się sprzedawać. W takich przypadkach większa część nakładu nie trafia do sprzedaży, tylko jest przekazywana do dyspozycji autora lub wydziału, który daną publikację sfinansował. W znacznie mniejszym stopniu wydawnictwa akademickie prowadzą typową działalność komercyjną – ta opiera się przede wszystkim na podręcznikach i skryptach.

Wobec wydawców książek naukowych (przede wszystkim ogólnopolskich wydawnictw naukowych) wydawnictwa akademickie mają znacznie słabszą pozycję na rynku, ograniczony zasięg oraz otrzymują niewielkie nakłady na aktywny i systematyczny marketing. Co nie zmienia faktu, że są niezbędnym ogniwem funkcjonowania każdej uczelni.

Mgr Jolanta Szczepaniak, redaktor i kierownik zespołu Wydawnictwa Politechniki Łódzkiej



Fot. Piotr Kieraciński

Rozmowa z **Ewą Bluszcz**, dyrektorem i redaktorem naczelnym
Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego

Treści naukowe są dobrem publicznym

Wydawnictwa akademickie w Polsce są obecnie najważniejszym, specjalistycznym i sprofesjonalizowanym miejscem publikowania wyników badań naukowych.

Jak można określić politykę, którą prowadzą władze Uniwersytetu Łódzkiego wobec swojego wydawnictwa?

Wydawnictwo jest bardzo mocno wspierane przez władze Uniwersytetu Łódzkiego i przez władze poszczególnych wydziałów uczelni, zarówno merytorycznie, jak i finansowo. Kwestie publikowania utworów pracowników uniwersytetu i autorów niebędących pracownikami UŁ zostały precyzyjnie uregulowane w specjalnym zarządzeniu rektora i w regulaminie zarządzania prawami własności intelektualnej naszej uczelni. Mówi się w nich o tzw. prawie pierwszeństwa publikowania, wskazuje na tryb zwolnienia z prawa pierwszeństwa publikowania i reguluje również kwestie związane z organizacją wydawania czasopism naukowych.

Wydawnictwo razem z władzami uczelni uruchomiło specjalny program wspierania rozwoju czasopism naukowych afiliowanych przy UŁ, który razem z programami ministerialnymi pomaga redakcjom w uruchomieniu działań na rzecz podnoszenia jakości, umiędzynarodowienia, zwiększenia liczby cytowań i skutecznego aplikowania do renomowanych baz treści naukowych.

Oczywiście nie wszystko da się uregulować, zakres tematyczny i formalny naszych publikacji jest tak szeroki, że istnieje konieczność stosowania rozwiązań zindywidualizowanych. Mamy na taką okoliczność kilka opracowanych rozwiązań organizacyjnych.

Co państwo robią, aby podnieść poziom czasopism?

Za poziom merytoryczny i konkurencyjność treściową odpowiadają redakcje czasopism, w szczególności jest to główna odpowiedzialność redaktora naczelnego. Jednak jest też cała skomplikowana sfera administracyjna i organizacyjna działalności czasopism, od której zależy m.in. skuteczność w aplikowaniu do baz referencyjnych. Obecność w bazach wskazanych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i wskaźniki cytawalności przekładają się bezpośrednio na ocenę jakości czasopisma. Uniwersytet Łódzki stworzył swój własny program wsparcia czasopism, odmienny od ministerialnego, bo

obejmujący działania przede wszystkim na rzecz wzmocnienia profesjonalizacji cyklu wydawniczego, rozwoju narzędzi na rzecz zarządzania procesem publikacyjnym, w tym inwestycje w platformy elektroniczne, takie jak Digital Commons by Elsevier i Open Journal Systems, które umożliwiają zdalne sterowanie procesem dostarczania, oceny, selekcji, redagowania i upowszechniania (w tym promowania) treści artykułów naukowych. Chcielibyśmy, by nasze teksty były widoczne i błyskawicznie dostępne dla naukowców z całego świata, by autorzy postrzegali Uniwersytet Łódzki jako prestiżowe miejsce publikowania, a w konsekwencji, by nasi autorzy byli szeroko cytowani w innych publikacjach naukowych.

Wróćmy do książek. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego należy do niewielkiej grupy oficyn uczelnianych, których oferta wybiega poza krąg odbiorców specjalistów. A więc nie tylko monografie i zbiorówki pokonferencyjne, lecz także książka popularnonaukowa, poradniki... Czy taki profil i zarazem model biznesowy uda się w przyszłości utrzymać?

Głównym zadaniem Wydawnictwa UŁ jest oczywiście wydawanie książek naukowych i te stanowią 95% naszej produkcji. Opracowujemy i wydajemy również serie o bardziej popularnym charakterze, gdyż daje to dużo szersze możliwości promowania wiedzy naszych naukowców. W ten sposób zdobywamy nowych odbiorców, którzy zachęcenі sięgną być może kiedyś po bardziej wymagającą literaturę, a w każdym razie zapamiętają, że można jej szukać w naszym wydawnictwie. Nasi naukowcy współtworzą z nami serie popularnonaukowe, wspomagają nas fachową wiedzą i wspólnie staramy się wypracować model książki popularnej tworzonej z myślą o szerokim odbiorcy. Może uda nam się wypracować taką polską formułę popularyzowania wiedzy, która zmniejszy uzależnienie od tłumaczeń literatury obcej, głównie anglojęzycznej. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek zostali wydawnictwem poradnikowym, nie jest to naszym celem. Przygotowaliśmy parę krótkich poradników dla seniorów w ramach serii „Jesień Życia”, ale główną motywacją wydawniczą był fakt, że uniwersytet pro-

wadzi w tym zakresie badania socjologiczne i demograficzne. Mamy wielu specjalistów piszących poważne monografie dotyczące procesów starzenia się społeczeństwa. Dlaczego nie skorzystać z ich wiedzy, z ich kontaktów w środowisku zajmującym się tą problematyką? Podobnie jest z tematyką biznesową. Nie kreowaliśmy poradników, chodziło nam raczej o publikacje eksperckie dla praktyków, napisane „przy okazji” konferencji i seminariów uniwersyteckich, jak np. seria „Akademia Samorządowa”. Na naszym wydziale pedagogicznym pojawiły się badania dotyczące rozwoju krytycznego myślenia u dzieci, których wyniki są sformułowane w programie „Edukacja dla Mądrości”. Pomyśleliśmy, że to znakomity materiał dla nauczycieli i rodziców, że trzeba to koniecznie spopularyzować i wydać w takiej formie, aby mogli z tych opracowań korzystać. Takich przykładów jest wiele.

Nasz model biznesowy jest bardzo prosty, wydajemy te publikacje tanio. Książki mają małą objętość i są zręcznie zaprojektowane, tak aby nie generowały nadmiernych kosztów graficznych i kosztów druku, zaś treści autorskie, do których – trzeba przyznać – mamy ułatwiony dostęp, pisane są specjalnie dla nas przez autorów uniwersyteckich. Stawki autorskie są ustalone dla całego uniwersytetu w specjalnym zarządzeniu rektora. Mam nadzieję, że wyjaśniłam, dlaczego wydajemy nie tylko literaturę naukową i dlaczego ta aktywność wydawnicza przynosi korzyści zarówno Uniwersytetowi Łódzkiemu, jak i czytelnikom, i powinna być utrzymana w przyszłości.

Jak się kształtują koszty, finansowanie i sprzedaż w segmencie książek akademickich?

To pytanie na rozległy raport. Odpowiem więc nieco skrótowo, że publikacje naukowe będące wynikiem prac badawczych naukowców zatrudnionych na danej uczelni finansowane są ze środków uczelni i – częściowo – z przychodów ze sprzedaży wypracowywanych przez wydawnictwo akademickie. Innym źródłem finansowania są granty badawcze realizowane w ramach różnych programów i projektów naukowych, na które organizowane są konkursy ministerialne. Sprzedaż monografii naukowych uzależniona jest na ogół od tematyki badań, na niektóre treści jest większy popyt, na niektóre mniejszy. Warto jednak przypomnieć, że treści naukowe jako dobro publiczne powinny być – zgodnie z zaleceniami wdrażania polityki otwartego dostępu – udostępniane za darmo po zakończeniu tzw. okresu karencji. Inaczej wygląda finansowanie publikacji zamawianych przez wydawnictwo, pisanych na zlecenie. Tu model finansowy jest prosty, komercyjny, sprzedaż musi pokryć koszty wydania publikacji i minimalny zysk.

Co się zmieniło po wprowadzeniu ministerialnego wykazu wydawców?

Według mnie nic. Wzrosło rozczarowanie w odniesieniu do tego narzędzia, które nie daje wydawcom publikacji naukowych żadnych konkretnych wskazówek ani co miałyby się zmienić w systemie ich pracy, by wydawnictwo „zasłużyło” na lepszą punktację, ani jak podnosić jakość publikowania. Padło hasło i na tym koniec. Wszystkie wydawnictwa akademickie zostały zakwalifikowane do jednej grupy punktowej i potraktowane na równi z małymi oficynami wydającymi kilka publikacji rocznie. Nie rozumiemy, jakie kryteria zostały wzięte pod uwagę przy tworzeniu tej listy.

Czy zastąpienie części tytułów drukowanych publikacjami elektronicznymi poprawia sytuację książki i wydawnictw?

Oczywiście, wzrasta dostępność publikacji, łatwiej z nich korzystać, wyszukiwać treści, dzielić się nimi i przetwarzać. Pod warunkiem, że narzędzia elektroniczne są sprawne i rzeczy-



Źródło: olaszyn24.com

wicie wypełnione dobrymi treściami. Czasem słyszę od kolegów z naszego działu deponowania treści elektronicznych, że wykonują nadmiarową pracę, wysyłając do różnych baz tematycznych, które być może powinny być już dawno zagregowane z innymi, co ułatwiłoby czytelnikom przeszukiwanie i dostęp. A co do publikacji drukowanych, sądzę, że zawsze będzie na nie popyt, jednak w przypadku książek naukowych to będzie coraz mniej znaczący kanał udostępniania.

Jakie jest miejsce wydawnictwa akademickiego wśród wydawców książek naukowych?

Wydawnictwa akademickie w Polsce są obecnie najważniejszym, specjalistycznym i sprofesjonalizowanym miejscem publikowania wyników badań naukowych. Żadna inna instytucja nie jest w stanie ponieść kosztów wydawania wszystkich treści naukowych, które muszą być udostępnione społeczeństwu w jak najkrótszym czasie, tak by można było z nich skorzystać. Trzeba też uwzględnić dostęp do kompetencji autorskich, dążenie do podnoszenia jakości, wiedzę o technikach recenzowania i selekcjonowania materiału do wydania. Inna jest sytuacja na świecie, istnieją duże komercyjne wydawnictwa naukowe, które gwarantują zarówno jakość, jak i sprzedawalność tytułów. Sądzę, że polskie wydawnictwa komercyjne mają z tym ogromne problemy, a ich funkcjonowanie uzależnione jest zapewne od inwestycji w inne typy publikacyjne i inne serwisy.

Rozmawiał Grzegorz Filip

Jakość jest najważniejsza

Kontaktując się na co dzień z pracownikami naukowymi naszej i innych uczelni, mamy głęboką świadomość, że pracujemy właśnie dla nich. Jeśli osiągnięcia badaczy z UW będą znane szerszemu gronu również zagranicznych odbiorców, przełoży się to na ich docenienie na arenie międzynarodowej, na nowe ciekawe projekty badawcze, na lepszą pozycję naszej uczelni w nauce światowej.

Oficyny związane z uczelniami, takie jak Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego (WUW), z jednej strony zajmują wyjątkową pozycję wśród wydawnictw naukowych choćby z tego względu, że dla uczelni posiadanie własnego wydawnictwa jest na ogół jednym z celów statutowych. Z drugiej jednak strony na wolnym rynku wydawnictwo uczelniane nie ma żadnego handicapu – jest bowiem tylko jedną z wielu oficyn, spośród których może wybierać potencjalny autor.

Nie jest tak, że pracownik UW musi wydać swoją książkę akurat w WUW, chociaż wielu badaczy, z różnych względów, decyduje się na takie właśnie rozwiązanie. Czasem przeważają argumenty o charakterze – powiedzmy – „ideologicznym”, które można podsumować stwierdzeniem: „Moja uczelnia, moje wydawnictwo”. Z pewnością wiele zależy od wcześniejszych doświadczeń. Obserwujemy wyraźną prawidłowość, że autorzy, którzy raz wydali u nas książkę, nie tylko chętnie wracają z kolejnymi publikacjami, lecz także polecają nas swoim koleżankom i kolegom. Wielu naszych autorów podkreśla też, że przy aplikowaniu o granty krajowe i zagraniczne podanie WUW jako potencjalnego wydawcy stanowi dodatkowy atut w postępowaniu kwalifikacyjnym. Nie bez znaczenia jest również fakt, że obecny zespół rektorski uniwersytetu zdecydowanie popiera i rekomenduje pracownikom wydawanie publikacji w WUW, czemu daje wyraz przy różnych okazjach.

Publikują u nas jednak również badacze z innych uczelni, deklarując, że zależy im na rzetelnym procesie wydawniczym, który gwarantuje marka Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracują z nami chętnie (i długofalowo) także różne instytucje zewnętrzne, m.in. Instytut Francuski czy Niemiecki Instytut Historyczny.

Zależy od formy dystrybucji

W funkcjonowaniu każdego wydawnictwa – i wydawca akademicki nie jest tu wyjątkiem – są pewne kluczowe kwestie, które szczególnie interesują autorów. Jedną z nich jest nakład publikacji. Ci, którzy pamiętają czasy wielotysięcznych nakładów, zwykle są rozczarowani, słysząc, że obecnie książek akademickich sprzedaje się nieporównywalnie mniej. Oczywiście WUW ma w ofercie prawdziwe evergreeny (np. *Mitologia Słowian* Aleksandra Gieysztora czy *Jak napisać pracę dyplomową. Poradnik dla humanistów* Umberta Eco), które od kilku lat są systematycznie dodrukowywane i sprzedają się w sporych, jak

na książkę akademicką, nakładach. Jednak w większości przypadków pierwsze nakłady naszych publikacji sięgają maksymalnie kilkuset egzemplarzy.

Warto dodać, że nakład w dużej mierze zależy też od formy dystrybucji. Jeśli publikacja pojawia się od razu w otwartym dostępie, przeważnie w ogóle nie przewidujemy sprzedaży nakładu papierowego. Z naszych doświadczeń wynika, że w takiej sytuacji zainteresowanie książką w formie tradycyjnej jest znikome. Podobnie jeśli publikacja jest wydawana w języku obcym, zazwyczaj planujemy niewielki nakład (maksymalnie do stu egzemplarzy), ponieważ rynek polski nie jest w stanie wchłonąć większej liczby takich książek wydanych w formie tradycyjnej. W przypadku książek obcojęzycznych zdecydowanie stawiamy na sprzedaż e-booków.

Obecnie coraz częściej nasi autorzy deklarują, że zależy im na możliwości udostępnienia publikacji w otwartym dostępie nie od razu, tylko po pewnym czasie od wydania. Z jednej strony chcą, żeby książka znalazła się w tradycyjnych kanałach dystrybucji i trafiła do księgarń, z drugiej – są często zbligowani sugestiami lub wręcz wymaganiami macierzystej jednostki, która oczekuje od nich szerszego udostępniania wyników pracy. Jako wydawca akademicki mamy przede wszystkim służyć interesom badaczy, którzy u nas publikują, dlatego w takich przypadkach przyjmujemy pośredni model działania: planujemy nieco mniejszy nakład, do sprzedaży w ciągu roku, a po tym czasie akceptujemy udostępnienie dzieła w otwartym dostępie.

Doceniają sprawną dystrybucję

Kolejnym ważnym czynnikiem wpływającym na model funkcjonowania WUW jest przyjęte niegdyś założenie, że wydawnictwo nie czerpie zysków ze sprzedaży książek pracowników naukowych UW, a przynajmniej nie w przypadku pierwszych wydań. Po oszacowaniu nakładu handlowego i wycieszeniu kosztu wydania publikacji odejmujemy od niego tzw. zwrot z rynku, czyli kwotę, którą spodziewamy się odzyskać po sprzedaniu nakładu. Kwotę tę wydawnictwo niejako „kredytuje”. Różnicę między kosztem wydania a zwrotem z rynku musi pokryć dotacja. Po sprzedaniu całego nakładu odzyskujemy zatem tylko nasz wkład początkowy.

Wprowadzenie ministerialnego wykazu wydawnictw w 2019 roku nie przyniosło zasadniczych zmian w naszej działalności.

Już wcześniej stosowaliśmy ściśle określone procedury związane z recenzowaniem i opracowywaniem publikacji. W przypadku wydawcy o ustalonej renomie, takiego jak WUW, trudno też mówić o nagłym przypływie autorów w wyniku znalezienia się na liście.

Obserwujemy za to zwiększone zainteresowanie działaniami podejmowanymi przez WUW w związku z realizacją wytycznych Ustawy 2.0 w zakresie zwiększania cytowalności publikacji. Między innymi już od roku nadajemy numery DOI nie tylko artykułom w czasopismach, ale również wszystkim publikacjom książkowym, w tym poszczególnym tekstom w tomach zbiorowych. Od kilku lat wprowadzamy też nasze publikacje do bazy CEEOL (co często jest wymogiem w przypadku grantów). W zeszłym roku zgłosiliśmy publikacje książkowe WUW do baz Scopus i Web of Science i zostaliśmy przez nie zaakceptowani (obecnie trwa wielomiesięczna procedura zmierzająca do pojawienia się naszych publikacji w tych bazach). Członkowie zespołu WUW zaangażowani w nadawanie numerów DOI czy aplikowanie do międzynarodowych baz nie generują bezpośrednich zysków dla wydawnictwa, niemniej jednak wiemy, że ich działania to inwestycja czasu i zasobów ludzkich na rzecz uczelni i jej pracowników.

Autorzy coraz bardziej doceniają też sprawną dystrybucję naszych publikacji (własna księgarnia internetowa, współpraca z jedną z największych polskich hurtowni – Azymut, z księgarniami internetowymi w zakresie sprzedaży e-booków). Dostępność książki staje się bowiem obecnie istotnym elementem w ocenie wydawcy.

Publikacje WUW są dotowane albo przez uczelnię (ze środków pozostających w dyspozycji rektora/wydziału/institutu), albo z grantów, czasem z dotacji od instytucji zewnętrznych. Sposób finansowania nie wpływa jednak w żaden sposób na jakość usługi wydawniczej. W WUW dobre praktyki wydawnicze są takie same w przypadku każdej publikacji. Obowiązują dwie recenzje wydawnicze, które zamawiamy u niezależnych recenzentów, niezwiązanych z macierzystą uczelnią autora. Otrzymują oni z WUW konkretne wskazówki co do kształtu

recenzji, aby uniknąć opinii o charakterze zbyt ogólnym. Od autora oczekujemy merytorycznej odpowiedzi na recenzję. Recenzje stanowią decydujące kryterium przy podejmowaniu decyzji o włączeniu książki do planu wydawniczego WUW; w przypadku negatywnych opinii recenzentów pracy nie przyjmujemy. Następnie każda publikacja przechodzi proces redakcyjny, który w WUW obejmuje opracowanie redakcyjne tekstu przez doświadczonego redaktora merytorycznego (przed składem) oraz dwie korekty redakcyjne i rewizję (po składzie). Każdą publikacją opiekuje się redaktor prowadzący WUW, zarówno dbając o kwestie organizacyjne (terminowość prac, sprawy formalnoprawne), jak i sprawując nadzór merytoryczny nad pracą redaktorów, korektorów oraz składu. Mimo rozmaitych dyskusji na ten temat stoimy zdecydowanie na stanowisku, że skracanie procesu odbija się poważnie na jakości publikacji. Wydajemy książki w rozsądnych, kilkumiesięcznych terminach, jeśli jednak autor oczekuje wydania swojego tekstu w ciągu miesiąca – najlepiej razem z recenzjami, bo i takie przypadki się zdarzały – musi się liczyć z odmową. Na tym właśnie polegają dobre praktyki wydawnicze. Niestety, naszym zdaniem ten aspekt pracy wydawnictwa jest wciąż niedoceniany przez gremia decydujące o ocenie wydawcy.

Usługa druku na życzenie

Jeszcze kilka lat temu e-book nie był oczywistą formą wydania publikacji naukowej. Od kilku lat w WUW jest normą, że równocześnie wydajemy książkę w postaci tradycyjnej oraz elektronicznej. Sprzedaż e-booków z roku na rok wzrasta, nie są to jednak liczby, które miałyby znaczący wpływ na wynik finansowy. Obecnie nie można jeszcze mówić o zastąpieniu książek drukowanych elektronicznymi, w przeważającej mierze formy te występują równolegle, choć publikacji w postaci wyłącznie elektronicznej powoli przybywa. Zdarza się nam jednak również tak, że autorzy, którym zależy na wydaniu w formie elektronicznej i w otwartym dostępie, chcieliby zachować możliwość druku pewnej liczby egzemplarzy w późniejszym terminie – na wypadek pojawienia się zainteresowania wersją



papierową. Najwyraźniej autorom też trudno się całkowicie rozstać z tradycyjną formą publikacji. Dla takich osób i instytucji uruchomiliśmy trzy lata temu usługę druku na życzenie.

Z punktu widzenia odbiorcy upowszechnienie platform cyfrowych z pewnością ułatwia dostęp do poszukiwanych tekstów. Z punktu widzenia wydawcy natomiast, jeśli zwiększa się obecność publikacji na platformach otwartego czy nawet półotwartego dostępu, znacząco wpływa to na poziom finansowania działalności wydawniczej. W takim modelu, jaki stosuje WUW, przy publikacji w otwartym dostępie dotacja musi pokryć całkowity koszt wydania, ponieważ nie pojawia się zwrot z rynku. Brak sprzedaży powoduje zatem wzrost kosztów wydania. Już teraz, kiedy porównujemy publikacje wydawane w otwartym dostępie z publikacjami o podobnych parametrach, ale przeznaczonymi do sprzedaży, widzimy wyraźnie, że różnica w kosztach może być znacząca.

Oprócz podstawowych kanałów dystrybucyjnych, takich jak sprzedaż za pośrednictwem własnej księgarni internetowej czy poprzez hurtownię, publikacje WUW trafiają też oczywiście do obiegu bibliotecznego. Realizujemy obowiązek ustawy, rozsyłając egzemplarze obowiązkowe, dzięki czemu nasze książki są dostępne w największych bibliotekach w kraju. Dodatkowe egzemplarze – na mocy wieloletniej umowy – otrzymuje od nas biblioteka macierzystej uczelni, czyli BUW. Jeśli chodzi o sposób docierania do innych odbiorców instytucjonalnych, jak np. biblioteki publiczne, to hurtownia Azymut rozsyła newsletter zawierający wszystkie nowości zarówno do księgarzy, jak i do innych odbiorców – od nich zależy, czy zamówią daną książkę, czy też nie. My ze swej strony prędnie prowadzimy też działalność informacyjną w naszych mediach społecznościowych (Facebook, Twitter, Instagram), dzięki czemu możemy szybko przekazać informacje o nowościach i dotrzeć z nimi do szerszego grona zainteresowanych odbiorców, zarówno instytucjonalnych, jak i indywidualnych.

Oczekuje się postawy misyjnej

Specyfiką wydawnictwa akademickiego jest jego umiejscowienie w obrębie uczelni. Niezależnie od istniejących różnic między poszczególnymi uczelniami, związanych z zarządzaniem takim wydawnictwem czy z modelem jego finansowania, od wydawnictwa uczelnianego oczekuje się zwykle swego rodzaju postawy misyjnej. Oczywiście musi ono – podobnie jak każde inne wydawnictwo naukowe – prowadzić określoną politykę finansową, tak aby jego działalność się bilansowała, niemniej jednak wsparcie uczelni pozwala na nieco większą elastyczność. Możemy zatem wydać wybitną, lecz wąsko specjalistyczną publikację w bardzo małym nakładzie czy zainwestować w tłumaczenie ważnej książki autorstwa zagranicznego badacza, bez pewności, że ta inwestycja się zwróci. Dzięki współfinansowaniu przez uniwersytet możemy też stale poszerzać naszą ofertę publikacji w językach obcych, co bardzo pozytywnie wpływa na odbiór WUW jako oficyny realizującej misję podniesienia poziomu cytawalności oraz umiędzynarodowienia publikacji polskich naukowców. W przypadku Uniwersytetu Warszawskiego, który w ubiegłym roku akademickim uzyskał status uniwersytetu badawczego, istnienie sprawnie funkcjonującego wydawnictwa wydającego książki rzetelnie, z zachowaniem wszelkich zasad dobrego edytorstwa naukowego, jest szczególnie istotne. Kontaktując się na co dzień z pracownikami naukowymi naszej i innych uczelni, mamy głęboką świadomość, że pracujemy właśnie dla nich. Jeśli osiągnięcia badaczy z UW będą znane szerszemu gronu również zagranicznych odbiorców, przełoży się to na ich docenienie na arenie międzynarodowej, na nowe ciekawe projekty badawcze, na lepszą pozycję naszej uczelni w nauce światowej – i w tym wszystkim my, jako wydawnictwo akademickie, powinniśmy mieć swój udział.

Beata Jankowiak-Konik pełni obowiązki dyrektora Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego



Fot. Piotr Kieralski

Zbigniew Drozdowicz

Mistrzowie i nauczyciele w nauce

Nie jest oczywiście tak, że w polskiej nauce nie było i nie ma mistrzów i nauczycieli, którzy mogli i mogą konkurować z zagranicznymi uczonymi. Można ich bowiem znaleźć nie tylko w odległej przeszłości, ale i w czasach nam bliższych.

W czasach tak wielu zmian, z jakimi mamy obecnie do czynienia, niełatwo znaleźć akademickich mistrzów i nauczycieli, którzy potrafili przetrwać nieco dłużej niż jedno czy dwa pokolenia. Łatwiej natomiast znaleźć znaczących uczonych przekonanych, że zawodowy sukces zawdzięczają w głównej mierze swoim zdolnościom i pracowitości. Jednak nawet oni czasami skłonni są przyznać, że „szlifowali” talenty i zdobywali doświadczenie u jakichś mistrzów. Tak czy inaczej, również dzisiaj w nauce trudno się obejść bez autentycznych mistrzów i nauczycieli.

Mistrzowie z przeszłości

Stosunkowo łatwo ich wskazać filozofom – nie tylko dlatego, że mieli ich wielu, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, że ten rodzaj relacji, jaki występował i występuje między mistrzem i nauczycielem oraz jego uczniami, był w znacznej mierze wykreowany przez starożytnych filozofów, a później został zaakceptowany w akademickiej kulturze. Jednym z takich filozoficznych mistrzów był Sokrates (469–399 p.n.e.). Wszystkie informacje na temat jego poglądów pochodzą z drugiej ręki, bowiem nie pozostawił żadnego świadectwa pisanego (prawdopodobnie był niepiśmienny). Jak często bywa w takich sytuacjach, wizerunek tego filozofa pojawiający się w przekazach jest rozbieżny. W świetle relacji bezpośredniego ucznia, Platona (ok. 428–347 p.n.e.), był on nie tylko wielkim filozofem, lecz także nauczycielem, który chciał i potrafił dzielić się mądrością z każdym, nawet z tymi, których przypadkowo spotykał na ulicach ówczesnych Aten. Podobnie postrzegał go po wielu wiekach Georg W.F. Hegel (1770–1831). W jego *Wykładach z historii filozofii* Sokrates przedstawiany jest jako „jedna z owych posągowych postaci, które wykute są z jednej bryły”, tj. „z bryły mądrości, skromności, niezłomności i prawości”. Co do tego mieli wątpliwości już niektórzy współcześni Sokratesowi, a u zaczepianych na ulicy niejednokrotnie wywoływał agresję; w *Poglądach i żywotach sławnych mężów* Diogenes Laertios napisał, że „bili go po twarzy i szarpali za włosy”. Równie niekorzystnie wypadł Sokrates w oczach Ateńczyków, którzy postawili go przed sądem i skazali na śmierć. Z ich punktu widzenia bowiem był on osobnikiem aspołecz-

nym, który zamiast wykonywać wyuczony zawód kamieniarza włóczył się po mieście i deprawował młodzież filozofowaniem o bogach (że nie istnieją) oraz o ludziach (że kierują się przesądami).

Interesującym przykładem mistrza i nauczyciela jest również Galileusz (wł. Galileo Galilei, 1564–1634). Do historii przeszedł nie tylko za sprawą dokonań naukowych, lecz także kilkunastoletniego procesu przed sądem inkwizycyjnym, zakończonego zmuszeniem go do wyrzeczenia się kopernikańskiego poglądu o „układzie świata”. Jego *Dialog o dwu najważniejszych układach świata Ptolemeuszowym i Kopernikowym* ukazuje jego mistrzostwo w myśleniu o owych „układach” i w przekonywaniu innych do poglądów Kopernika. Zanim jednak stał się mistrzem, był pilnym uczniem „w szkole” kopernikańskiej i podziwiał mistrza m.in. za zaufanie do intelektu i umiejętność korzystania z niego „we wznoszeniu się ponad zmienne świadectwo zmysłów”. Jego biograf, James Reston Jr., przedstawia go jako mistrzowskiego nauczyciela (Galileusz był wykładowcą matematyki i astronomii na uniwersytecie w Padwie), który potrafił tak wykorzystywać bogaty repertuar środków przekazu, aby trafić do przekonania uczniów (m.in. „najpierw grał na uczuciach słuchaczy, a potem odwoływał się do wiedzy jako przeciwieństwa zabobonu”). Spore mistrzostwo wykazywał również w trakcie wspomnianego procesu; w końcu jest sporą sztuką być przez tyle lat „za”, a nawet „przeciw”. Nawet wówczas, gdy już jego sędziowie się zorientowali, że w gruncie rzeczy jest on za teorią Kopernika, wychodząc z sali sądowej miał ponoć powiedzieć: „A jednak się porusza”. Jest to wprawdzie tylko legenda, ale legenda jakże budująca pozytywny wizerunek tego mistrza i nauczyciela.

Mistrzowie nowych czasów

Myślę o tym okresie w nauce, w którym dokonano epokowych odkryć i sformułowano nowatorskie teorie, m.in. w takich dyscyplinach jak biologia ewolucyjna i fizyka teoretyczna. Te pierwsze kojarzą się przede wszystkim z takimi uczonymi jak Karol Darwin (1809–1882), natomiast te drugie z takimi jak Albert Einstein (1879–1955). Byli oni mistrzami nie tylko w różnych dyscyplinach naukowych, ale także na różny sposób.

Darwin należał do tego typu uczonych, którzy do najbardziej znaczących osiągnięć dochodzą powoli; jego sztandarowa rozprawa pt. *O pochodzeniu gatunków* ukazała się w 1859 roku i pod niektórymi względami wymagała istotnych uzupełnień (zostały one wprowadzone w późniejszych wydaniach). Przyczyniały się do tego m.in. wyniesione z dzieciństwa oraz z okresu akademickiego kształcenia przekonania religijne (na studiach teologicznych w Cambridge otrzymał wykształcenie ortodoksyjnego anglikanina). W *Autobiografii* przyznał, że podczas odbytej w latach 1831-1836 podróży na pokładzie statku Beagle miał tak religijne przekonania, że był „wyśmiewany przez kilku oficerów za cytowanie Biblii jako niepodważalnego autorytetu”. W portrecie własnym wskazał również na uczonych, których uznawał za mistrzów i nauczycieli – jednym z nich był szwedzki przyrodnik Karol Linneusz (1707-1778), natomiast innym ekonomista i duchowny anglikański Thomas Malthus (1766-1834). Pojawiają się tam również nazwiska współczesnych mu uczonych, z którymi współpracował i z którymi konkurował o „palmę” pierwszeństwa w sformułowaniu teorii ewolucji (jednym z nich był Alfred Russel Wallace).

Darwin nie był typem uczonego, który dobrze czuje się w atmosferze akademickich sporów i dyskusji oraz poszukuje potwierdzenia swojej pozycji ze strony uczelnianej profesury (po ukończeniu studiów nie tylko nie zabiegał o żadne stanowisko uczelniane, lecz także unikał kontaktów z profesurą). Rzecz jasna jego poglądy na pochodzenie gatunków były przedmiotem akademickich dyskusji. Nie tylko zresztą za sprawą jego bezpośrednich uczniów (takich m.in. jak Thomas Henry Huxley), ale także, a nawet przede wszystkim, wielu przeciwników, którzy postrzegali je jako zagrożenie dla wierzeń religijnych.

Innego typu mistrzem w nauce był Albert Einstein. Czuł się on bowiem dobrze w środowisku akademickim, a także w akademickich sporach z tymi, którzy nie podzielali jego poglądów. Jednym z najgłośniejszych był spór z Nielsem Bohrem w kwestii realności kwantów światła. Dostyc wcześniej, bowiem już w latach dwudziestych minionego stulecia, Einstein zaczął funkcjonować jako celebryta i wypowiadać się w taki sposób, jakby się znał na wszystkim. Niektóre jego stwierdzenia (np. „Pan Bóg nie gra w kości”) zrobiły światową karierę, a ich autor stał się osobą chętnie zapraszaną do dyskusji na różne tematy. W końcu sam zaczął się uważać za wielkiego fizyka i filozofa, który jest w stanie sensownie odpowiedzieć na każde pytanie i każdą, nawet ironiczną uwagę (żeby tylko, tytułem przykładu, przywołać uwagę Maxa Born'a, aby w końcu przestał podpowiadać Bogu, co ma robić). Rzecz jasna, nie zawsze miał rację, nawet w tych kwestiach, w których był autentycznym specjalistą (w sporze z Bohrem racja była po stronie jego oponenta). Jednak wraz z umacnianiem się jego pozycji jako mistrza i nauczyciela ludzkości z coraz większym trudem przychodziło mu przyznawanie się do błędów czy chociażby do jakiejś niestosowności wypowiedzi (np. na temat swoistego upośledzenia intelektualnego kobiet).

Autorzy jego biografii, R. Highfield i P. Carter, napisali, że „Einstein stał się dla środków masowego przekazu mędrcem, o którego opinii zabiegano jak o świat długi i szeroki”. Jaką część winy za to, że stał się „wszechwiedzącym”, przypisują oni światowym mediom. Co by się jednak nie powiedziało o słabościach tego uczonego, to jednak był on światowego formatu mistrzem i nauczycielem nie tylko dla studentów, którzy słuchali jego uniwersyteckich wykładów (wykładał na kilku prestiżowych uczelniach), ale także dla kolejnych pokoleń uczonych.

Mistrzowie krajowi

Nie jest oczywiście tak, że w polskiej nauce nie było i nie ma mistrzów i nauczycieli, którzy mogli i mogą konkurować

z zagranicznymi uczonymi. Można ich bowiem znaleźć nie tylko w odległej przeszłości, ale i w czasach nam bliższych, i nie jest to wyłącznie Maria Curie-Skłodowska. Warto przy okazji powiedzieć, że nawet Einstein skłonny był ją uznawać za naukowego mistrza (tyle tylko, że traktował ją jako swoistą „wypadek przy naukowej pracy”). Z naszymi mistrzami i nauczycielami nie jest jednak aż tak bogato, jak można by sądzić, czytając nekrologi zmarłych profesorów lub słuchając mów pogrzebowych ich uczniów i współpracowników. W tej części rozważań nie mam jednak zamiaru ani deprecjonować znaczenia takich mów, ani też podejmować próby sporządzenia listy polskich uczonych, których zasługują na miano mistrzów (zapewne zarówno to pierwsze, jak i to drugie znalazłoby wielu oponentów). Chciałbym natomiast podzielić się kilkoma uwagami na temat występujących w naszym dzisiejszym życiu akademickim sposobów ich kreowania.

Jedne są bardziej tradycyjne, inne bardziej nowoczesne. Do tradycyjnych należy kreowanie wizerunku naukowych mistrzów przez tych uczniów, którzy poczuwają się do „długu wdzięczności” wobec nich. Odwołam się tutaj do przykładu Kazimierza Twardowskiego (1866-1938), filozofa uznawanego za założyciela szkoły lwowsko-warszawskiej. W pamięci uczniów i kontynuatorów działalności tej szkoły zapisał się on nie tyle jako wybitny filozof, co wielkiej miary akademicki nauczyciel, na którego wykłady tłumnie przychodzili studenci. Zarówno przez studentów, jak i przez tych, którzy później stali się znaczącymi filozofami, ceniony był za swoją punktualność, pomysłowość w doborze tematów i lektur oraz precyzję w formułowaniu sądów i opinii. Jeden z tych filozofów, Tadeusz Kotarbiński, napisał nieco żartobliwie, że „wiał od niego groza”, bowiem był to „człowiek władczy i onieśmielający rzeszę dowolną”, jednak „stał się po macierzyńsku niemal opiekuńczy dla tych, którzy należeli do grona jego ścisłych uczniów i z własnej chęci godzili się na jego przewodnictwo”.

Dzisiaj przy różnych okazjach są przywoływane słowa zawarte w jego wykładzie zatytułowanym *O godności Uniwersytetu*. Znajdują się w nim wskazania dotyczące akademickiego mistrza i nauczyciela, np. takie, że „jest on przede wszystkim sługą prawdy obiektywnej, przedstawicielem jej i głosicielem wśród młodzieży”. Podaję ten przykład nie tyle po to, aby nieco odświeżyć w pamięci obraz i słowa tego autentycznego mistrza i nauczyciela, ile po to, aby skłonić do nieco większego autokrytycyzmu tych, którzy dzisiaj dosyć swobodnie posługują się pojęciem naukowej szkoły i wynoszą „na pomniki” uczonych, którzy wprawdzie byli na swój sposób oryginalni, jednak gdyby jeszcze żyli, to być może niektórzy z nich protestowaliby przeciwko nazywaniu ich mistrzami.

Pewną kombinacją tradycyjności i nowoczesności jest dzisiaj kreowanie akademickich mistrzów i nauczycieli przez studentów, którzy oceniają zajęcia dydaktyczne. Mam jednak istotne wątpliwości na temat wiarygodności i obiektywności tych ocen. Czyż bowiem może być wiarygodna i obiektywna ocena w sytuacji, gdy oceniający nie mają obowiązku brania udziału w zajęciach dydaktycznych i niejednokrotnie z osobą przez nich ocenianą spotykają się po raz pierwszy podczas egzaminu, a na formułowane przez nich oceny rzutuje w istotny sposób to, czy na tym egzaminie zostali potraktowani z daleko idącą wyrozumiałością?

Natomiast do całkowicie nowoczesnych sposobów kreowania mistrzów należy ten, który bazuje na liczbie cytowań publikacji danego uczonego. Do jego wiarygodności i obiektywności nie tylko ja mam spore wątpliwości. Zgłaszałem je już zresztą niejednokrotnie. Dodam zatem jedynie, że dzisiaj mamy do czynienia ze swoistym mistrzostwem z opanowaniem tej „sztuki”, która polega nie tyle na wyczarowaniu przysłowiowego „kró-

lika z kapelusza”, co na wyczarowaniu wielu punktów z tak niewielu publikacji. Co gorsza, również w tych publikacjach trudno niejednokrotnie znaleźć oryginalne wyniki badań. Liczą się jednak nie tyle wyniki, ile to, że publikacje te ukazały się

w wysoko punktowanych czasopismach. Niejeden dawny mistrz i nauczyciel w nauce mógłby się uczyć od tych „mistrzów” swojej „sztuki”. Przypuszczam, że przynajmniej niektórych z nich trudno byłoby jednak do tego rodzaju praktyk przekonać.



Rys. Sławomir Makal

Rozmowa z dr. Pawłem Poszytkiem, dyrektorem generalnym Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji

Epidemia nie zatrzymała Erasmusa

Analizujemy wpływ inicjatyw europejskich na różne obszary edukacji. Tkwi w nich spory kapitał wiedzy, którego nie sposób dłużej ignorować, bo Erasmus i inne programy zmieniły oblicze szkolnictwa wyższego w całej Europie. Chcemy wydobyć ten potencjał i szeroko go upowszechnić.

Proszę przypomnieć, jakim programem jest Erasmus, czego i kogo dotyczy?

Erasmus+, bo tak się nazywa jego obecna wersja, to program Unii Europejskiej w dziedzinie edukacji, szkoleń, młodzieży i sportu na lata 2014–2020. Jego całkowity budżet wynosi 14,7 mld euro. Do 34 krajów uczestniczących w programie należy 27 państw członkowskich Unii Europejskiej, a także inne, nienależące do UE: Republika Macedonii Północnej, Islandia, Liechtenstein, Norwegia, Turcja, Serbia, Wielka Brytania. Wymiana studencka w ramach programu Erasmus oraz jego następcy, czyli programu Erasmus+, jest organizowana w Europie już od 30 lat. Komisja Europejska uruchomiła program 15 czerwca 1987 r. Na zagraniczne studia w ramach Erasmus Polacy wyjeżdżają od 1998 r. Łączna kwota dofinansowania projektów Erasmus+ koordynowanych przez polskich beneficjentów od początku realizacji programu, tj. od roku 2014, na koniec 2020 r. osiągnie ok. 1 mld euro. W sektorze szkolnictwa wyższego w Polsce od początku obecnej perspektywy finansowej kwotą 338.310.721 euro dofinansowane zostały 2122 projekty Erasmus+, a liczba mobilności z Polski przekroczyła 115 tysięcy.

Jakie są plany rozwoju Erasmus+ w kolejnej perspektywie finansowej UE?

Rok 2020 jest ostatnim rokiem realizacji Erasmus+ na aktualnych zasadach. Sukces programu skłonił KE do zaproponowania jego nowej edycji w latach 2021–2027 z większym rozmachem, jeśli chodzi o dostępny budżet i możliwości dla instytucji edukacyjnych. Komisja Europejska zamierza zdecydowanie zwiększyć zasięg programu, ułatwić dostęp do niego grupom defaworyzowanym i instytucjom mniej doświadczonym poprzez ograniczenie obciążeń administracyjnych, a także zmaksymalizować wpływ programu na instytucje edukacyjne. Mają one współdziałać w ramach wspólnego Europejskiego Obszaru Edukacyjnego, zaś mobilność zagraniczna powinna być standardowym elementem edukacji w Europie. W prowadzonych obecnie dyskusjach nikt nie wyobraża sobie całkowitego przeniesienia Erasmus+ na internetowe platformy.

Nasza fundacja wpisuje się w plany rozwijania współpracy ze środowiskiem akademickim także na innych polach. Niedawno

ogłosiliśmy konkurs na najlepsze prace naukowe poświęcone edukacji i programom FRSE – wydamy je w naszym wydawnictwie. Od niemal 30 lat wspieramy szkolnictwo wyższe, przydzielając środki nie tylko na wyjazdy studenckie, ale i na staże naukowo-badawcze. Sami także prowadzimy badania, analizujemy wpływ inicjatyw europejskich na różne obszary edukacji. Tkwi w nich spory kapitał wiedzy, którego nie sposób dłużej ignorować, bo Erasmus i inne programy zmieniły oblicze szkolnictwa wyższego w całej Europie. Chcemy wydobyć ten potencjał i szeroko go upowszechnić.

Proszę powiedzieć trochę o finansowaniu konkretnego projektu, wyjazdu. Czy i jaki wymagany jest wkład własny uczestników programu?

Uczestnicy programu w sektorze szkolnictwa wyższego to studenci i pracownicy szkół wyższych. Mogą oni brać udział w projektach mobilności lub projektach typu „Partnerstwa strategiczne na rzecz szkolnictwa wyższego”. Uproszczony sposób finansowania w programie Erasmus+ 2014–2020 polega na tym, że do większości działań, jakie można realizować w projektach, zostały określone kwoty ryczałtowe lub jednostkowe, które są rozliczane, jeżeli działanie zostało zrealizowane (w odniesieniu do ilości i jakości) tak, jak to opisano we wniosku o dofinansowanie. Tak więc instytucja składająca wniosek, znając zasady finansowania zawarte w „Przewodniku po programie”, powinna najpierw przygotować swego rodzaju plan finansowy udziału w projekcie, aby obliczyć, jakie nakłady będą rzeczywiście potrzebne do zrealizowania wszystkich opisanych w projekcie działań (i tym samym osiągnięcia zakładanych celów ilościowych i jakościowych). Następnie należy odjąć od tego kwoty ryczałtowe/jednostkowe, jakie będą należne z budżetu programu Erasmus+ za zrealizowanie opisanych działań, i otrzymamy kwotę, którą trzeba będzie pozyskać z innych środków niż budżet programu Erasmus+. Podobne warunki dotyczą uczestników mobilności – zasady programu określają kwotę miesięcznego stypendium dla studentów (stypendium dziennego dla pracowników) przy wyjazdach do konkretnego kraju. Kwoty ryczałtowe miesięcznych lub dziennych stypendiów są określone

w taki sposób, aby uczestnik mobilności mógł się utrzymać za granicą po dołożeniu do nich sum, jakie przeznaczałby na swoje utrzymanie w kraju macierzystym. Ideą stypendiów przyznawanych w programie Erasmus+ Szkolnictwo wyższe jest bowiem dofinansowanie dodatkowych kosztów ponoszonych przez uczestnika w związku z podróżą i pobytem za granicą. Po konkretne informacje dotyczące wysokości miesięcznych stypendiów dla studentów dziennych i dla pracowników zapraszamy na naszą stronę www.erasmusplus.org.pl. Miesięczna stawka stypendium dla studenta wyjeżdżającego z Erasmusem+ w ramach projektów rozpoczętych w roku 2019 to od 400 do 600 euro. Np. student wyjeżdżający do Bułgarii otrzyma 400 euro na miesiąc pobytu, a do uczelni duńskiej – 500 euro. W przypadku wyjazdu na praktyki w przedsiębiorstwie w tych samych krajach otrzymaliby na miesiąc pobytu odpowiednio 500 i 600 euro.



Dr Paweł Poszytek (ur. w 1968 r.) jest absolwentem anglistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Tam też doktoryzował się w zakresie językoznawstwa. Jest dyrektorem generalnym Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji. Z fundacją związany jest od 1998 r. M.in. pełnił funkcję koordynatora (1998–2011), a następnie wicedyrektora i dyrektora unijnych programów edukacyjnych: LINGUA, SOCRATES/Uczenie się przez całe życie, współpracy szkół europejskich eTwinning. Jest twórcą polskiej edycji europejskiego konkursu European Language Label realizowanego przez FRSE na zlecenie Komisji Europejskiej. Był członkiem kilku językowych grup doradczych i konsultacyjnych przy Komisji Europejskiej i Ministerstwie Edukacji Narodowej, a także członkiem zarządu europejskiego stowarzyszenia EALTA działającego na rzecz podnoszenia jakości w testowaniu biegłości językowej. Był koordynatorem projektu Rady Europy „Country Profile”, jest ekspertem programu „Horyzont 2020”. Był recenzentem podstawy programowej kształcenia ogólnego w zakresie języka obcego nowożytnego. Jest też muzykiem, gitarzystą, kompozytorem i autorem tekstów. Nagrał kilka płyt. Ma doświadczenie biznesowe w branży muzycznej.

Pracownik wyjeżdżający do kraju położonego na północy i zachodzie Europy otrzymuje (przy pobytach krótkich) 180 euro dziennie. W przypadku kraju należącego do grupy o najniższych kosztach utrzymania (głównie kraje Europy Środkowo-Wschodniej) – 140 euro. Ideą programu Erasmus+ jest zagwarantowanie studentom takich samych praw, jak studentom „lokalnym”, stąd niższe kwoty przy wyjazdach do uczelni, które powinny udostępniać uczelnianą infrastrukturę, w tym dostęp do stołówek, bibliotek itp.

Czy epidemia oznacza całkowite zatrzymanie programu Erasmus+?

Można odnieść wrażenie, że cały świat się zatrzymał, ale już mamy sygnały, że powoli ponownie rusza. Decyzja o zatrzymaniu programu Erasmus+ nie została podjęta i mamy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Pandemia zastała uczestników mobilności w różnych sytuacjach: niektórzy byli już w partnerskich uczelniach zagranicznych, inni szykowali się do wyjazdu, jeszcze inni przygotowywali się do przystąpienia do rekrutacji umożliwiającej udział w Erasmusie+ w kolejnym semestrze lub roku akademickim. Uczelnie w Polsce i na świecie wstrzymały zajęcia w budynkach uczelnianych, oferując studentom udział w zajęciach w sposób zdalny. Komisja Europejska, wspólnie z przedstawicielami rządów państw uczestniczących w programie oraz narodowymi agencjami, podjęła decyzję o możliwości kontynuowania mobilności erasmusowej w sposób zdalny, choć wszyscy zgodnie przyznają, że mobilność wirtualna nigdy nie będzie w stanie przynieść takich rezultatów, jak rzeczywisty pobyt w innym kraju, który wiąże się z codziennym zagłębieniem się w jego kulturę, tradycję, język, życie akademickie. Jest to jednak rozwiązanie dające możliwość ukończenia semestru lub roku akademickiego we wcześniej planowany sposób oraz rozliczenia otrzymanych stypendiów w sposób korzystny dla uczestników mobilności. To rozwiązanie jest stosowane w przypadku osób, które już rozpoczęły mobilność w czasie pojawienia się pandemii. Mobilności tych, którzy jeszcze nie wyjechali, zostały przesunięte w czasie. Rekrutacje na wyjazdy w roku 2020/21 trwają, choć również mają charakter warunkowy. Wszyscy czekają na podjęcie przez uczelnie

w Europie i na świecie decyzji o tym, czy w roku 2020/21 będą przyjmować studentów zagranicznych, bo to determinuje dalsze etapy przygotowania i realizowania mobilności. To trudne decyzje, ale wkrótce trzeba będzie je podjąć, bo wymiana studentów Erasmus+ już na dobre zagościła w standardowym funkcjonowaniu tysięcy uczelni, co wpływa na planowanie działań dydaktycznych dla całej społeczności akademickiej.

Ilu erasmusowców zostało w Polsce w czasie epidemii, a ilu polskich uczestników pozostało za granicą?

Z danych zbieranych przez FRSE w połowie marca można założyć, że za granicą przebywało wtedy ponad trzy tysiące polskich studentów i większość z nich (przeszło 70%) deklarowała chęć powrotu do kraju. Szczegółowe dane na temat osób przebywających za granicą posiadają chyba tylko uczelnie wysyłające studentów, a nie wszystkie reagowały na nasze prośby o podanie danych – zwrotność ankiety wyniosła około 70%. Odpowiedź na pana pytanie jest więc praktycznie niemożliwa, bo sytuacja zmieniała się z dnia na dzień. W przypadku studentów zagranicznych przebywających w Polsce proporcje były odwrotne. Większość deklarowała chęć pozostania w Polsce i odkładała podjęcie decyzji o ewentualnym powrocie na później.

Czy wiadomo, jakie będą dalsze losy tego programu? Na co mamy się szykować? Mam na myśli potencjalnych polskich uczestników i osoby, które chciałyby w najbliższych miesiącach przyjechać do Polski dzięki Erasmusowi+.

To trudne pytanie, na które dzisiaj nie mamy jeszcze gotowych odpowiedzi. Decyzja prawna o kontynuacji programu Erasmus+ w latach 2021–2027 została podjęta, a pandemia zastała nas w trakcie opracowywania decyzji wykonawczych. Znajdą one odzwierciedlenie w zasadach realizacji programu w kolejnej perspektywie finansowej. Na pewno będzie się musiał zmienić format przyszłego programu, który w większym stopniu niż obecnie powinien uwzględniać krótsze formy mobilności, zastosowanie nauczania zdalnego (e-learningu), oferowanie mobilności mieszanej, łączącej fizyczne przemieszczanie się z nauczaniem zdalnym. W ramach prowadzonych obecnie dyskusji dotyczących przyszłości podkreśla się, że całkowite przeniesienie Erasmus+ do internetowych platform i sieci nie jest dobrym rozwiązaniem. Wiązałoby się bowiem z utratą tego, co jest ogromną wartością obecnego programu, jak choćby poznanie innych kultur, języków, nawiązywanie relacji międzyludzkich, wpływ na wzmacnianie kompetencji społecznych, obywatelskich, na rozwój kreatywności, przedsiębiorczości.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Kształcimy ludzi

Studia w lokalnych ośrodkach akademickich i wyższych uczelniach zawodowych pozwalają na bliższy kontakt pomiędzy studentami a wykładowcami. Stworzone w ten sposób relacje przekładają się na bardziej efektywny proces dydaktyczny.

Kameralność mniejszych ośrodków akademickich zdecydowanie sprzyja lepszym kontaktom i budowaniu relacji pomiędzy wykładowcami a studentami. Siłą rzeczy bliskość osób związanych z lokalnymi uczelniami jest nie tylko metaforyczna, ale też dosłowna. Mniejsze kampusy zlokalizowane w jednym punkcie miasta, a nie rozrzucone w kilku miejscach, mniejsze budynki, mniej liczne grupy wykładowe – to wszystko sprawia, że niekiedy możemy poczuć się bardziej jak w liceum niż w szkole wyższej. Co to oznacza dla osób biorących udział w życiu uczelni? Przede wszystkim znacznie mniejszą anonimowość niż w dużych ośrodkach. Naszych studentów znamy z imienia i nazwiska; nie są dla nas wyłącznie numerami indeksu, jedną z twarzy liczego audytorium, ale konkretną osobą siedzącą w ławce przed nami. Ten brak anonimowości zdecydowanie sprzyja dydaktyce, ponieważ pozwala na lepszy kontakt studentów z nauczycielami.

Upraktycznienie profilu kształcenia w uczelniach zawodowych również pozwala na budowanie relacji i lepsze poznawanie studentów. Zredukowanie liczby przedmiotów typowo akademickich przyjmujących formę wykładu wymusiło inny charakter pracy nauczycieli akademickich – już nie wykładowców, a raczej animatorów uczenia się. Większość zajęć to bowiem ćwiczenia laboratoryjne, podczas których studenci przygotowują się do przyszłej pracy zawodowej i rozwijają umiejętności praktyczne we współpracy ze swoimi nauczycielami i innymi studentami. Taki charakter zajęć bez wątpienia przyczynia się do nawiązywania głębszego kontaktu niż miałoby to miejsce w trakcie wykładu.

Taka forma zajęć sprzyja rozmowie. Może to i truizm, ale od rozmowy wszystko się zaczyna. Ćwiczenia laboratoryjne pozwalają lepiej zrozumieć, co motywuje naszych studentów, jakie style uczenia się preferują i czym się pomiędzy sobą różnią. W ten sposób dowiadujemy się o ich potrzebach, pasjach i marzeniach, ale też o tym, co ich ogranicza i przed czym odczuwają opór. Niekiedy w trakcie zajęć studenci opowiadają o problemach związanych z samym studiowaniem, choćby o tych przyziemnych, jak kłopoty z dojazdem do uczelni.

Kim są nasi studenci?

Większość to mieszkańcy pobliskich miejscowości, część opiekuje się starszymi rodzicami lub młodszym rodzeństwem, a więc nie mogą sobie pozwolić na życie i studiowanie w wielkomiejskich ośrodkach akademickich. Dla wielu studia w dużym mieście są nieosiągalne z przyczyn finansowych. Wiemy także, że wśród naszych studentów są tacy, którzy się obawiają, czy

poradziłyby sobie z samodzielnością, jaką wymusiłoby studiowanie w innych miastach. Przyznają, że wolą poczucie bezpieczeństwa, jakie daje mieszkanie w domu rodzinnym i studiowanie w rodzinnym mieście. Nie muszą się martwić prozą życia: pracą, rachunkami, prowadzeniem domu.

Jest też grupa studentów, dla której doświadczenie studiów w małym ośrodku pozwala na przedsmak życia akademickiego w dużym mieście. Być może ta właśnie kameralność i bliższa więź z nauczycielami daje im poczucie, że w razie niepowodzenia zawsze można porozmawiać ze swoim nauczycielem, który bywa traktowany jak wychowawca szkolny, a nie pracownik dydaktyczny.

Nasi studenci opowiadają także o wcześniejszych doświadczeniach z innych uczelni, niemal zawsze podkreślając bardziej szkolny, a tym samym przyjazny charakter małego ośrodka. Doceniają, że liczymy się z nimi, że wiemy, jak się nazywają, że rozmawiamy z na przerwach, że mogą pisać na nasze skrzynki mailowe, a niekiedy kontaktować się przez media społecznościowe. To dla nich bardzo ważne, zwłaszcza dla tych, którzy wcześniej czuli się traktowani przedmiotowo, a nie podmiotowo.

Jakie wyzwania stawiają przed nami

Poznając tak blisko naszych studentów, rozumiemy też lepiej wyzwania, jakie przed nami stawiają. To, co może się wydawać oczywiste, np. to, że student będzie po prostu studiował, widzimy w zupełnie innym świetle. Kiedy atmosfera przypomina atmosferę szkoły licealnej, w podobny sposób przychodzi nam pracować zwłaszcza ze studentami pierwszoricznymi.

Po pierwsze, musimy ich nauczyć strategii uczenia się. Większość naszych pierwszoricznych studentów nie ma wyrobionych technik i nawyków w tej kwestii. Część uważa, że jest im to niepotrzebne, wychodząc z założenia, że na studiach wystarczy być, przesiedzieć zajęcia, podpisać listę obecności, ewentualnie pojawić się na zaliczeniu. Wielu jest zaskoczonych, kiedy wymagamy od nich systematyczności i starannego przygotowania do zajęć. Częste kolokwia z małych partii materiału bywają niemiłą niespodzianką. Tymczasem praktyczny profil kształcenia polega na częstym sprawdzaniu przyswojonej wiedzy i nabytych umiejętności. Pod tym względem również przypominamy szkołę ponadgimnazjalną.

Po drugie, uczymy ich dyscypliny akademickiej rozumianej jako punktualność, obecność na zajęciach, usprawiedliwianie nieobecności i terminowe nadrobienie zaległości. To również zazwyczaj dziwi studentów pierwszoricznych i wymaga od nas rozwiewania ich wątpliwości – studenci mają się pojawiać

na zajęciach punktualnie, przynosić potrzebne materiały, nie korzystać z telefonów i wywiązywać się ze swoich obowiązków. Jak sami przyznają w rozmowach z nami, choć z początku budzi to ich opór, bo nie tak wyobrażali sobie studiowanie, z czasem doceniają ten rygor, który pomaga im zmobilizować się do nauki.

Trzecie wyzwanie związane z początkującymi studentami dotyczy grzeczności, zwłaszcza kanonów komunikacji. Część przenosi licealne nawyki tytułowania wszystkich jako „pani lub pan profesor”, część nie ma świadomości, że wypada używać stopni i tytułów naukowych. To są jednak marginalne problemy w porównaniu z tym, w jaki sposób studenci piszą maile do swoich nauczycieli. I tu znowu nasza praca polega na uświadamianiu studentom, że „Witam” czy „Dzień dobry” niekoniecznie są dobrymi wstępami do maila, choć na pewno dużo lepszymi niż puste wiadomości z samymi załącznikami, ewentualnie lakonicznym „Pozdrawiam”. W takich sytuacjach ponownie wchodzimy w role wychowawców i uczymy, w jaki sposób będziemy się do siebie zwracać, jakimi kanałami komunikować i o jakich porach.

Jak budujemy z nimi relacje

Jeśli nauczyciel powie studentom, że jest otwarty na rozmowę i mogą zwrócić się do niego z problemami, a jednocześnie pozostaje suchym formalistą, w zupełnie nieelastyczny sposób realizującym program nauczania, możemy oczekiwać, że szczerą komunikacją ze studentami nigdy nie zajdzie. Badania dobitnie pokazują, że to, co nauczyciel robi, ma na uczniów dużo większy wpływ niż to, co mówi. Stąd ważna rola modelowania. Sposób, w jaki odnosimy się do studentów, będzie przez nich odwzorowywany, a zatem stawiamy na serdeczność, kulturę osobistą, szacunek i równe traktowanie wszystkich studentów. Proces dydaktyczny jest z góry skazany na porażkę, kiedy studenci odczuwają, że nie mogą spytać nauczyciela o doprecyzowanie niejasności, a on nie otrzymuje żadnej informacji zwrotnej od swoich studentów. Nauczanie to proces dwustronny.

Pierwsze zajęcia poświęcamy integracji grupy, mając świadomość, że to dopiero początek procesu. Chodzi o to, żeby studenci się poznali, wybrali starostę grupy i poznali opiekuna roku. Innymi słowy, żeby zaczęli budować zespół, ponieważ będą musieli szybko zacząć współpracować (przesyłać sobie materiały, wykonywać projekty grupowe, wspólnie się uczyć).

Dla nauczycieli, oprócz szansy poznania imion i nazwisk studentów, jest to też w pewnym sensie diagnoza ich potrzeb i oczekiwań, obserwacja tego, w jaki sposób się wypowiadają, jak funkcjonują w nowej grupie: kto dominuje od początku, a kto chowa się za plecami innych. I pierwsza informacja o tym jaka jest dynamika grupy.

W trakcie pierwszego spotkania ze studentami dobrze jest zawrzeć kontrakt grupowy, nawet jeśli będzie on tymczasowy. Nasze oczekiwania i wymagania, sposób komunikowania się, dyżury i konsultacje – to wszystko zwykle zawarte jest w sylabusach i są to raczej obszary nienegocjowalne. Z kolei sposób dobierania studentów w grupy, częstotliwość weryfikacji efektów uczenia się, dostosowanie metod pracy, przepływ informacji zwrotnej pomiędzy studentami a prowadzącym, sposób zwracania się do siebie – to wszystko może podlegać dyskusji.

Stworzenie odpowiedniej atmosfery w czasie zajęć to „święty Graal” dydaktyki. Dużo się mówi o atmosferze sprzyjającej nauce, ale sprecyzowanie konkretnych wskazówek jak ją stworzyć, nastęcza trudności nawet doświadczonym pedagogom. W dużym uproszczeniu możemy przyjąć, że: (1) praca w parach i małych grupach jest łatwiejsza dla osób nieśmiałych, które mają problemy z wyrażaniem pomysłów na forum; (2) entuzjazm nauczyciela przejawiający się w całej jego postawie, zaangażowaniu w zajęcia i wierze w sens tego, co robi, będzie z pewnością zaraźliwy dla większości uczących się; (3) personalizowanie ćwiczeń czy też odwoływanie się do osobistych doświadczeń studentów jest bardziej motywujące niż wykonywanie abstrakcyjnych ćwiczeń oderwanych od rzeczywistości; (4) zadawanie pytań otwartych; (5) powstrzymywanie się od krytycyzmu; (6) szacunek wobec uzyskiwanych odpowiedzi; (7) niekończenie zdań za studentów, a także (8) pozwolenie im na milczenie, kiedy mają obawy przed wypowiedzią, zwiększa szansę na ich aktywność w trakcie zajęć.

Jak poznajemy ich w mniej formalnych kontekstach

Zajęcia na uczelni to niejedyna okazja do poznawania naszych studentów. Poznajemy ich także podczas różnych wydarzeń organizowanych przez uczelnię i w ramach pracy studenckich kół naukowych. Do cyklicznych imprez w życiu uczelni należą spartakiada studencka, dzień adaptacyjny dla studentów pierwszorocznych (tzw. adaptiak), wybory miss i mistera





uczelnii, Festiwal Nauki i Drzwi Otwarte. Wszystkie te wydarzenia są okazją do integracji studentów i wykładowców. Bardzo cenne bywają wyjazdy i wycieczki, w trakcie których widzimy studentów w nowym świetle, w innym kontekście i w nowych rolach. Wspólne wyjazdy np. do dużych bibliotek akademickich, na konferencje studenckie lub na otwarte wykłady do innych uczelni są świetną okazją do mniej formalnej rozmowy i jeszcze lepszego poznania tego, czym żyją nasi studenci. Sprzyjają one budowaniu bardziej partnerskich, niekiedy wręcz terapeutycznych relacji, kiedy studenci opowiadają o sobie, swoich rodzinach, doświadczeniach i o tym, co im w duszy gra.

Studenci wspomagają nas w organizacji konkursów promujących uczelnię w środowisku lokalnym, np. konkursy głośnego czytania literatury anglojęzycznej, konkursy języków obcych. Wielu działa podczas zbierek charytatywnych i w ramach uczelnianego wolontariatu. To kolejna okazja na zobaczenia ich w działaniu, w innym charakterze niż w czasie zajęć. A sam fakt, że rzadko odmawiają nam pomocy, świadczy o tym, że relacja już została zbudowana, i widząc nasze zaangażowanie, sami chętniej biorą udział w różnych przedsięwzięciach.

Bardzo ważne z perspektywy głębszego poznania studentów są seminaRIA dyplomowe. Są to zajęcia, podczas których, zwłaszcza na początku semestru, jest czas na spokojną i swobodną rozmowę o tym, co ich interesuje, co ich porusza, od czego „błyszczą im oczy”. Aby dobrze dobrać temat pracy dyplomowej, studenci muszą lepiej zrozumieć sami siebie, a my zrozumieć ich i podsunąć im takie pomysły, z których będą w stanie wyłuskać coś dla siebie. Dlatego zawsze rozmawiamy o tym, jak odpoczywają i co robią w czasie wolnym, o oglądanych filmach, stronach w internecie, o muzyce, którą lubią. Nierzadko dzięki takim rozmowom studenci sami zaczynają rozumieć, że tworzenie pracy dyplomowej może być sposobem zgłębiania swoich pasji. A ponieważ ich prace mają wymiar praktyczny, zawsze doradzamy im, aby tworzyć je w taki sposób, by mogły być wykorzystane w przyszłości, na przykład jako produkt czy pomysł, którym mogą pochwalić się przed potencjalnym pracodawcą.

Szczególną rolę pełnią w naszej uczelni opiekunowie poszczególnych roczników. To oni są pierwszym punktem kontaktu w przypadku pytań i wątpliwości, to oni przedstawiają studentom strukturę uczelni, informują o harmonogramie roku akademickiego, doradzają w sytuacjach problemo-

wych i poznają studentów najlepiej. To oni dowiadują się pierwsi o trudnych sytuacjach życiowych studentów, ich wypadkach losowych i ogólnie rozumianych potrzebach.

W dobie pandemii koronawirusa konsultacje ze studentami przeniesiliśmy do świata online. Jesteśmy dla nich dostępni nie tylko w ramach zajęć, lecz także w ramach wirtualnych dyżurów. Jak pokazują pierwsze doświadczenia w tym zakresie, zdarzają się studenci bardzo źle znoszący izolację i zwyczajnie odczuwający strach przed chorobą. Jak sami przyznają, niecierpliwie czekają na wideokonferencje ze swoimi koleżankami i kolegami z grupy.

Na zakończenie chciałbym zaproponować kilka wskazówek dla koleżanek i kolegów rozpoczynających karierę nauczycieli akademickich. Na podstawie własnych kilkunastoletnich doświadczeń zawodowych sugerowałbym:

- znajdźcie czas na rozmowę z waszymi studentami, nie tylko w trakcie zajęć, ale również po nich – studenci uczą się chętniej od osób, które poświęcają im swoją uwagę;
- miejcie konkretne, jasno sprecyzowane oczekiwania wobec studentów i nigdy z nich nie rezygnujcie – oczekiwania co do form komunikacji, punktualności, przygotowania do zajęć – studenci szanują nauczycieli, którzy mają konkretne zasady i potrafią je z pewnością siebie komunikować;
- jednocześnie pamiętajcie o elastyczności, która niekiedy bywa wskazana – czasami w życiu studentów dzieje się coś, co nie pozwala im się skupić; być może to dobry czas na rozmowę o tym, co się wydarzyło;
- szacunek studentów zobowiązuje nie tylko wiedzę merytoryczną, ale również dzięki autentycznemu zainteresowaniu ich emocjami, dlatego pytajcie o ich pasje i zainteresowania, o to, co robią w czasie wolnym, co ich inspiruje, a czego nie lubią;
- nauczcie ich, jak się uczyć – nie oczekujcie, że po kilkunastu latach nauki szkolnej wiedzą, jakie strategie stosować; pokażcie im wachlarz technik – oszczędzicie sobie i im wielu frustracji.

I nie zapominajmy, że kształcimy ludzi, a niektórzy z nich kiedyś nas zastąpią.

Dr Tomasz Róg – adiunkt w Katedrze Filologii Państwowej Uczelni Stanisława Staszica w Pile. Anglista i językoznawca. Interesuje się glottodydaktyką a zwłaszcza kompetencją interkulturową i kreatywnością językową

100 NAJZDOLNIEJSZYCH MŁODYCH NAUKOWCÓW

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej ogłosiła listę stu najzdolniejszych polskich naukowców przed trzydziestką. Są to laureaci konkursu w programie START, w którym Fundacja co roku nagradza wybitnych przedstawicieli młodego pokolenia badaczy.

Program START Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest najstarszym w Polsce programem stypendialnym dla najlepszych młodych naukowców reprezentujących wszystkie dziedziny nauki. Jego celem jest wspieranie wybitnych młodych uczonych i zachęcanie ich do dalszego rozwoju naukowego. Laureaci programu START otrzymują roczne stypendium w wysokości **28 tys. zł.** Mogą je przeznaczyć na dowolny cel. W ciągu 28 lat realizacji programu, prestiżowe stypendia zdobyło ponad 3 100 wybitnych badaczy (łącznie z tegorocznymi laureatami), którym FNP przekazała w sumie ponad 84,5 mln zł.

Stypendyści programu START są wybierani w drodze wieloetapowego konkursu, w którym oceniana jest jakość ich dotychczasowego dorobku naukowego. W programie panuje wysoka konkurencja. „Setka” nagrodzonych w tym roku badaczy została wybrana z grona **845** kandydatów. Średni wiek tegorocznych laureatów wynosi **28,5 lat**, a **44% nagrodzonych posiada stopień doktora** (w Polsce przeciętny wiek uzyskiwania doktoratu wynosi około 35 lat). Wśród nagrodzonych najwięcej badaczy reprezentuje nauki biologiczne i medyczne, nauki techniczne oraz nauki humanistyczne i społeczne. W tym roku na czele rankingu instytucji, z których pochodzi największa liczba laureatów uplasowały się Uniwersytet Jagielloński (22 stypendystów), Uniwersytet Warszawski (14 stypendystów), Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (6 stypendystów).

Od 2009 r. Fundacja przyznaje również w programie START **wyróżnienia** kandydatom, których osiągnięcia badawcze zostały ocenione przez recenzentów konkursu jako wybitne. Stypendia tych osób zostaną podwyższone do kwoty **36 tys. zł.** W tym roku wyróżnienia otrzymało czworo laureatów:

- **dr Magdalena Migalska**
z Wydziału Biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie,
- **mgr Rafał Muda**
z Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie,
- **mgr inż. Krzysztof Ptaszyński**
z Instytutu Fizyki Molekularnej Polskiej Akademii Nauk,
- **mgr Monika Żukowska** z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

W ramach programu START przyznawane jest również **Stypendium im. Barbary Skargi**. Może je otrzymać osoba, której badania wyróżniają się odważnym przekraczaniem granic pomiędzy różnymi dziedzinami nauki, otwierają nowe perspektywy badawcze i tworzą nowe wartości w nauce. Tegoroczną laureatką Stypendium im. Barbary Skargi została mgr **Katarzyna Chyl** z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego PAN w Warszawie. Będzie ona otrzymywać stypendium podwyższone do kwoty **36 000 zł.**

Od roku 2015 r. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej w programie START przyznaje wyróżnienie im. prof. Adama Sobiczewskiego. Może je otrzymać laureat prowadzący badania naukowe w dziedzinie matematyki, fizyki teoretycznej bądź astronomii. Ponadto głównym kryterium wyróżnienia jest wyjątkowo wysoka jakość dorobku naukowego kandydata. W tegorocznym konkursie wyróżnieniem został uhonorowany **mgr Marcin Karczewski** z Wydziału Fizyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jego stypendium zostanie powiększone do kwoty **36 000 zł.**

Stypendia w konkursie 2020 zostaną sfinansowane zarówno z budżetu Fundacji, jak i ze środków przekazanych przez partnerów programu: Narodowy Bank Polski (w ramach programu edukacji ekonomicznej) i Fundację PZU, a także firmy laureatów i stypendystów Fundacji: SensDx i Instytut Biotechnologii i Medycyny Molekularnej Dawida Nidzworskiego oraz Neuro Device Pawła Solucha. Ponadto stypendia zostaną sfinansowane ze środków przekazanych przez prywatnych darczyńców oraz z wpłat 1% podatku dochodowego.

Nabór wniosków do kolejnego konkursu rozpocznie się jesienią br.





Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Laureaci stypendium START dla młodych uczonych Fundacji na rzecz Nauki Polskiej edycja 2020

Stypendysta	Dziedzina	Instytucja
Wacław M. Adamczyk	medycyna przedkliniczna	Akademia Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach
Maciej Bagiński	inżynieria materiałowa	Uniwersytet Warszawski
Dominik Banat	mechanika	Politechnika Łódzka
Wojciech Bańczyk	nauki prawne	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Anna Bar	biologia medyczna	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Łukasz Baran	chemia fizyczna	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie
Maciej Bik	inżynieria materiałowa	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie
Grzegorz Bogdan	telekomunikacja	Politechnika Warszawska
Aleksandra Bogusz	kształtowanie środowiska	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie
Marcin Braun	medycyna kliniczna	Uniwersytet Medyczny w Łodzi
Grzegorz Bury	geodezja i kartografia	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu
Stanisław Bury	ekologia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Joanna Chmielewska	neurobiologia	Warszawski Uniwersytet Medyczny
Łukasz Chrobok	neurobiologia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Katarzyna Chyl	psychologia	Instytut Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego PAN w Warszawie
Krzysztof Czamara	biofizyka	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Robert Czarnota	górnictwo i geologia inżynierska	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie
Juliusz Dąbrowa	inżynieria materiałowa	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie
Sylvia Dąbrowska	biologia medyczna	Instytut Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej im. M. Mossakowskiego PAN - Warszawa
Tomasz Dębiec	matematyka	Uniwersytet Warszawski
Klaudia Dębiec-Andrzejewska	biotechnologia	Uniwersytet Warszawski
Anna Elżbieta Drożdż	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Joanna Drzeżdżon	chemia	Uniwersytet Gdański
Andrzej Dzień	chemia	Uniwersytet Śląski w Katowicach
Rami Faraj	mechanika	Instytut Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk
Łukasz Fiedor	geografia społeczna	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Bartłomiej Gajos	historia	Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN w Warszawie
Piotr Gąsiorek	zoologia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Krzysztof Giergiel	fizyka	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Urszula Górka	psychologia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Marcin Gradowski	bioinformatyka	Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie
Agnieszka Grajewska	hydrologia i oceanologia	Uniwersytet Gdański
Adam Hogendorf	nauki farmaceutyczne	Instytut Farmakologii im. Jerzego Maja Polskiej Akademii Nauk
Kinga Jaworska	medycyna przedkliniczna	Warszawski Uniwersytet Medyczny
Joachim Jelisiejew	matematyka	Uniwersytet Warszawski
Karolina Jurkiewicz	inżynieria materiałowa	Uniwersytet Śląski w Katowicach
Patrycja Kałamała	psychologia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Marcin Karczewski	fizyka	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Adam Karczmarz	informatyka	Uniwersytet Warszawski
Renata Kasprzyk	chemia	Uniwersytet Warszawski
Joanna Kaźmierczak	chemia	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Agata Kleczkowska	nauki prawne	Instytut Nauk Prawnych PAN w Warszawie
Kornelia Kliś	medycyna kliniczna	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Jakub Konieczny	matematyka	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Karolina Kordek-Khalil	inżynieria materiałowa	Politechnika Wrocławska
Anna Kotrys	biologia molekularna	Instytut Biochemii i Biofizyki PAN w Warszawie
Emilia Kozłowska	matematyka/medycyna	Politechnika Śląska w Gliwicach
Rościław Krutyhołowa	biochemia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Klaudia Kwiatkowski	biologia medyczna	Instytut Farmakologii im. Jerzego Maja Polskiej Akademii Nauk
Sebastian Kwiatkowski	biochemia	Uniwersytet Warszawski
Michał Lesiuk	chemia fizyczna	Uniwersytet Warszawski
Małgorzata Lubelska-Sazanów	prawo	Uniwersytet Śląski w Katowicach
Mateusz Maciejczyk	stomatologia	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku
Mariusz Maziarz	filozofia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Krzysztof Mączka	socjologia	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Magdalena Migalska	biologia środowiska	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Michał Misiak	psychologia	Uniwersytet Wrocławski
Jagna Mucha	prawo	Uniwersytet Warszawski
Rafał Muda	ekonomia	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie
Henryka Netzel	astronomia	Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika, PAN
Konrad Niemira	historia sztuki	Uniwersytet Warszawski
Krzysztof Nowicki	informatyka	Uniwersytet Wrocławski
Igor Obuchowski	biologia molekularna	Uniwersytet Gdański
Michał Ociepa	chemia	Instytut Chemii Organicznej PAN w Warszawie
Katarzyna Owczarek	wirusologia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Orest Pavlosiuk	fizyka	Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN
Kamila Pawłuszek	geodezja i kartografia	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu
Maciej Pieczarka	fizyka	Politechnika Wrocławska
Karolina Pierzynowska	biologia medyczna	Uniwersytet Gdański
Aleksandra Pilch-Wróbel	inżynieria materiałowa	Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN we Wrocławiu
Krzysztof Popek	historia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Oleksandr Pshyk	inżynieria materiałowa	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Krzysztof Ptaszyński	fizyka	Instytut Fizyki Molekularnej Polskiej Akademii Nauk
Katarzyna Ratajczak	biologia medyczna	Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie
Oskar Jacek Rojewski	historia sztuki	Uniwersytet Śląski w Katowicach
Bartłomiej Sadowski	chemia	Instytut Chemii Organicznej PAN w Warszawie
Piotr Sierant	fizyka	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Marta Skowron Volponi	ekologia	Uniwersytet w Białymstoku
Anton Slyvka	biologia molekularna	Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie
Jakub Sorocki	elektronika	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie
Anna Sosnowska	medycyna przedkliniczna	Warszawski Uniwersytet Medyczny
Damian Stefaniuk	budownictwo	Politechnika Wrocławska
Adrian Stencel	filozofia	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Marta Sylla	kształtowanie środowiska	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu
Żaneta Świdorska-Chadaj	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna	Politechnika Warszawska
Mariusz Tomaszewski	inżynieria środowiska	Politechnika Śląska w Gliwicach
Agnieszka Uryga	biocybernetyka i inżynieria biomedyczna	Politechnika Wrocławska
Małgorzata Walerych	ekonomia	Szkoła Główna Handlowa w Warszawie
Adrian Wesołowski	historia	Uniwersytet Warszawski
Karol Węgrzycki	informatyka	Uniwersytet Warszawski
Miłosz Wiczór	biofizyka	Politechnika Gdańska
Paulina Wietrzyk-Pełka	gleboznawstwo	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
Samanta Witomska	inżynieria materiałowa	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Małgorzata Wolska-Pietkiewicz	chemia	Politechnika Warszawska
Marta Woźniak-Karczewska	ekologia	Politechnika Poznańska
Maciej Zaranek	chemia	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Piotr Zdankowski	budowa i eksploatacja maszyn	Politechnika Warszawska
Szymon Zelewski	inżynieria materiałowa	Politechnika Wrocławska
Ewelina Zielińska	technologia żywności i żywienia	Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie
Monika Żukowska	biologia medyczna	Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Stypendia START są przyznawane przez FNP od 1993 r. Do 2020 r. łącznie FNP nagrodziła **3 100 osób** i przyznała **3 736 stypendiów** (w latach 2002-2015 istniała możliwość otrzymania stypendium START dwukrotnie) w łącznej wysokości **84,5 mln zł**.

Stypendia START stanowią wyróżnienie dla młodych naukowców, którzy, choć dopiero rozpoczynają karierę naukową, mogą się już wykazać znaczącymi osiągnięciami badawczymi. O stypendium ubiegać się mogą młodzi naukowcy do 30 r.ż. (lub starsi, jeżeli korzystają z regulaminowych możliwości przedłużenia). Dorobek kandydatów - udokumentowany patentami lub publikacjami w uznanych polskich i zagranicznych periodykach naukowych – jest oceniany przez uczonych będących autorytetami w swoich dziedzinach. Formalnie poprawne wnioski najpierw ocenia panel ekspercki, który najlepsze kandydatury kieruje do recenzji. Każdemu wnioskowi zakwalifikowanemu do tego etapu przygląda się kolejnych trzech recenzentów. Na podstawie opinii zebranych na poszczególnych etapach oceny merytorycznej wyboru laureatów dokonuje Zarząd Fundacji. Decyzja Zarządu zatwierdzana jest przez Radę Fundacji.

Program START oferuje również dodatkowe finansowanie (stypendium wyjazdowe) na wyjazd studyjny do zagranicznego ośrodka naukowego oraz możliwość wzięcia udziału wybranych stypendystów w spotkaniu z noblistami w niemieckim Lindau.

Od 2004 roku stypendia START są finansowane ze środków przekazanych Fundacji na podstawie ustawy prywatyzacyjnej z 2000 roku (na mocy tej ustawy 2% środków z prywatyzacji jednoosobowych spółek Skarbu Państwa było przekazywane w latach 2003-2004 na majątek Fundacji; po zmianie ustawy adresatem 2% środków uzyskiwanych w dalszych etapach prywatyzacji został nieistniejący już Komitet Badań Naukowych). Kolejnymi źródłami finansowania stypendiów są darowizny przekazywane przez prywatnych darczyńców oraz firmy, a także wpłaty 1% podatku dochodowego.

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej istnieje od 1991 r. i jest niezależną, samofinansującą się instytucją pozarządową typu non-profit, która realizuje misję wspierania nauki. Jest największym w Polsce pozabudżetowym źródłem finansowania nauki. Do statutowych celów FNP należą: wspieranie wybitnych naukowców i zespołów badawczych oraz działanie na rzecz transferu osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej. Fundacja realizuje je poprzez przyznawanie naukowcom indywidualnych nagród i stypendiów, przyznawanie subwencji na wdrażanie osiągnięć naukowych do praktyki gospodarczej, inne formy wspierania ważnych przedsięwzięć służących nauce (jak np. programy wydawnicze). Fundacja angażuje się także we wspieranie międzynarodowej współpracy naukowej oraz zwiększanie samodzielności naukowej młodego pokolenia uczonych.



Partnerzy programu START:



Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

Konkurs START 2020 w liczbach

3 000 000 zł – łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 28. konkursie w programie START;

845 wniosków do konkursu;

100 laureatów (11,83% spośród ubiegających się o stypendium);

58 mężczyzn i **42** kobiety wśród laureatów;

44% laureatów (44 osoby) ma stopień doktora; w tym 20 kobiet i 24 mężczyzn;

Dziedziny najczęściej reprezentowane przez laureatów: nauki biologiczne i medyczne (31 stypendiów); nauki techniczne (21 stypendiów); nauki humanistyczne i społeczne (19 stypendiów); nauki fizyczne i matematyczne (14 stypendiów); nauki chemiczne (11 stypendiów).

Instytucje, z których pochodzi największa liczba stypendystów: **Uniwersytet Jagielloński** (22 stypendystów), **Uniwersytet Warszawski** (14 stypendystów), **Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu** (6 stypendystów) oraz **Politechnika Wrocławska** (5 stypendystów).

Miasta, z których rekrutuje się najczęściej stypendystów: **Warszawa** (32 stypendystów), **Kraków** (28 stypendystów), **Wrocław** (12 stypendystów).

Placówki naukowe, z którymi związani są stypendyści, to: **uczelnie** (85, z czego 14 to politechniki) oraz **instytuty PAN** (15).

Więcej:

www.fnp.org.pl
start.fnp.org.pl

Piotr Miller, Kinga Kwiatkowska

Co wiemy o naszych studentach?

Podpatrując naszych studentów – w większości przedstawicieli pokolenia Z – którzy świetnie odnajdują się w przestrzeni wirtualnej, chętnie korzystają z mobilnych urządzeń elektronicznych i Igłą do gier i zabaw, postanowiliśmy formę zajęć dostosować do nowego odbiorcy.

Podobnie jak wiele uczelni, Państwowa Uczelnia im. Stefana Batorego wykorzystuje różne formy badań (ankietowe, fokusowe, wywiady swobodne, badanie danych zastanych), starając się lepiej poznać studentów, ich potrzeby, oraz ocenić poziom satysfakcji z poszczególnych aspektów studiowania. Wnioski wskazują, że ilościowe badania kwestionariuszowe są szczególnie przydatne w określeniu ogólnej sylwetki studenta PUSB w Skierniewicach oraz ogólnego obrazu studenckich opinii i preferencji przedstawionych „z lotu ptaka”, zaś badania jakościowe – fokusy, wywiady a także partnerski kontakt ze studentami w ramach rozmów między zajęciami – efektywnie pogłębiają wiedzę o studentach i ich potrzebach.

Jak zatem wygląda sylwetka studenta PUSB?

Profil studenta naszej uczelni wskazuje, że dominującą grupę żaków stanowią osoby w wieku 20-28 lat. Większość (zwłaszcza studentów stacjonarnych) mieszka z rodzicami (w domach pochodzenia) w przestrzeni miejskiej lub wiejskiej, w subregionie skierniewickim i obce jest im doświadczenie „opuszczania gniazda” i konieczności szybszego „wejścia w dorosłość”. Blisko 40% studentów korzysta z różnych form wsparcia materialnego. Student skierniewickiej uczelni to najczęściej człowiek na starcie kariery zawodowej (student stacjonarny), ale też osoba szukającą awansu zawodowego, rozwoju zawodowego, przekwalifikowania (częściej student niestacjonarny). Poza aktywnością na uczelni studenci często pomagają w gospodarstwach domowych czy w firmach rodzinnych, a także spędzają czas na rozrywkach w grupach rówieśniczych. Osobowościowo nasz student to osoba często nieśmiała, szukająca bezpieczeństwa i zasobów – jak to tłumaczą studenci – „pozwalających wzmocnić samoocenę i wybić się w przyszłość”. Rozmawiając z nimi, spotykamy się czasem z przekonaniem, że pochodząc z mniejszej miejscowości, w zasadzie automatycznie stoją na gorszej „pozycji startowej” niż ich koledzy z dużych ośrodków. To rodzi niekiedy – zupełnie nieuzasadnione – poczucie obniżonej sprawczości. Profil ten potwierdzają także informacje płynące od absolwentów.

Wielu absolwentów, którzy kończyli studia licencjackie w naszej uczelni i kontynuowali naukę na studiach drugiego

stopnia w dużych ośrodkach akademickich, zwraca uwagę, że na co dzień najbardziej tęsknią za kameralnym charakterem naszej uczelni i tym, że do jej pracowników – zarówno dydaktycznych, jak i administracyjnych – można było w każdej chwili podejść, porozmawiać, o coś zapytać lub się poradzić. Mimo że w trakcie nauki na studiach magisterskich absolwenci naszej uczelni radzą sobie dobrze, to poczucie bycia jedną z kilkadziesiąt osób na roku, często niemal zupełnie anonimowych dla wykładowców, jest czymś odmiennym od doświadczeń w PUSB i nie zawsze komfortowym. Podobnie zresztą jak bycie kolejnym „anonimowym interesantem” różnych uczelnianych jednostek odpowiedzialnych za obsługę spraw studenckich. Takie świadectwa dobrze pokazują charakter i specyfikę pracy w lokalnej i środowiskowej uczelni. Zazwyczaj dość dobrze znamy naszych studentów, nie tylko z indywidualnych konsultacji czy prowadzonych zajęć dydaktycznych (choć i one, realizowane zazwyczaj w niewielkich grupach, mocno upraszczają nam sprawę). Kameralny charakter grup skraca dystans i pomaga budować relacje ze studentami. Rozmawiamy z nimi. Słuchamy, doradzamy. Czasem się zdarza, że wspieramy także studentów w obszarach spoza ich życia uczelnianego. Jesteśmy otwarci na pomysły, projekty. Dbamy o ich głos, gdy podejmujemy ważne decyzje dotyczące prowadzonych kierunków studiów jak i funkcjonowania całej społeczności akademickiej. Staramy się wspierać ich w tych sytuacjach, z którymi mogą mieć trudność.

Poszliśmy o krok dalej

Czy wszyscy nasi wykładowcy współpracują na co dzień ze studentami na podstawie tego typu formuły? Zapewne nie wszyscy, ale wielu z nas. Zależy to od mnóstwa czynników – od indywidualnych uwarunkowań osobowościowych, po przyzwyczajenia i schematy wypracowane np. w trakcie pracy dydaktycznej realizowanej w innych ośrodkach akademickich. Można też powiedzieć, że opowiadając o zaletach bezpośredniego kontaktu ze studentami jako przedstawiciele stosowanych nauk społecznych, mamy do pewnego stopnia ułatwione zadanie. Pewne kwestie przyjmujemy jako zupełnie „naturalne” i „oczywiste”. Tego typu „humanistyczne” czy „partnerskie” podejście do stu-

denta, biorące pod uwagę szerszy kontekst jego potrzeb i oczekiwań, wynika między innymi ze specyfiki naszej zawodowej socjalizacji do pełnienia roli nauczyciela akademickiego.

Ubiegły rok akademicki był dla wszystkich uczelni w Polsce czasem wprowadzania zmian związanych z wejściem w życie zapisów nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Nasza uczelnia postanowiła pójść o krok dalej i obok wprowadzania nowych rozwiązań o charakterze organizacyjnym i proceduralnym, postanowiliśmy szerzej wykorzystać możliwości, jakie oferuje partnerska współpraca ze studentami. Zaprośiliśmy ich do aktywnego uczestnictwa w projektowaniu zmian dotyczących różnych obszarów (bezpośrednio albo pośrednio) wpływających na przebieg procesu dydaktycznego. W tym celu zainicjowaliśmy przeprowadzenie kilkumiesięcznego procesu projektowania nowych rozwiązań dla uczelni z wykorzystaniem metody Design Thinking i Service Design. Proces ten był jednym z elementów realizowanego przez nas obecnie, zintegrowanego programu, współfinansowanego ze środków unijnych. Pod okiem moderatora, współfinansowanego ze środków unijnych. Pod okiem moderatora, w zróżnicowanych zespołach, w których znaleźli się: przedstawiciele kadry dydaktycznej, administracyjnej i zarządzającej oraz przedstawiciele studentów różnych kierunków, wspólnie wypracowywaliśmy rozwiązania ukierunkowane na stopniowe osiąganie przez uczelnię doskonałości dydaktycznej. Proces Design Thinking z założenia opiera się na silnej koncentracji na „użytkowniku” (w naszym przypadku: na studencie), dogłębnym zdiagnozowaniu jego potrzeb oraz ścisłej współpracy z nim w trakcie projektowania i testowania proponowanych w pierwszej kolejności prototypów – później rozwiązań. Dlatego też, poza włączeniem przedstawicieli grona studentckiego do zespołów roboczych jako ich pełnoprawnych członków, kilkakrotnie w trakcie procesu prowadziliśmy indywidualne i grupowe wywiady ze studentami, które pozwoliły na pełniejsze zrozumienie ich oczekiwań, motywacji oraz trudności, z jakimi muszą się na co dzień mierzyć. Następnie wypracowane rozwiązania prototypy oddaliśmy studentom do oceny i recenzji. Krok ten pozwolił sukcesywnie zacząć wdrażać te projekty, które spotkały się z największą przychylnością i ważnością dla nich. Dodatkową korzyścią z bliskiej współpracy ze studentami realizowanej w takiej formule jest więc także umacnianie poczucia ich wpływu na otaczającą ich uczelnianą rzeczywistość.

Uczelnia jest w stanie niwelować różnice

W naszej ocenie jest to niezwykle ważny element codziennej pracy ze studentami (do pewnego stopnia – pracy rów-

nież wychowawczej). Mając bowiem na uwadze z jednej strony obawy i obniżone poczucie sprawczości studentów, zaś z drugiej strony ich potencjał, zaangażowanie i chęć wybiecia się, stwarzamy warunki do aktywizowania studentów w podstawowym procesie dydaktycznym. Jako kadra dydaktyczna przywiązujemy wagę do usamodzielniania studentów i wskazujemy im – począwszy od pierwszego roku – głównych różnic między nauką w szkole średniej a studiowaniem. Podejmujemy działania mające na celu rozwijanie samodzielności, pogłębianie kompetencji społecznych i umacnianie poczucia własnej wartości. Oferujemy studentom uczestnictwo w zajęciach warsztatowych (w tym zajęciach z zakresu komunikacji, negocjacji i mediacji czy planowania i budowania kariery zawodowej) wchodzących w skład programów wszystkich kierunków studiów. Zachęcamy także do działania w radzie samorządu studentów, kołach naukowych, wyjazdach zagranicznych Erasmus+. Dodatkowo, poprzez szereg fakultatywnych form wsparcia, staramy się budzić w studentach bardziej proaktywne podejście do własnego życia edukacyjno-zawodowego. Szkolenia, doradztwo indywidualne i grupowe, dodatkowe praktyki, staże, spotkania z ekspertami, pracodawcami, w których studenci mogą (nie muszą) brać udział ukierunkowane są w pierwszej kolejności na rozwijanie umiejętności osobistych, interpersonalnych oraz kształtowanie postaw przedsiębiorczych. Dzięki tym formom uczelnia jest w stanie niwelować różnice, które mimo że wynikają raczej z subiektywnych przekonań czy wręcz autostereotypów niż realnych ograniczeń, mogą stanowić barierę w rozwoju społeczno-zawodowym naszych przyszłych absolwentów. Tę opinię potwierdzają zresztą często współpracujący z uczelnią pracodawcy, którzy chwalą naszych studentów i absolwentów podejmujących praktyki, staże bądź zatrudnienie w ich firmach za sumienność, zaangażowanie i dobre przygotowanie, które gdy idzie w parze z pewnością siebie, daje duże szanse na efektywne radzenie sobie w życiu zawodowym.

Zebrana wiedza i wnioski płynące z potrzeb i oczekiwań studentów przełożyły się na jeszcze jeden aspekt – pracę nad metodami stosowanymi w procesie dydaktycznym. Podpatrując naszych studentów – w większości przedstawicieli pokolenia Z – którzy świetnie odnajdują się w przestrzeni wirtualnej, chętnie korzystają z mobilnych urządzeń elektronicznych i lgną do gier i zabaw, postanowiliśmy formę zajęć dostosować do nowego odbiorcy. Szkolenia kadry dydaktycznej (także współfinansowane ze środków UE) między innymi z zakresu nowoczesnych narzędzi informatycznych, myślenia wizualnego, gier i zabaw dydaktycznych, zaowocowały wdrożeniem nowych narzędzi, metod pracy, które nie tylko w opinii studentów zwiększyły atrakcyjność zajęć, lecz także doprowadziły do zwiększenia motywacji studentów do udziału w proponowanych formach oraz poczucie, że wychodzimy naprzeciw ich potrzebom.

Mgr Kinga Kwiatkowska – socjolog, wykładowca, doradca kariery, trener; kierownik Biura Kariery; członek Rady Kolegium, współautorka licznych projektów unijnych realizowanych w PUSB – obecnie kierownik Projektu „Zintegrowany Program Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Skierniewicach”

Dr Piotr Miller – socjolog, starszy wykładowca w Instytucie Nauk Społecznych Państwowej Uczelni im. Stefana Batorego, pełnomocnik rektora ds. jakości kształcenia, koordynator merytoryczny w projekcie „Zintegrowany Program Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Skierniewicach”



Jacek Pakuła

Epidemia wpływa na pomoc materialną

Warto się zastanowić, kogo ma wspierać system pomocy materialnej: każdego studenta czy studenta realizującego terminowo naukę. Przyjęte rozwiązania uderzają w osoby, które chcą uzyskać wykształcenie i podjąć pracę. Zrozumiałe, że prawo może zawierać pewne luzy decyzyjne, ale nie może być tak, że system ma premiować tzw. wiecznych studentów.

Ustawa z dnia 16 kwietnia 2020 r. o szczególnych instrumentach wsparcia w związku z rozprzestrzenianiem się wirusa SARS-CoV-2, tzw. tarcza 2.0, wprowadziła także zmiany w systemie pomocy materialnej.

Nowy obowiązek rektora

Na podstawie art. 63 dodano do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce m.in. art. 51b ust. 3, zgodnie z którym zapomoga jest przyznawana przez rektora. Dotychczasowa praktyka przyznawania świadczeń pomocy materialnej oparta była na dwóch modelach. Pierwszy zakładał, że wszystkie świadczenia przyznaje komisja stypendialna składająca się w większości ze studentów. Zgodnie zaś z drugim modelem świadczenia te przyznawał rektor. Powszechne było to, że rektor – na podstawie art. 268a Kodeksu postępowania administracyjnego – upoważniał pracownika uczelni, np. prorektora albo prodziekana, do załatwiania spraw z zakresu pomocy materialnej. Zgodnie z nową regulacją rektor – w okresie ograniczenia lub zawieszenia funkcjonowania uczelni – ma wyłączną kompetencję do rozpatrywania zapomóg. Nie ma zastosowania dotychczas wydane upoważnienie na podstawie art. 268a Kpa, bowiem ustawodawca w sprawach o zapomogi wyłączył stosowanie tych przepisów. Tam, gdzie dotychczas działał tylko rektor, problemu nie ma. Jednak w uczelniach, w których pomoc materialna przyznawana była przez komisje stypendialne, nastąpiła istotna zmiana: komisje te nadal przyznają stypendium socjalne, stypendium rektora oraz stypendium dla osób niepełnosprawnych, ale prośbę o zapomogę musi już rozpatrzyć rektor.

Zmiana pozornie słuszna, a jednak powodująca chaos co do właściwego organu. Komisje stypendialne potrafiły bowiem właściwie zorganizować swoją pracę w czasie epidemii. Posiadały one spore doświadczenie w zakresie przyznawania zapomóg zarówno co do oceny, czy student znalazł się w trudnej sytuacji życiowej, jak i co do kwoty przyznanego wsparcia. Rektorzy nie mają wypracowanego standardu działania, jeśli nie rozpatrywali tych wniosków dotychczas. Będą więc posiłkowali się albo aparatem obsługi (dział pomocy materialnej), albo włączą w proces rozpatrywania zapomóg komisje stypendialne,

które będą mogły jedynie opiniować te wnioski. Może to jednak wydłużyć postępowanie, a przecież charakter zapomogi polega na tym, że pomoc potrzebna jest natychmiast.

Wyłączenie przepisów w sprawie przyznania zapomogi

Zgodnie z art. 51b PSWN do spraw w przedmiocie zapomogi nie mają zastosowania przepisy Kpa i art. 92 ust. 2 PSWN. Ten ostatni przepis stanowił, że zapomogę można przyznać nie więcej niż dwa razy w roku akademickim. Limit ten obowiązywał też w poprzednich rozwiązaniach prawnych, ale niewielu studentów go wykorzystywało. Ustawodawca zdecydował się jednak go znieść, zatem teoretycznie można przyznać nawet pięć takich jednorazowych świadczeń do września 2020 r. Już w marcu br. zaobserwowano na uczelniach zwiększony napływ wniosków. Oznacza to trudności w ocenie, która sytuacja jest uzasadniona, bowiem samo hasło „epidemia” to za mało. Uczelniany fundusz stypendialny przeznaczony jest nie tylko na zapomogi, lecz także na pozostałe stypendia. Zgodnie zaś z art. 417 pkt 2 PSWN dotychczas dotacja na pomoc materialną była przekazywana w transzach miesięcznych w wysokości zbliżonej do 1/10 kwoty dotacji przekazanej w poprzednim roku budżetowym. W myśl art. 63 pkt 14 tarczy 2.0 wykreślono wskazanie, że chodzi o 1/10 i poprzedni rok budżetowy. Można zakładać, że resort będzie mógł zwiększyć środki na zapomogi. Ale bez decyzji o podziale dotacji trudno podejmować decyzje, nie ma bowiem pewności, że transza w czerwcu będzie zbliżona do marcowej itd. Wystarczy przypomnieć, jak zaskakujący okazał się podział dotacji w ubiegłym roku.

Matematyka jest ważna. Gdyby bowiem połowie wszystkich studentów chcieć przyznać dziś zapomogę, to najprawdopodobniej kwota przyznanego świadczenia byłaby niewielka. A przecież trzeba myśleć o nowym roku akademickim i stypendiach na okres od października do grudnia 2020 r. Otwarcie szeroko drzwi do zapomóg może również uderzyć w tych studentów, którzy rzeczywiście znaleźli się w trudnej sytuacji życiowej, np. z powodu śmierci rodzica. Mogą otrzymać mniejsze wsparcie niż ich koledzy, którzy byli w podobnej sytuacji np. na początku roku akademickiego.

Wyłączenie przepisów Kpa oznacza, że nie można wydać decyzji administracyjnej. Rodzi to wątpliwości, jaką formę należy przyjąć, aby sprawę załatwić. Mogłoby się wydawać, że każdy wniosek o zapomogę musi oznaczać pozytywne rozstrzygnięcie, więc nie będzie niezadowolonych studentów. Jednak w praktyce rozpatrywania wniosków zdarza się, że ktoś tej pomocy nie otrzyma, a także występować będą różnice w kwocie przyznanego wsparcia w stosunku do złożonych wniosków. Możliwa jest więc inna forma powiadomienia studenta o sposobie załatwienia jego sprawy, np. adnotacja rektora na wniosku studenta (opatrzone datą i podpisem). Ważne, aby student dowiedział się o rozstrzygnięciu swojej sprawy, nie wystarczy w tej sytuacji jedynie przelew na konto.

Wyłączenie przepisów Kpa wprawdzie oznacza, że student nie może odwołać się od wydanego rozstrzygnięcia, ale – wbrew twierdzeniom Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej – ma prawo wniesienia skargi do sądu administracyjnego. Zainteresowanych odsyłam do przepisu § 3 ust. 2 pkt 4 ustawy – Prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi. Warto sięgnąć zresztą pamięcią do roku 2001, kiedy to Sąd Najwyższy (postanowienie z 5 stycznia 2001 r., sygn. III RN 45/00), jeszcze przed reformą sądownictwa administracyjnego, wypowiedział się w sprawie dostępu do sądu. Tamte wytyczne zachowały swoją aktualność mimo zmiany przepisów.

Nowe sposoby składania wniosków

Art. 79 pkt 3 tarczy 2.0. wskazuje, że uczelnia może określić formę i sposób składania wniosków o pomoc materialną. Chodzi tu o stypendia i zapomogę, chociaż do tej ostatniej nie stosuje się przepisów Kpa.

Nie ma jednego prawidłowego wzorca postępowania. Niektóre uczelnie utrzymują dotychczasowe zasady, oparte na papierowym wniosku z własnoręcznym podpisem, inne będą posiłkować się skanami, a nawet zdjęciami dokumentów. Jeszcze inne szerzej sięgną do tzw. postępowań elektronicznych. Bez względu na przyjęty wariant, kluczowe jest zadbanie, aby mieć pewność, że wniosek pochodzi od studenta. W użyciu jest e-mail uczelniany, a student przecież zobowiązuje się, że będzie codziennie sprawdzać wiadomości, a także, że nikomu nie udostępni swojej skrzynki. Problematyczna jest data doręczenia wiadomości, ale to również można rozwiązać. Dziś, gdy trwa dyskusja wokół nowych terminów rekrutacji, warto podjąć się również wprowadzenia uczelnianego systemu, pozwalającego na składanie wniosków i na doręczenia elektroniczne. To można zorganizować już na etapie postępowania rekrutacyjnego.

Stypendium socjalne bez zaświadczenia z ośrodka pomocy społecznej

Kolejna zmiana, zawarta w art. 79 pkt 4 tarczy 2.0, wskazuje, że nie stosuje się do wniosków o stypendium socjalne dotychczasowego art. 88 ust. 4 i 5 PSWN. Przepis ten wszedł w życie z dniem 1 października 2019 r. Zgodnie z jego treścią student ubiegający się o stypendium socjalne, a wykazujący dochód nie wyższy niż 528 zł netto miesięcznie na osobę w rodzinie, zobowiązany był do przedstawienia zaświadczenia z ośrodka pomocy społecznej o sytuacji dochodowej i majątkowej swojej i rodziny, tzw. wywiadu środowiskowego. Zasadniczo idea była słuszną, ale publikowane przez ministerstwo komunikaty w przedmiocie art. 88 ust. 4 i 5 wywołały chaos.

W komentowanym przepisie ustawodawca znosi obowiązek przedłożenia ww. zaświadczenia. Na marginesie należy wskazać, że w regulacjach tarczy 2.0 dotyczących innych postępowań znaleźć można rozwiązania, które dopuszczają przeprowadzenie np. telefonicznego wywiadu środowiskowego, jak również przedłużają ważność dotychczasowych wywiadów środowisko-

wych. Zniesienie obowiązku przedłożenia dokumentu, o którym mowa w art. 88 ust. 4 PSWN, oznacza, że student, któremu w październiku 2019 r. odmówiono przyznania stypendium socjalnego z powodu braku zaświadczenia z ośrodka pomocy społecznej, może dziś ubiegać się o to stypendium. Kto może skorzystać na tej zmianie? Przede wszystkim student, który wykazał dochód zerowy, a nie potrafi uczciwie przyznać, z czego żyje. Organ nadal ma obowiązek zapytać go o źródło utrzymania. Odsyłam do lektury wyroku NSA z 10 maja 2018 r. (sygn. I OSK 2912/17).

Wyłączenie ograniczenia pobierania świadczeń przez okres dłuższy niż 6 lat

Podobnie jest z art. 79 pkt 5 tarczy 2.0 – ustawodawca zniósł w drugim semestrze ograniczenie pobierania świadczeń przez okres dłuższy niż 6 lat, o którym mowa w art. 93 ust. 2 pkt 1 PSWN. Zniesienie ograniczenia dotyczy tylko trzech świadczeń: stypendium socjalnego, stypendium dla osób niepełnosprawnych oraz zapomogi. Skorzystają przede wszystkim osoby, które rekrutują się na studia tylko po to, aby pobierać pomoc, tzw. wieczni studenci. O ile w październiku 2019 r. organy mogły ukrócić zjawisko i odmówić np. stypendium socjalnego, o tyle tarcza 2.0 wręcz zachęca studentów, aby przedłużali studia. Wsparcie dla studentów ma sens, ale musi ich zachęcać do nauki i terminowego uzyskania wyższego wykształcenia.

Zasada trwałości decyzji a art. 79 tarczy 2.0

„Udogodnienia”, o których mowa w art. 79 tarczy 2.0, nie tylko mogą mieć negatywny wpływ na postawy studentów, ale również oznaczają trudności proceduralne dla organów.

Wspomniane przesłanki negatywne, jak brak zaświadczenia z ośrodka pomocy społecznej czy upływ sześciu lat, mogły być przyczyną wydania decyzji odmawiającej stypendium w październiku 2019 r. Jeśli więc dziś student pojawia się z nowym wnioskiem, warto zapamiętać dwa hasła: fakt i prawo. Stan faktyczny w sprawie naszego studenta się nie zmienił, zmieniło się prawo. Nie można wydać zupełnie nowej decyzji, bowiem będzie ona zagrożona sankcją nieważności – zgodnie z art. 156 § 1 pkt 3 Kpa organ administracji publicznej stwierdza nieważność decyzji, która dotyczy sprawy już poprzednio rozstrzygniętej inną decyzją ostateczną. Należy powołać się na art. 154 lub 155 Kpa i zmienić decyzję „październikową”, lecz nie od października, a od miesiąca, w którym wniosek został złożony, chyba że regulamin świadczeń dla studentów zawiera inne regulacje, np. zasadę przyznawania stypendium od miesiąca następującego po miesiącu złożenia wniosku.

Inaczej jest w przypadku zapomogi. Wprawdzie jeszcze w lutym organ stypendialny, powołując się np. na przesłankę sześciu lat, odmówił przyznania pomocy studentowi, któremu zmarł rodzic, to gdy ten sam student pojawi się teraz z wnioskiem, trzeba pamiętać, że od 18 kwietnia 2020 r. do sprawy zapomogowych nie stosuje się ani ograniczenia sześciu lat, ani przepisów Kpa. Nie można więc skorzystać z art. 154 czy 155 Kpa. Łatwiej potraktować jego wniosek jako nową sprawę i wydać rozstrzygnięcie już bez opierania się na przepisach Kpa.

Rozszerzenie katalogu dochodów utraconych a stypendium socjalne

Zmiany nastąpiły również w katalogu dochodów utraconych, o którym mowa w ustawie o świadczeniach rodzinnych. Zasady obliczania dochodu w rodzinie studenta są powiązane z ww. aktem prawnym. Na podstawie art. 73 pkt 24 tarczy 2.0 dodano art. 150a, zgodnie z którym obniżenie wynagrodzenia z tytułu zatrudnienia z powodu przeciwdziałania COVID-19 stanowi utratę dochodu.

Obniżenie wynagrodzenia, np. z kwoty 5 tys. zł do 2 tys. zł, nie oznacza, że student ma dochód zerowy, ale wyliczając jego dochód należy uwzględnić 2 tys. zł. Trzeba pamiętać, że obniżenie musi mieć związek ze stanem epidemii, a nie jakąkolwiek inną przyczyną, np. karą dyscyplinarną. Popularne, zwłaszcza w przypadku stypendium socjalnego, są tzw. generatory wniosków. Polegają na tym, że student wprowadza dane, a następnie wniosek jest drukowany i składany – wraz z załącznikami – jako wydruk opatrzone podpisem itd. Niestety niektóre uczelnie przyjęły, że student może wniosek o stypendium socjalne złożyć tylko na początku semestru. Dziś więc, jeśli student utracił pracę i chciałby się ubiegać o stypendium socjalne, ma kłopot. Generator jest wyłączony, a wzory wniosków – nawet w formacie pdf – niedostępne. Warto przypomnieć, że Naczelny Sąd Administracyjny w wyroku z 5 grudnia 2006 r. (sygn. I OSK 646/05) orzekł, że termin do złożenia wniosku o stypendium socjalne ma charakter instrukcyjny. Taki sam wniosek płynie z wyroku NSA, który zapadł 26 września 2019 r. (sygn. I OSK 78/18). Niektóre uczelnie próbują się powoływać na wyczerpanie funduszu stypendialnego. Uczelnia, która wydatkowałaby cały fundusz, w przypadku pojawienia się wniosku o stypendium socjalne ma obowiązek wystąpienia do resortu o uzupełnienie dotacji.

Podsumowanie

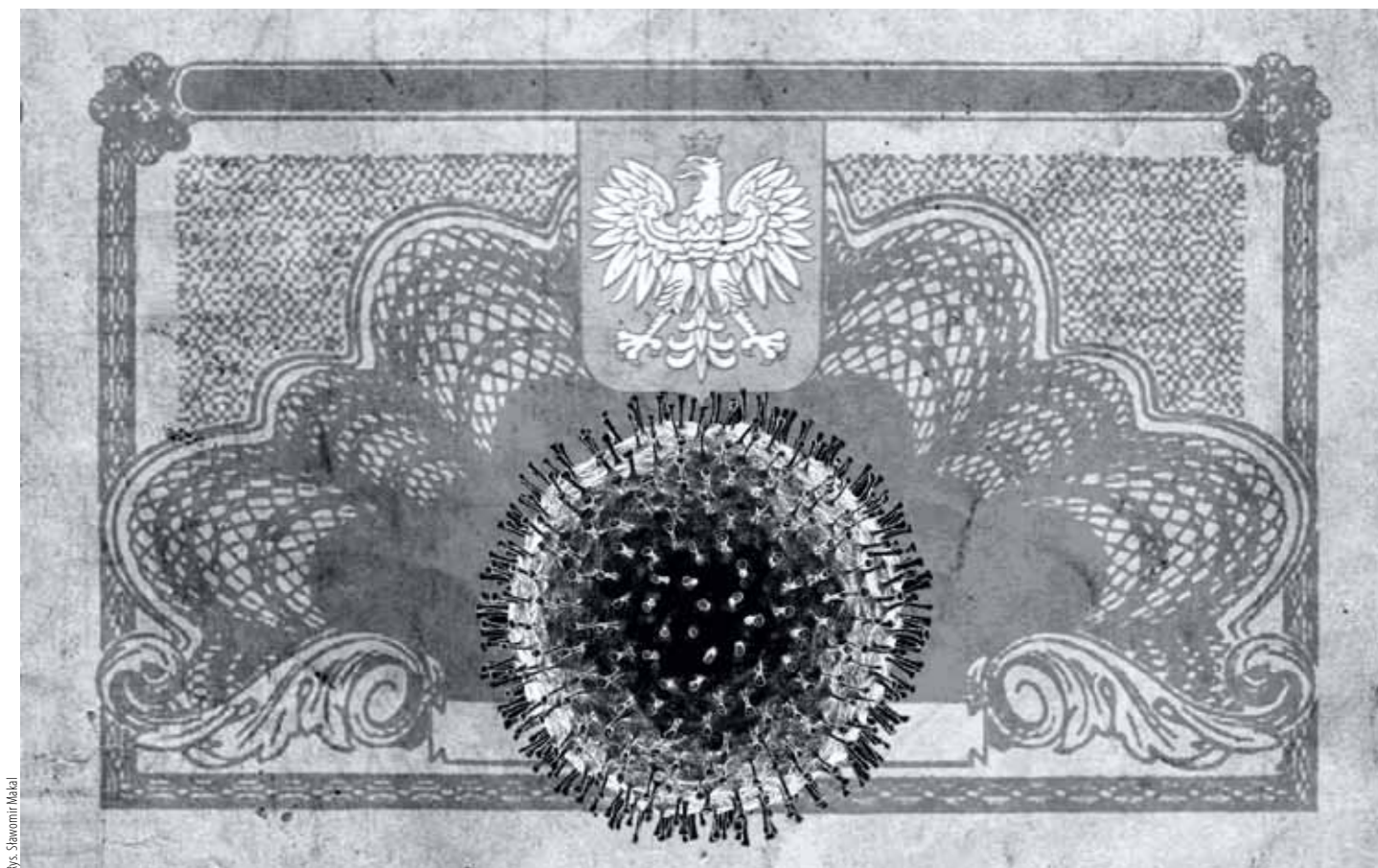
Przedstawione powyżej zmiany koncentrują się wokół rozszerzenia dostępu do pomocy materialnej. Mają one jednak iluzoryczny wymiar. Ilu jest bowiem studentów, którzy otrzymali w tym roku akademickim dwie zapomogi i chcieliby otrzymać trzecie świadczenie? Szerszy dostęp umożliwi skorzystanie ze świadczeń osobom, którym w październiku 2019 r. zamknięto drogę do pomocy. Chodzi o studentów, którzy rekrutowali się na studia tylko po to, aby mieć dostęp do stypendium. Dziś

znów mogą się ubiegać o wsparcie. Podobnie jest w przypadku studentów, którzy wykazywali zerowe dochody, nie otrzymując ani świadczeń rodzinnych, ani pomocy społecznej. W październiku 2019 r. zobligowane były do przedstawienia tzw. wywiadu środowiskowego i w przypadku jego niedostarczenia nie otrzymały stypendium socjalnego. Dziś jednak mogą się ubiegać o taką pomoc i uczelniom będzie trudniej im tego wsparcia odmówić.

Warto się zastanowić, kogo ma wspierać system pomocy materialnej: czy chodzi o każdego studenta, czy o studenta realizującego terminowo naukę. Przyjęte rozwiązania uderzają w osoby, które chcą uzyskać wykształcenie i podjąć pracę. Zrozumiałe, że prawo może zawierać pewne luzy decyzyjne, ale nie może być tak, że system ma premiować tzw. wiecznych studentów.

Obecny system zawiera wiele innych wad. Ministerstwo współrealizuje projekt, którego wynikiem powinna być ustawa o stypendiach. Zmiany zawarte w tarczy 2.0 ilustrują tylko to, że resort nie ma większej orientacji w sprawach z zakresu pomocy materialnej. Sygnałem ostrzegawczym były przepisy Konstytucji dla Nauki. Wtedy tłumaczono, że przestawienie przecinka nie ma znaczenia, że nastąpiła zwykła zamiana ograniczenia w dostępie do pomocy materialnej z trzech na sześć lat. Musi dziwić i to, że ministerstwo nie dostrzega roli pomocy materialnej. Nie chodzi tylko o dostęp do wyższego wykształcenia, ale o rolę wychowawczą tego systemu. W mojej ocenie przyjęte rozwiązania stanowią raczej pokusę, aby środki przeznaczone na stypendia i zapomogi transferować na zupełnie inne cele. Obym się mylił.

Mgr Jacek Pakuła, prawnik, pomysłodawca Ogólnopolskiej Konferencji Naukowo-Szkoleniowej pt. „Pomoc materialna dla studentów i doktorantów”



Rys. Sławomir Malaj



Marcin Chałupka

Uczelnia po wirusie

Czy pierwsza światowa „telepandemia” zmieni filozofię organizacji uczelni? Dla przykładu e-learning w wielu uczelniach był „kwiatkiem do kożucha” i mało kto przypuszczał, że możliwe jest tak „antyjakościowe” rozwiązanie jak nakaz powszechnego e-learningu.

Ostatnie miesiące pokazały nie tylko kryzys paradygmatu, w którym sednem aktywności uczelni wydaje się mniej „przysporzenie dydaktyczne” (kształcenie konkretnych umiejętności zgodnie z zapotrzebowaniem studentów), a bardziej realizacja zajęć i egzaminów z zachowaniem kontroli samodzielności, jako wymogów formalnych, by wydać dyplom. Czas ten pokazał także trudności praktyczne etatystyczno-legislacyjnego paradygmatu sterowania uczelniami.

Blokada uczelnianej codzienności z powodu koronawirusa zastała nasze uczelnie jako sterowane legislacyjnie, a nie własnościowo, a więc podlegające tym samym bólowi trudności sterowności co państwo. Właściciel może zadysponować swoją własnością, samym aktem woli. Premier, minister czy rektor, jeśli chce mieć poczucie zgodności z wymaganymi regulacjami, musi przecisnąć się przez meandry legislacji publicznej lub wewnętrznej. Przepisy tworzące uczelnianą rzeczywistość opierały się na fundamencie kontaktu, posiedzeń i zebrań. Okazały się nieprzydatne, wręcz szkodliwe przy wyzwaniu „zdalności”. Dodatkowo rozpędywały się wyborcze procedury. Ich realizacja w mało której uczelni możliwa była bez międzyludzkiego kontaktu bezpośredniego. Wreszcie w Ustawie 2.0. nie było przepisu pozwalającego wprost rektorowi ograniczyć lub zawiesić funkcjonowanie uczelni, zaś jej art. 51 stanowi podstawę do rozporządzenia, które raczej określa jak bezpiecznie uczelnia ma działać, niż kiedy może nie działać.

Specregulacje

To wymusiło działania improwizowane. Zanim dodano art. 51a i 51b, część rektorów podejmowała ryzyko prawne, by uni-

kać ryzyka epidemicznego. Płynące z MNiSW rozporządzenia w sprawie ograniczenia funkcjonowania uczelni dawały czasem odpowiedzi, czasem implikowały kolejne pytania (por. portal FA: *Ograniczanie przez kreowanie*). W kolejnych odsłonach tego aktu dorzucano w jego treści kolejne ciała uczelnianej rzeczywistości jako mające podejmować uchwały „obiegowo” czy komunikując się elektronicznie. Wreszcie się okazało, że także egzaminowanie i rekrutacja przytwierdzone są stałą linią regulacji do betonu etatystyczno-korporacyjnego paradygmatu systemu.

Czy pierwsza światowa „telepandemia” zmieni filozofię organizacji uczelni? Dla przykładu e-learning w wielu uczelniach był „kwiatkiem do kożucha” i mało kto przypuszczał, że możliwe jest tak „antyjakościowe” rozwiązanie jak nakaz powszechnego e-learningu. „Antyjakościowe” dlatego i o tyle, o ile wcześniej podkreślano, że powyżej pewnego procentu parytetu zdalność po prostu jakości szkodzi. Inny przykład to dokumentacja. Chodzenie po uczelni z papierami (w wielu uczelniach jeszcze z indeksem), obiegówkami itp. Stanowić może dowód budowania rzeczywistości uczelni bardziej wokół przeszkód na drodze do dyplomu, a nie priorytetu kształcenia w treściach, których opanowanie student uznaje za sensowne bez systemu wymuszającego jego motywację restryktywnie.

Stopniowo jednak w uczelniach następowało oswojenie się z sytuacją i kanalizowanie myślenia na rozwiązywanie kolejnych problemów wynikających z paradygmatu regulacji. Czy jednak pytamy, czy student potrafi i jak nauczyć go kolejnej umiejętności? Czy może pytamy, jak prowadzić zajęcia, by nie popaść w „nielegalizm”? Być może, w miarę jak do MNiSW docierały

kolejne praktyczne problemy, tak – choć z pewnością również na podstawie refleksji niesygnalizacyjnej – z MNiSW wypływały kolejne przepisy, a czasem jedynie rekomendacje. Nadal pozostawały nierozwiązane wyzwania: jak realizować zdalnie zajęcia z wychowania fizycznego czy praktyki, które blokują zaliczenie danego semestru. Co zrobić, jeśli uczelnia nadal ma tylko papierowy indeks. Także precyzyjna realizacja zmienionych przepisów zderzała się z odczuciem „nadzwyczajności” skutkującym często pokusą subdelegacji czy ich mniej dosłownym odczytaniem.

Efektów weryfikacji

Dla przykładu art. 76a ust. 2 PSWiN wymaga, by uczelnia udostępniała w Biuletynie Informacji Publicznej na swojej stronie podmiotowej „Zasady weryfikacji osiągniętych efektów uczenia się w sposób, o którym mowa w ust. 1 [tj. Uczelnia może zorganizować weryfikację osiągniętych efektów uczenia się określonych w programie studiów, w szczególności przeprowadzać zaliczenia i egzaminy kończące określone zajęcia oraz egzaminy dyplomowe, poza siedzibą uczelni lub poza jej filią z wykorzystaniem technologii informatycznych zapewniających kontrolę ich przebiegu i rejestrację]”. Jednocześnie w par. 1 ust. 3 specrozporządzenia do art. 51a PSWiN czytamy: „W przypadku prowadzenia zajęć w sposób określony w ust. 2 [tj. „zdalnie”, dopisek i podkr. – M.Ch.] weryfikacja osiągniętych efektów uczenia się określonych w programie danego kształcenia, w szczególności przeprowadzenie zaliczeń i egzaminów kończących określone zajęcia oraz egzaminów dyplomowych, może odbywać się poza siedzibą uczelni lub poza jej filią albo poza siedzibą innego podmiotu prowadzącego kształcenie doktorantów, z wykorzystaniem technologii informatycznych zapewniających kontrolę przebiegu weryfikacji osiągniętych efektów uczenia się oraz jego rejestrację”.

O ile specrozporządzenie dopuszczało weryfikację „zdalną” efektów jedynie dla zajęć prowadzonych „zdalnie”, o tyle art. 76a nie niesie takiego ograniczenia. Stąd weryfikacja „zdalna” możliwa jest także dla zajęć „niezdalnych”, jednak w obu przypadkach powstaje wymaganie – nieznane jeszcze na gruncie specrozporządzenia – określenia i publikacji zasad na BIP. To obowiązek udostępnienia informacji publicznej, w związku z tym pamiętać należy o art. 23 ustawy o dostępie do informacji publicznej i sankcji karnej w nim przewidzianej.

W braku przypisania tego obowiązku statutem innemu organowi przypadnie on rektorowi. Zasady – jak sama nazwa mówi – muszą być co najmniej dwie. Należy także pamiętać, że mają to być zasady weryfikacji, a nie zasady określania zasad weryfikacji, więc subdelegacja dla dziekana w zakresie ustalenia zasad nie będzie dobrym rozwiązaniem. Nota bene w specrozporządzeniu mówi się o programach kształcenia, a nie programach studiów, co znacząco ogranicza jego praktyczne zastosowanie.

Tak art. 76a PSWiN, jak i specrozporządzenie, dopuszczają zdalne weryfikowanie, ale nie narzucają go. W uczelniach powstają bowiem wątpliwości, czy każdy efekt uczenia się można zweryfikować zdalnie. Fakt wydania dyplomu potwierdza uzyskanie efektów, a te – wadliwie czy „skrótowo” zweryfikowane – mogłyby implikować pytania o ryzyko poświadczania nieprawdy w dyplomie, a nawet ewentualnej odpowiedzialności odszkodowawczej za szkodę wynikłą z błędów popełnionych przez absolwenta, który coś miał (wg dyplomu i dokumentacji weryfikacji efektów) umieć, a nie umiał.

Na marginesie walki o „uzdalenie” egzaminów przy zachowaniu kontroli samodzielności może się zrodzić pytanie: po co w ogóle w uczelni egzaminy i kontrolowanie samodzielności? Czy może u ich podstawy tkwi założenie, że student nie chce ujawnienia,

że czegoś nie potrafi lub co najmniej nie potrafi sam i w zakresie wymagany, bardziej niż chce opanowania tego? A gdyby student widział potrzebę pozyskania, nabycia danych umiejętności, które uznaje za wysoce wartościowe, potencjalnie dochodowe itd., to może sam miałby potrzebę ich skutecznego opanowania? A chcąc na nich zarabiać bez ryzyka odszkodowań czy przystąpić do państwowych egzaminów zawodowych, wręcz sam dążyłby do auto-sprawdzenia? Wymuszona samodzielność byłaby wtedy zbędna.

Rekrutacje

W ustawie z 30 kwietnia 2020 r. o zmianie niektórych ustaw w zakresie działań osłonowych w związku z rozprzestrzenieniem się wirusa SARS-CoV-2 wprowadzono możliwość zmian uchwał rekrutacyjnych, co ma stanowić wyjątek od wywodzonej w orzecznictwie, bo niewynikającej wprost z art. 70 ust. 1 PSWiN ust. 1 zasady udostępniania uchwały rekrutacyjnej do 30 czerwca roku poprzedzającego rok akademicki. Na marginesie można zapytać, czy art. 70 ust. 1 zd. 1 wyklucza (a może wręcz nakazuje), by „warunki, tryb oraz termin rozpoczęcia i zakończenia rekrutacji oraz sposób jej przeprowadzenia” określił rektor, gdy statut nie przydziela tego obowiązku senatowi, a z ust. 2 może wynikać, że warunki tam wskazane dotyczą sytuacji, w której robi to senat. Zaś kompetencja określania zasad dla olimpijczyków i konkursowiczów, z art. 70 ust. 6 w ogóle nie jest przypisana senatowi, mimo że odsyła do terminu, o którym mowa w art. 70 ust. 1. Być może zapomniano także o terminie z art. 70 ust. 4 zd. 3 PSWiN, który odsyła do terminu z art. 70 ust. 1? W tym zakresie nadal pozostaje „blokerem”, gdyby uczelnia chciała zmienić zakres egzaminu, np. z powodu niemożności jego realizacji w danym zakresie „zdalnie”.

W niektórych przypadkach warunkiem przyjęcia uczelnia uczyniła przedstawienie zaświadczenia lekarskiego o braku przeciwwskazań do studiowania danego kierunku. Zmiana uchwały rekrutacyjnej jest okazją pozbycia się takiego warunku, zwłaszcza jeśli jego spełnienie w czasie epidemii jest znacznie utrudnione. Jednak brak weryfikacji danych cech kandydata na wejściu może skutkować brakiem podstaw prawnych do ich wymagania w toku studiów, gdy ich deficyt wyjdzie na jaw. W konsekwencji może powstać roszczenie, by to uczelnia pokryła koszty przystosowania toku studiów do zniwelowania danego deficytu. Ewentualnie alternatywa w postaci zobowiązania cywilnoprawnego studenta do ponoszenia ryzyka i kosztów utrzymania warunków wymaganych do podjęcia danych studiów, to jednak także wymaga jakiegoś ich zdefiniowania.

Rekomendacje

Podsumowując, tzw. koronawirus zmieni uczelnie, podobnie jak państwa i firmy. Wprowadzone pod presją wymogu chwili e-rozwiązania pozostaną na dłużej. Posłużą one jednak podtrzymaniu funkcjonowania paradygmatu etatystyczno-korporacyjnego realizowanego legislacyjnie, a nie do refleksji nad jego zmianą. Wprowadzając e-zmiany w uczelnianych regulacjach, możemy nieustannie zwiększać zasięg widzenia oka Wielkiego Brata, poziom kontroli studenckich instynktów, kolejne dokumenty czynić elektronicznymi. Możemy też spróbować się oprzeć na tych instynktach, wykorzystać ich dynamikę, by – działając same z siebie – motywowały studenta i nauczyciela. Ale to wymagałoby zmiany reguł finansowania sektora. Do tego zaś aktualna epidemia jest zbyt słabym wyzwaniem.

*Marcin Chałupka, radca prawny, specjalizuje się w prawie i instytucjach szkolnictwa wyższego i awansu naukowego. Więcej na www.chalupka.pl.
Decyzje w danych stanach faktycznych powinny być konsultowane z radcami prawnymi uczelni.*



Marek Misiak

Redaktorzy i tłumacze

Sytuacja nabiera dramaturgii, gdy tłumaczenie – z reguły jakiegoś drobniejszego tekstu – jest wykonywane w ramach przysługi, a nie za pieniądze. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, zatem pole manewru jest węższe.

Gdy byłem jeszcze dzieckiem, a potem nastolatkiem, wielokrotnie słyszałem (głównie od mężczyzn): „Chcesz, żeby coś zostało zrobione dobrze? Zrób to sam!”. Dopóki chodzi o kwestie małe i codzienne, faktycznie można nie delegować zadań. Jeszcze w kole naukowym jakoś się to sprawdzało – nie organizowałem dużych konferencji naukowych. Gdy jednak przyszło do koordynowania wydarzeń charytatywnych o nie tak wcale dużej skali, szybko zdałem sobie sprawę, że muszę się nauczyć dwóch rzeczy. Po pierwsze, podejmowania ryzyka zaufania komuś, bo przecież na tej samej zasadzie wiele osób mądrzejszych i bardziej doświadczonych ode mnie ufa mnie. Po drugie, dostrzegania, że jeśli ktoś robi coś inaczej, niż sobie wyobrażam, to prawdopodobieństwo, że zrobi to lepiej niż ja, jest znaczące. Nie tyle chodzi o to, że i tak nie miałbym czasu zrobić wszystkiego sam, ale o to, że próbując tak funkcjonować, nigdy nie wyrwałbym się z kręgu własnych ograniczeń.

Tłumacze miewają swoje przyzwyczajenia

Gdybyż to było takie piękne – po prostu (cytując ks. Tomáša Halíka) zrezygnować z funkcji dyrektora wszechświata, zaufać innym i dać się ponieść fali... Niestety, jeśli za coś odpowiadamy, musimy sprawdzić rezultaty cudzej pracy przed przekazaniem ich dalej (rzadko jednoosobowo decyduję o publikacji). W wydawnictwie naukowym jest tak wyjątkowo często. Wiem, że pracuję z fachowcami, redaktorami i tłumaczami,

z reguły bardziej kompetentnymi ode mnie, ale obowiązuję mnie weryfikowanie ich pracy. Nawet osoba gorzej przygotowana, ale skoncentrowana, ma szansę wychwycić niektóre błędy dzięki temu, że 1) nie jestem zupełnym laikiem i 2) patrzę tzw. świeżym okiem. Tak właśnie wygląda weryfikowanie tłumaczeń publikacji – zarówno artykułów naukowych, jak i skryptów oraz obszernych książek – które ukazały się już po polsku i teraz są ponownie publikowane po angielsku lub niemiecku. Pracuję z profesjonalnymi tłumaczami i przygotowane przez nich teksty wymagają jedynie drobnych poprawek (materiały pisane od razu po angielsku przez autorów z Polski lub innych *nie-native speakerów* potrzebują czasem gruntownych przeróbek). Problemy, które omówię poniżej, jestem w stanie dostrzec właśnie dlatego, że kwestie czysto językowe są przez tłumaczy rozwiązywane znacznie lepiej, niż zrobiłbym to sam.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na ważny fakt: tłumaczeniami – i to nierzadko naprawdę wysokiej jakości – zarabiają nie tylko osoby, które ukończyły odpowiednią neofilologię i podyplomowe studia czy kursy dla tłumaczy. Niektórzy uważają, że tacy fachowcy nie mają prawa do miana tłumacza, ale nie podzielam tego przekonania. Sam siebie nie określiłbym nigdy jako tłumacza, wolę sformułowanie, że „zajmuję się również tłumaczeniami”, ale nie odważyłbym się odmawiać tego tytułu ludziom, których pracę znam i podziwiam.

Umowy z firmami tłumaczeniowymi są przygotowywane na różnym poziomie szczegółowości i nigdy nie są tak złożone, jak te z towarzystwami ubezpieczeniowymi. Te drugie przewidują nawet lądowanie obcej inteligencji, te pierwsze precyzują nierzadko jedynie ramowe warunki współpracy. Rzecz jasna to biznes i można się dogadać, ale tłumacze – podobnie jak redaktorzy – miewają swoje przyzwyczajenia lub ugruntowane przekonania, z którymi nie potrafią lub nie chcą zrywać. Sytuacja nabiera dramaturgii, gdy tłumaczenie (z reguły jakiegoś drobniejszego tekstu) jest wykonywane w ramach przysługi, a nie za pieniądze. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, zatem pole manewru jest węższe.

Często obszarem nieporozumień między redaktorami i tłumaczami jest stosowanie British lub American English. Bywa to problemem, jeśli tłumacz nie jest anglistą i zna angielski naprawdę biegle, ale tylko jedną jego odmianę. W rezultacie zawsze pisze *glycaemia* zamiast *glycemia*, *practise* zamiast *practice* i *organise* zamiast *organize*, gdyż po prostu tylko ta pierwsza wersja wydaje mu się poprawna. Czy to poważny problem? W dobie edytorów tekstu z funkcją sprawdzania pisowni – nie. Większość takich wyrazów program wychwyci sam, inne łatwo wyłapać w korekcie, zwłaszcza że w tekstach z podobnego zakresu tematycznego są to często wciąż te same słowa. Kwestie stylistyczne różniące British i American English odgrywają zaś rolę raczej w tekstach literackich niż naukowych.

Metoda intuicji

Redagowanie tekstu przypomina trochę wychowywanie dzieci – do pewnego stopnia trzeba zdać się na intuicję. Przy lekturze materiału po polsku taką metodą można wychwycić niektóre błędy merytoryczne, które w jakiś niezbadany sposób przeszły przez recenzję. Przy lekturze tłumaczenia – niektóre błędy tłumacza. *Toutes proportions gardées*. Trzeba być trochę jak doświadczeni policjanci z filmów: „Nie podoba mi się to. Tu jest coś nie tak”. Kiedy tylko w głowie rozlegnie się ostrzegawczy brzęczyk – sprawdzamy. Błędy tłumaczenia wynikają najczęściej z nieuwagi spowodowanej przepracowaniem. Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Bywa zatem, że z przetłumaczonego zdania znika „not” i zdanie przeczące zamienia się w twierdzące (a zatem np. cały akapit zmienia znaczenie).

Inne błędy wymagają naprawdę wyczulonej intuicji. Jakis czas temu koleżanka z wydawnictwa zwróciła mi uwagę na błąd w tłumaczeniu tekstu poświęconego zdrowemu żywieniu. Elementem tego materiału była tabela z parametrami kilkunastu najczęściej spożywanych w polskiej kuchni warzyw. Nieoczekiwanie obok marchwi, selera i cebuli znalazł się w niej... pasternak (*parsnip*). Wiem, czym jest pasternak, ale przesadnie popularnym bym go nie nazwał. Rzut oka do oryginału i okazało się, że chodziło o pietruszkę (*parsley*). Koleżanka wychwyciła to, gdyż to jej poletko, naprawdę zna się na gotowaniu (tak dla informacji: na współczesnej myśli feministycznej też). Ja sam, nie chwalcąc się, umiem nawet odróżnić wizualnie pasternak od pietruszki (podobno wielu mężczyzn je myli i są problemy przy zakupach), ale nic mi nie zadzwoniło przy sprawdzaniu tej tabeli (dlatego tak istotne było, że nie ja jeden czytałem ten artykuł).

Sprawdzanie tłumaczenia oznacza bowiem – omawiane tu przy okazji historii drogi artykułu przez kolejne etapy redakcji – przygotowanie tekstu do składu, a nie kontrolę poprawności przekładu poprzez kolacjonowanie go z oryginałem zdanie po zdaniu. Gdyby taka konieczność zachodziła w przypadku każdego tłumaczenia wykonywanego dla danego wydawnictwa, prace nad taką publikacją ciągnęłyby się w nieskończoność, a samo zlecenie tłumaczenia traciłoby sens – szybciej byłoby wykonać je samemu. Jeśli weryfikacja zajmuje zbyt dużo

czasu, sama idea delegowania czy zlecania na zewnątrz niektórych zadań traci sens.

Tłumaczenie wymaga redakcji

W przypadku tekstów naukowych konieczna jest także kontrola poprawności przekładu terminów i pojęć. Znowu warto tu podkreślić, że błędy w tym zakresie (pod warunkiem, że nienagminne) nie są żadnym dowodem niekompetencji tłumaczy. Gromadzone latami doświadczenie powoduje, że anglojęzyczna terminologia medyczna czy prawnicza jest mi już w miarę dobrze znana, choć nie jestem anglistą. Tłumacz niespecjalizujący się w piśmiennictwie z tych dziedzin może się czasem pomylić; nie bez powodu istnieją specjalne kursy tłumaczeń medycznych, prawniczych czy biznesowych w różnych językach. Nawet jeśli redaktor sam nie zna prawidłowego angielskiego odpowiednika danego terminu lub pojęcia, to gdy od lat pracuje na takich tekstach, prawdopodobieństwo, że błędne tłumaczenie zwróci jego uwagę, jest znaczące. Tłumacz tworzy prawidłowy szkielec tekstu, strukturę zdania, redaktor wykrywa błędy jedynie w niektórych elementach (konkretnych wyrazach lub sformułowaniach) wypełniających tę strukturę.

Obowiązkowa jest kontrola przekładu nazw instytucji, tytułów dzieł literackich lub aktów prawnych i innych nazw własnych. Czasem dana instytucja czy dzieło ma już swoją oficjalną angielską nazwę, bywa że niebędącą prostym przekładem nazwy polskiej. Wynika to często z próby upodobnienia tej nazwy do anglojęzycznych nazw podobnych instytucji na świecie. Stąd np. Główny Urząd Statystyczny to po angielsku Statistics Poland. Jeśli dana nazwa jest charakterystyczna tylko dla polskich realiów, konieczne może się okazać dodanie w nawiasie lub przypisie nieobecnego w polskojęzycznym oryginale wyjaśnienia dla niepolskiego czytelnika, o czym mowa (np. czym jest „Gazeta Wyborcza”, bo tytuł przełożony jako „Electorial Newspaper” raczej nic mu nie powie). Optymalne jest podanie oryginalnej polskiej nazwy, jej dosłownego przekładu (aby czytelnik wiedział, co oznaczają niezrozumiałe polskie słowa w tekście) i objaśnienia. Podobnie w przypadku niektórych pojęć. Warto wskazać, że *voivodeship* (województwo) to tyle, co *province*, a *powiat* to mniejsza jednostka podziału administracyjnego kraju. Dodawanie takich elementów jest zadaniem redaktora, nie zaś tłumacza. Zdarza się, że redaktorzy starają się wraz z outsourcingiem usług przekładowych przerzucić na tłumaczy część swojej pracy, ale nie jest to dobra praktyka (nawet jeśli niektórzy tłumacze się na to godzą). Tłumaczenie, choćby kongenialne, wciąż wymaga redakcji.

Ważne jest, by tłumacze przestrzegali ustaleń co do wyboru brytyjskiej lub amerykańskiej ortografii, ale redaktor nie może oczekiwać od nich, by stosowali się do wszystkich elementów obowiązującej w danej instytucji konwencji wydawniczej (jeśli w ogóle powstał taki dokument). Warto być świadomym, że fachowcy używają często specjalistycznego oprogramowania wspomagającego proces przekładu i tekst po „przepuszczeniu” przez takie narzędzie może utracić także te ustawienia, które „na wejściu” były prawidłowe (np. mogą się zmienić cudzysłowy).

Praca z profesjonalnymi tłumaczami to dla redaktora publikacji obcojęzycznych niepowtarzalna szansa. Przygotowując do składu cudzy przekład, poszerzam swoją znajomość danego języka, gdyż poprawiam tekst przygotowany przez osobę znającą dany język lepiej niż ja. Niejeden raz już-już chciałem zwrócić komuś uwagę na błąd, po czym po uważniejszym sprawdzeniu okazywało się, że to jednak mnie zabrakło wiedzy, że tak też można, że takie określenie funkcjonuje. Ten, kto jest przekonany, że posiada całą prawdę, nie ma się na baczności, gdyż pycha kroczy przed upadkiem (Prz 16,18).

Kilka istotnych okoliczności

W ciągu pięciu lat studiów doktoranckich Radosław Krajniak zdołał poddać analizie całą literaturę przedmiotu, przeprowadził liczne kwerendy, a przede wszystkim zdołał zebrany materiał opracować i przedłożyć w postaci gotowej monografii. Jako student zdołał zrealizować projekt, którego nie był w stanie ukończyć przez dziesięciolecia duet doświadczonych mediewistów.

W ostatnim numerze „Forum Akademickiego” (nr 4/2020) red. Marek Wroński opublikował artykuł pt. *Toruński doktorat „na źródłach”*. Tekst dotyczy m.in. rzekomego plagiatu popełnionego przez dr. Radosława Krajniaka w dysertacji *Pralaci i kanonicy warmińskiej kapituły katedralnej do 1466 roku. Studium prozopograficzne* (promotor: prof. Andrzej Radziwiński). Ponieważ byłem członkiem komisji doktorskiej, jak również świadkiem opisywanych wydarzeń w dniu 26 X 2017 r., chciałem ustosunkować się do kwestii poruszonych w artykule i przywołać kilka okoliczności niezwykle istotnych dla sprawy.

W artykule pojawia się kuriozalne stwierdzenie, jakoby prof. Teresa Borawska, zatrudniona do 2014 r. w Instytucie Historii i Archiwistyki UMK, członek Rady Wydziału Nauk Historycznych UMK, nie miała pojęcia o badaniach prowadzonych przez Radosława Krajniaka, doktoranta w tym samym instytucie. Chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę na jedno istotne wydarzenie naukowe: w 2010 r. odbyła się w Olsztynie międzynarodowa konferencja z okazji rocznicy fundacji warmińskiej kapituły katedralnej. Wygłosiłem wówczas referat podsumowujący dotychczasowe badania prozopograficzne nad średniowiecznymi kapitułami pruskimi. W wystąpieniu stwierdziłem, iż w odniesieniu do kapituły warmińskiej konieczne jest przeprowadzenie kompleksowych badań prozopograficznych wykraczających poza archaiczną, słownikową biografistykę. Spośród czterech pruskich kapituł katedralnych trzy doczekały się nowoczesnych monografii w XXI w., natomiast dla kapituły warmińskiej pozostawał opracowany przez czworo autorów *Słownik Biograficzny Kapituły Warmińskiej* (dalej: SBKW), w części średniowiecznej przygotowany przez prof. Teresę Borawską. Na tę samą konferencję została zaproszona prof. Borawska, która wprawdzie referatu nie wygłosiła, ale nasze teksty sąsiadują w tomie pokonferencyjnym przygotowanym na wspomnianą sesję. Moderatorem obrad był wówczas ks. prof. Andrzej Kopiczko, jeden ze współautorów SBKW. O zgłoszonej przeze mnie potrzebie opracowania studium prozopograficznego kapituły warmińskiej prof. Borawska wiedziała już dziesięć lat temu.

Pytanie o puentę wieloletnich badań

Postulat prozopograficznego opracowania środowiska kanoników warmińskich w czasach krzyżackich został wysunięty przeze mnie z kilku powodów. Wydany w 1996 r. SBKW jest

publikacją okolicznościową, powstałą w związku z 750-leciem utworzenia diecezji warmińskiej. Zestawienie biograficzne poprzedza półstronicowy wstęp bp. Juliana Wojtkowskiego, który nb. wyraża pragnienie, by „SBKW służył szerokiemu kręgowi historyków Warmii, Mazur, Powiśla i okręgu Królewieckiego”. Słownik, opracowany przez czworo autorów, obejmuje biogramy członków kapituły warmińskiej od czasów najdawniejszych po 1992 rok. Nie posiada to wydawnictwo wstępu podsumowującego stan badań (niezwykle obfitych w odniesieniu do czasów średniowiecza), klasycznie zestawionej bibliografii etc. Co znamienne, nie pada tutaj jakakolwiek zapowiedź przygotowania studium prozopograficznego kapituły warmińskiej w czasach średniowiecza.

Jeżeli dzisiaj, w obliczu dysertacji przygotowanej przez Radosława Krajniaka, średniowieczna część SBKW autorstwa prof. Borawskiej urasta do rangi wiekopomnego, nowatorskiego dzieła, to z przykrością należy stwierdzić, że już w 1996 r., z punktu widzenia badań prozopograficznych, było to opracowanie niskiej jakości, pozbawione jakiejkolwiek refleksji metodologicznej. Wystarczy wskazać, że w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych XX w. powstały gruntowne studia poświęcone m.in. rycerzom zakonu krzyżackiego w Inflantach (m.in. prof. Klaus Militzer) czy personelowi kancelaryjnemu w krzyżackich Prusach Górnych (prof. Martina Armgartha) stanowiące w tym przypadku odpowiedni punkt odniesienia. Pod względem metody i zakresu kwerendy archiwalnej słownikowe opracowanie prof. Borawskiej byłoby dużym osiągnięciem w pierwszej połowie XX w., a nie pod koniec stulecia, gdy studia prozopograficzne stały się wiodącą metodą w badaniach określonych środowisk społecznych.

Ze zdumieniem czytam w artykule redaktora Wrońskiego, iż prof. Borawska „pamiętała, że ze względu na ograniczenia objętości książki, opracowywane przez wiele lat pracy biogramy musiały zostać znacznie skrócone, a przypisy uproszczone. Tym niemniej przez kolejne dwadzieścia lat, szukając w przeróżnych archiwach, uzupełniała dane dotyczące kanoników, planując wydanie obszernej monografii”. Czyli: badaczka prowadziła wieloletnie badania przed 1996 r., następnie okroiła swoją kartotekę na potrzeby SBKW, po czym prowadziła przez kolejne dwudziestolecie te same badania, których efektem – *summa summarum* – jest brak opracowania prozopograficznego jej autorstwa. Podczas obrony doktoratu Radosława

Krajniaka w październiku 2017 r. komisja się dowiedziała, że prof. Borawska nie sama, lecz wraz z dr. Henrykiem Rietzem, prowadzi prace na ten temat. Powstaje pytanie: dlaczego tandem tak znakomitych uczonych mediewistów, pracujących na etacie w IHIA UMK, nie był w stanie spuentować odpowiednią publikacją badań trwających kilkadziesiąt lat? Pytanie to jest o tyle zasadne, iż analogiczne projekty – i w Niemczech, i w Polsce – realizowane były w ramach studiów doktoranckich: kapituła pomezńska doczekała się dysertacji w 2003 r. (prof. Mario Glauert), prace nad kapitułą sambijską trwały cztery lata (prof. Radosław Biskup; publikacja w 2007 r.), natomiast kapituła chełmińska została opracowana w ramach seminarium magisterskiego (sic!; publikacja w 2013 r.) przez dr. Radosława Krajniaka. Ten ostatni za swoje badania nad kapitułą chełmińską został uhonorowany stypendium START Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Jak widać, w ograniczonych czasowo i finansowo ramach studiów doktoranckich możliwe jest opracowanie tego, co prof. Borawska i dr. Rietzowi nie udało się przez niemalże pół wieku.

Czy prof. Borawska jest plagiatorką?

Gruntowna analiza SBKW dowodzi, że prof. Borawska jest naukową dłużniczką pokoleń edytorów i badaczy zajmujących się dziejami średniowiecznej Warmii.

W środowisku naukowym znany jest fakt, iż prace nad prętami i kanonikami warmińskimi w okresie krzyżackim prowadził jeszcze przed publikacją SBKW olsztyński uczony dr Jerzy Sikorski. W 2001 r. informację taką przekazał mi śp. prof. Marian Biskup; byłem wówczas doktorantem realizującym badania nad sąsiednią, sambijską kapitułą katedralną. Podczas rozmowy o projekcie mojego doktoratu prof. Marian Biskup wspomniął, że podobne badania w odniesieniu do warmińskiej kapituły katedralnej w latach 1260-1466 podejmował dr Jerzy Sikorski w ramach planowanej habilitacji i na jej potrzeby stworzył w latach osiemdziesiątych XX w. własną, obszerną kartotekę. Według śp. Profesora miała z niej korzystać prof. Borawska. Niestety, w SBKW próżno szukać śladów badań dr. Sikorskiego.

Wielu członków kapituły warmińskiej, szczególnie późniejszych biskupów i znaczących prałatów, doczekało się wcześniejszych biografów w takich publikacjach słownikowych jak np. *Altpreussische Biographie*. Niestety, prof. Borawska we własnych biografach nie spełnia standardów stawianych dr. Krajniakowi: gdy przywołuje biografie opracowane w *Altpreussische Biographie*, ogranicza się zaledwie do podania sygła AB, podczas gdy każde hasło w tym wydawnictwie ma swojego autora. Trudno identyfikacji znakomitej większości średniowiecznych kanoników podjęli edytorzy źródeł w XIX i w pierwszej połowie XX w., zestawiając indeksy osobowe, z których prof. Borawska obficie czerpie, na co wskazują informacje bibliograficzne pod jej biografami. W nielicznych biografach widać własną kwerendę archiwalną. Czy w związku z tym prof. Borawska jest plagiatorką? Z całą pewnością nie: wykorzystwała dotychczasowy stan badań, by zrealizować własny projekt.

Różnica między biografistyką a prozopografią

Dr Radosław Krajniak jest bez wątpienia naukowym dłużnikiem prof. Teresy Borawskiej, widniejącej jako autorka średniowiecznej części SBKW, nawet jeśli po wystąpieniu dr. Henryka Rietza 27 X 2017 r. można mieć do tego poważne zastrzeżenia. Jej biografie z pewnością stanowiły dla Radosława Krajniaka dobry punkt wyjścia do dalszej kwerendy archiwalnej i – finalnie – opracowania prozopograficznego. Sam doktorant dał zresztą temu wyraz za sprawą prawie 300

przypisów, często polemicznych, odsyłających do badań toruńskiej mediewistki.

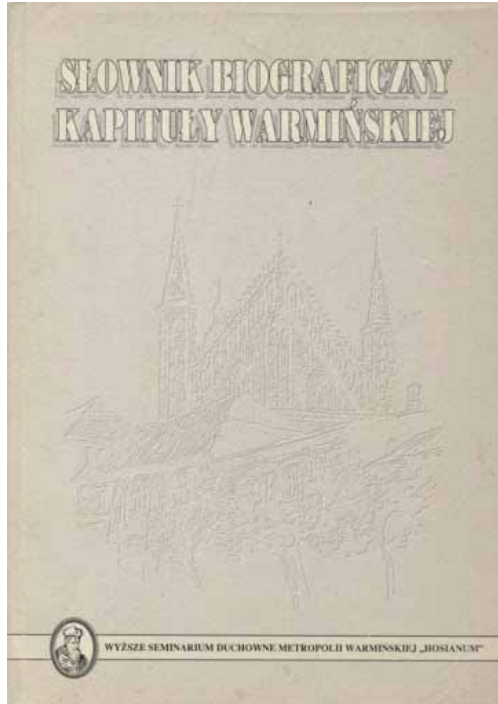
Czytając artykuł red. Wrońskiego, można odnieść wrażenie, że doktorant przedłożył jako dysertację słownik Teresy Borawskiej, w której jedynie pozmieniał kolejność zdań. Ergo: że mamy do czynienia z publikacją na ten sam temat. Trudno w tym miejscu wyjaśnić autorowi artykułu, na czym polega różnica między słownikową biografistyką a prozopografią, skoro strona uważająca się za pokrzywdzoną zdaje się tego nie dostrzegać. By to wyjaśnić pokrótce: z punktu widzenia SBKW biografie są celem samym w sobie, natomiast z punktu widzenia realizacji projektu prozopograficznego stanowią one środek do celu. Stąd biografie w dysertacji Radosława Krajniaka pełnią rolę aneksu słownikowego, ilustrującego obszerne, oryginalne wywody na temat organizacji, pochodzenia,

wykształcenia etc. członków kapituły warmińskiej.

Trudno poważnie potraktować przywołane w tekście przykłady na nierzetelność badawczą doktoranta. Jeśli red. Wroński przygotowując artykuł, nie skontaktował się z dr. Radosławem Krajniakiem, to trudno oczekiwać, by zadał sobie trud porównania SBKW z dysertacją. Szkoda, miałyby wówczas okazję samodzielnie i suwerennie stwierdzić różnice w metodologii badań. Pouczająca dla redaktora Wrońskiego mogłaby być w tym względzie recenzja prof. Ewy Wólkiewicz, uznanej badaczki średniowiecznych środowisk kościelnych. Wskazuje ona, iż w badaniach prozopograficznych normą jest wykorzystywanie wcześniejszych opracowań słownikowych i dostosowywanie biografów do przyjętej metody.

W ciągu pięciu lat studiów doktoranckich Radosław Krajniak zdołał poddać analizie całą literaturę przedmiotu, przeprowadził liczne kwerendy w Polsce (Olsztyn, Gdańsk, Wrocław, Pelplin, Warszawa, Toruń) i za granicą (Berlin, Wiedeń), a przede wszystkim zdołał zebrany materiał opracować i przedłożyć w postaci gotowej monografii. Jako student zdołał zrealizować projekt, którego nie był w stanie ukończyć przez dziesięciolecia duet doświadczonych mediewistów, zawłaszczających wbrew zasadom i logice naukowej obszar badawczy kościelnych dziejów średniowiecznej Warmii. Uwagi do przebiegu obrony, wysuwane przez Teresę Borawską i Henryka Rietza, nie mają w mojej opinii związku z jakością dysertacji przedłożonej przez Radosława Krajniaka, stanowiącej nowe ujęcie i spełniające kryteria ustawowe. Są natomiast zżecznie wykorzystywane, by takie wrażenie powstało.

Dr hab. Radosław Biskup, prof. UMK, Katedra Historii Skandynawii i Europy Środkowo-Wschodniej, Instytut Historii i Archiwistyki, Wydział Nauk Historycznych UMK w Toruniu





Ewa Wólkiewicz

W obronie feudalnych „poetek badawczych”

Źródło: Wikipedia
Zamek kapituły warmińskiej w Olsztynie

W przypadku wyższego duchowieństwa do rzadkości należy przygotowywanie biogramu „od zera”, a postępowanie w badaniach opiera się właśnie na dodanych uściśleniach.

W opublikowanym niedawno na łamach „Forum Akademickiego” artykule pt. *Toruński doktorat „na źródłach”* Marek Wroński zarzuca Radosławowi Krajniakowi popełnienie plagiatu na szkodę prof. Teresy Borawskiej w jego obronionej w 2017 r. pracy doktorskiej pt. *Pralaci i kanonicy warmińskiej kapituły katedralnej do 1466 roku. Studium prozopograficzne* („Forum Akademickie” nr 4/2020). Przedstawiony w artykule opis faktów jest jednak tak dalece wypełniony stwierdzeniami nieprawdziwymi oraz manipulacjami, że jako recenzentka uczestnicząca w przewodzie doktorskim czuję się zmuszona do stanowczej reakcji i ustosunkowania się do podniesionych w nim zarzutów. Przy okazji pragnę podkreślić, że od kilkunastu lat specjalizuję się w badaniach nad prozopografią średniowiecznego kleru, co pominięto w artykule, sugerując w ten sposób pośrednio moją niekompetencję.

Najpoważniejsza (lecz niestety niejedyna) manipulacja M. Wrońskiego polega na zupełnym przemilczeniu, że praca R. Krajniaka zawiera prawie 120 stron części syntetycznej. Czytelnik odnosi więc błędne wrażenie, że podstawą doktoratu jest 278 biogramów duchownych, rzekomo w całości przepisanych od T. Borawskiej, uzupełnionych o zaledwie kilkanaście przygotowanych zupełnie samodzielnie. M. Wroński z wykrzyknikiem orzeka, że te ostatnie to jedyny merytoryczny wkład doktoranta. Tymczasem o merytorycznej wartości pracy badawczej decyduje przede wszystkim owa część syntetyczna, świadcząca o umiejętności analizy danych, tj. syntetyczna „obróbka” zgromadzonej w biogramach sumy jednostkowych faktów, której Teresa Borawska nigdy nie opracowała. To owa synteza, a nie proste zestawienie wypisanych ze źródeł faktów w postaci suchego

biogramu, świadczy o kompetencjach badawczych doktoranta i już tylko na tej podstawie pracę R. Krajniaka można uznać za w pełni oryginalną i samodzielną, a zatem spełniającą wymagania stawiane dysertacjom doktorskim. Stwierdziłam to nie tylko ja, ale także drugi recenzent, prof. dr hab. Krzysztof Ożóg, cieszący się w środowisku mediewistycznym renomą badacza tyleż rzetelnego, co krytycznie wnikliwego.

Drobne uchybienie warsztatowe

Warto podkreślić, że wbrew twierdzeniu M. Wrońskiego biogramy autorstwa T. Borawskiej opublikowane w *Słowniku biograficznym kapituły warmińskiej* nie zostały zaopatrzone w „pełny aparat naukowy”. Biogramom tym towarzyszy jedynie zbiorczy wykaz literatury i źródeł ujęty w formie skrótowej i bardzo nieprzejrzystej, często typu: „Regesta III (indeksy), Dola, Kapituła (indeksy)”, który bardzo utrudnia ustalenie, z jakiego źródła zaczerpnięta została konkretna informacja. Niewiele zmienia tu tłumaczenie T. Borawskiej, że takie były niezależne od niej wymogi edycji. Od 1996 r. upłynęło wystarczająco wiele czasu, by opublikować zgromadzone materiały biograficzne w formie uzupełnionej monografii z pełnym i spełniającym wymogi warsztatowe aparatem naukowym.

Całkowicie absurdalnie brzmi zarzut, że R. Krajniak chciał „ukryć plagiat”, cytując jedynie skrót odnoszący się do słownika, bez wymieniania T. Borawskiej z nazwiska. W rzeczywistości nazwisko T. Borawskiej jako współautorki rzeczzonego słownika pojawia się w bibliografii pracy, a nikt z czytających nie ma wątpliwości, czego ów skrót dotyczy. Jedynie, co można by zarzucić doktorantowi, to drobne uchybienie warsztatowe,

gdyż biogramy i hasła opublikowane w wydawnictwach encyklopedycznych pod nazwiskami ich autorów z reguły powinny być tak cytowane (np. w *Polskim Słowniku Biograficznym*), czego notabene w innych swoich publikacjach nie czyni nawet Teresa Borawska. W wypadku pracy R. Krajniaka decyzja o redukcji opisu bibliograficznego do standardowego skrótu wydaje się jednakże w pełni uzasadniona ekonomią zapisu. Wprowadzone na interwencję T. Borawskiej dokładne rozpisanie każdego z jej niekiedy kilkuwersowych biogramów zajęło ostatecznie dziesięć stron bibliografii, zbytecznie i sztucznie rozdymając jej rozmiary. Na tym też jedynie – co w obliczu insynuacji trzeba podkreślić – polega różnica w wersjach pracy dostarczonych obojgu recenzentom, którą M. Wroński przedstawia w atmosferze sensacji jako wykalkulowane oszustwo.

Następnie nieco uwagi wymaga kwestia zestawionych przez M. Wrońskiego podobieństw treści biogramów kanoników autorstwa T. Borawskiej i R. Krajniaka. Ponownie wymaga to przybliżenia specyfiki badań mediewistycznych, która nie jest niewątpliwie oczywista dla wszystkich czytelników „Forum Akademickiego”. Autor artykułu zadał sobie w istocie niewielki trud, zestawiając tylko dwa biogramy. Dla kompletu i rzetelności badawczej powinien jeszcze porównać zakres faktów zestawionych w hasłach Teresy Borawskiej ze starszą literaturą przedmiotu. Zapewne ze zdziwieniem odkryłby, że badaczka przywołuje tam te same fakty, które w swoich biogramach zestawiał już wcześniej Anton Eichhorn, autor prac o prałatach warmińskich publikujący w drugiej połowie XIX w. Różnica językowa sprawia, że podobieństwa prac T. Borawskiej i starszych biogramów wydawać się mogą nieoczywiste.

Kanonicy warmińscy byli jednak niekiedy również kanonikami wrocławskiej kapituły katedralnej. Sięgnijmy zatem do pracy ks. Kazimierza Doli poświęconej składowi personalnemu tej instytucji (1983 r.). Biogram jednego z nich umieściła później T. Borawska w słowniku. Oto wynik porównania obu biogramów:

BETEKEN ALBERT

Kanonie [wrocł.] otrzymał z prowizji papieskiej około 1417 r. W 1419 został jej pozbawiony, ale odzyskał ponownie przed 7 VI 1420 r. Był w tym czasie również kanonikiem warmińskim (zrezygnował w 1420 r.). Mieszkał w Rzymie i należał do otoczenia kardynała Jordana de Ursinis, wielkiego penitencjara. W 1426 r. immatrykułował się w uniwersytecie w Wiedniu jako kanonik ratyzboński. Pochodził prawdopodobnie z Prus. W dokumentach śląskich nie spotykamy go. Zmarł przed 20 XII 1429 r. (K. Dola)

Pochodził z diecezji warm. Kanonik warm. uzyskał 25 V 1410 dzięki prowizji Jana XXIII, ale zapewne nie został przyjęty do kapituły. W grudniu 1417 mienił się klerykiem warm. i katedralnym wikariuszem. Mieszkał w Rzymie w otoczeniu kardynała, wielkiego penitencjariusza Jordana de Ursinis i zgromadził kilka prebend kościelnych, m.in. w Trydencie, Pradze i Wrocławiu. W 1420 r. zrezygnował ostatecznie z kanonii warmińskiej i w 1426 r. immatrykułował się na uniwersytecie w Wiedniu jako kanonik ratyzboński. Zmarł przed 20 XII 1429 r. (T. Borawska)

Czy oznacza to, że kolejny „demaskatorski” tekst wypadłoby poświęcić technice pracy naukowej Teresy Borawskiej? Zdecydowanie nie, choć powyższy przykład pokazuje, że badaczka niekiedy ze zbytnią dezynwolturą traktuje dorobek poprzedników, czerpiąc z niego nie tylko fakty, ale i całe fragmenty zdań. Niemniej – co należy podkreślić – nie ulega wątpliwości sama elementarna zasada, że przystępując do pracy nad biogramem, należy wykorzystać wszystkie powstałe wcześniej prace słownikowe. Kompletność danych na temat badanego środowiska,

która jest niezbędnym warunkiem poprawnego wnioskowania syntetycznego, wymaga niekiedy powtórnego zestawienia informacji już dobrze w literaturze znanych, zwłaszcza że zazwyczaj nie chodzi tu o nowe interpretacje, lecz o suche źródłowe fakty. Bez popadania w absurd nie da się zabezpieczyć suchego „faktu” (w przeciwieństwie do myśli, idei, spostrzeżenia czy analizy) jako własności intelektualnej konkretnego badacza.

Poznać specyfikę dyscypliny

Warto na powyższym przykładzie podkreślić, że prominentni duchowni w pełnym i późnym średniowieczu byli członkami wielu instytucji kościelnych i w opracowaniach tychże posiadają już swoje biogramy. Badacz przystępujący do rekonstrukcji składu osobowego kapituły katedralnej dysponuje więc niekiedy nawet kilkunastoma biogramami jednej osoby i w tym wypadku wszelkie uzupełnienia i korekty, a nawet uporządkowanie ich w jedną spójną całość – tak deprecjonowane przez M. Wrońskiego – również stanowią istotny wkład badawczy. W przypadku wyższego duchowieństwa do rzadkości należą raczej sytuacje odwrotne, czyli przygotowywania biogramu „od zera”, a postęp w badaniach opiera się właśnie na owych dodatkowych uściśleniach. W przypadku wielu biogramów przygotowanych przez R. Krajniaka wkład badawczy jest zresztą imponujący i gdyby M. Wroński sięgnął do jego dysertacji, zobaczyłby, że już chociażby sylwetka przywołanego wyżej A. Betekena zajmuje półtorej strony maszynopisu, przynosząc zupełnie nowe ustalenia i fakty. Zanim zweryfikuje się prawdziwe lub urojone oskarżenia o plagiat, warto jednak wcześniej zgłębić się nieco w specyfikę dyscypliny, której ów plagiat ma dotyczyć.

Zważywszy, że oskarżenie o plagiat ma charakter silnie dyfamujący, zwykła przyzwoitość wymaga, by dochować należytej staranności i rzetelności przy sprawdzaniu faktów, a przede wszystkim je zweryfikować i udzielić głosu obu stronom ewidentnego konfliktu ambicjonalno-środowiskowego, z którym mamy w tym przypadku do czynienia. W artykule pojawia się zarzut, że żaden z recenzentów ani członków komisji doktorskiej nie zareagował na zarzuty o plagiat ogłoszone przez Henryka Rietza podczas publicznej obrony. Gdyby M. Wroński sięgnął do protokołów obrad, mógłby się przekonać, że dyskusja taka była toczona w trakcie części niejawnej. Zostały wówczas podniesione wyżej wskazane argumenty o specyfice pracy nad biografistyką kościelną, a także fakt, że zasadniczą częścią dysertacji jest – o czym wyżej wspomniałam – syntetyzujący obraz środowiska kanoników, do oryginalności którego nie było i nie ma żadnych zastrzeżeń. Warto też jeszcze raz z całą mocą podkreślić, że w żadnym przedstawionym przez R. Krajniaka biogramie nie mamy do czynienia ani z ukryciem autorstwa ustaleń T. Borawskiej, ani też ich dosłownym przepisaniem. Większość z nich została także znacząco skorygowana i rozbudowana.

Uznanie zarzutów T. Borawskiej i H. Rietza, którymi bezkrytycznie rezonuje autor artykułu, oznaczałoby ostatecznie także oficjalne przyznanie, że istnieją w polskiej nauce „poletka badawcze” (cyt. za M. Wrońskim) profesora X lub profesor Y, zarezerwowane „przez zasiedzenie” przez badaczy trudniących się nimi od kilku dziesięcioleci, a co najistotniejsze – bez widocznych efektów publikacyjnych; rezerwaty, których samo naruszenie przez młodszego badacza generować będzie podejrzenie o plagiat i etyczne nadużycie. Słuszna walka z plagiatami i nierzetelnością naukową zostaje w ten sposób instrumentalnie wykorzystana do prywatnych ambicjonalnych rozgrywek, że szkoda dla samej idei.

Dr hab. Ewa Wólkiewicz, prof. IAE PAN, Instytut Archeologii i Etnologii PAN
w Warszawie

Teresa Borawska,
Henryk Rietz

Odpowiedź na nieprawdziwe i przeinaczone treści

zawarte w „Oświadczeniu Dziekana Wydziału Nauk Historycznych UMK w Toruniu, prof. dr. hab. Stanisława Roszaka, w związku z artykułem na łamach „Forum Akademickiego” 4/2020, z dnia 27.04.2020 r.”

W związku z tym oświadczamy i stanowczo protestujemy przeciwko zawierającym nieprawdę oświadczeniom Dziekana WNH UMK.

Oświadczenie dr hab. Teresy Borawskiej, em. prof. UMK

Nie jest prawdą, że w rozmowach z Dziekanem i Przewodniczącym Komisji Doktorskiej prof. dr. hab. Waldemarem Rozynkowskim uczestniczył promotor prof. dr hab. Andrzej Radziwiński.

W czasie pierwszego spotkania z udziałem Dziekana i prof. dr. Waldemara Rozynkowskiego, Przewodniczącego Komisji Doktorskiej, przekazałam wyraźnie swoje stanowisko w sprawie dysertacji mgr. R. Krajniaka, która nie spełnia wymogów stawianych pracom doktorskim, gdyż nie jest ani nowatorska, ani oryginalna, ani samodzielna. Na dodatek mgr R. Krajniak zataił moje nazwisko jako autorki 270 biogramów stanowiących podstawę jego rozprawy i tym samym naruszył moje prawa autorskie. W odpowiedzi usłyszałam, że praca zostanie „w czasie wakacji poprawiona i powoła się innego recenzenta”. Przewodniczący Komisji Doktorskiej prof. Waldemar Rozynkowski zasugerował nawet przeprowadzenie obrony z jedną recenzją prof. dr. hab. Krzysztofa Ożoga, ale Dziekan odrzucił to ze względów proceduralnych. Przebieg tej rozmowy wyraźnie dowodził, że moja krytyczna recenzja nie będzie miała żadnego znaczenia w dalszym procedowaniu, toteż jej pisanie jest bezsensowne. W związku z powyższym podjęłam decyzję o rezygnacji z pisania oceny dysertacji. Dziekan to zaakceptował, ale domagał się ode mnie krótkiej, najlepiej jednozdaniowej rezygnacji.

W czasie drugiego spotkania w pokoju Dziekana zgłosiłam fakt wręczenia mi przez prof. A. Radziwińskiego nowej wer-

sji dysertacji R. Krajniaka z pominięciem obowiązujących procedur. Dziekan pouczył mnie wówczas, że zgłaszając ten fakt postąpiłam słusznie i zagroził: w przeciwnym razie musiałby sprawę przedstawić Komisji Dyscyplinarnej i to mnie (= TB) spotkałyby nieprzyjemności.

Nie jest też prawdą, że Dziekan „dwukrotnie zwracał się do mnie z prośbą o przedstawienie recenzji”. Odwrotnie – Dziekan dwukrotnie domagał się poprawienia treści i zredukowania objętości mojej rezygnacji. Pośrednim dowodem na to jest fakt, że rezygnacja z recenzowania została wręczona Dziekanowi 8 czerwca, zaś oficjalne potwierdzenie wpłynięcia jej do Dziekanatu to stempel z datą 23 czerwca 2017 r.

Nie jest prawdą, że miałam obowiązek sformułowania wniosku „o niedopuszczenie pracy do dalszych etapów postępowania”. Po mojej umotywowanej rezygnacji przedstawienie takiego wniosku na Radzie Wydziału należało do obowiązków Dziekana, który powinien powołać Komisję Dziekańską. W przekazanej pisemnie mojej rezygnacji z uzasadnieniem znajdują się wystarczające argumenty zmuszające Dziekana i Radę Wydziału do postawienia takiego właśnie wniosku z urzędu.

Pytanie do Dziekana prof. S. Roszaka, czy wysyłając do recenzentki prof. dr hab. Ewy Wólkiewicz podmienioną pracę poinformował ją o tym fakcie i czy przekazał jej równocześnie moje zastrzeżenia oraz czy powiadomił członków Rady Wydziału o podmienieniu egzemplarza dysertacji?

Czy Pan Dziekan powiadomił o moich zastrzeżeniach i podmienieniu egzemplarza dysertacji prof. K. Ożoga przed publiczną obroną i wyjaśnił, że recenzowany przez niego egzemplarz pracy został wycofany z dalszego postępowania? Jest to niesłychanie ważne, ponieważ recenzja prof. K. Ożoga dotyczy dysertacji prawnie nieistniejącej. Sprawę może wyjaśnić list

prof. K. Ożoga z 10 listopada 2017 roku, wysłany „w związku z zapytaniem telefonicznym Pana Dziekana w sprawie mojej [prof. K. Ożoga] recenzji”. Proszę więc o opublikowanie całego listu prof. K. Ożoga.

Rodzi się też pytanie, dlaczego, wbrew obowiązującym procedurom, Dziekan nie zamieścił dotąd treści recenzji profesorów K. Ożoga i E. Wólkiewicz na stronie internetowej Wydziału, tak jak postąpił w wypadku wszystkich doktoratów z 2017 roku. Te recenzje są na stronie Centralnej Komisji.

Oświadczenie

**dr. Henryka Rietza, b. adiunkta UMK
oraz em. adiunkta UWM w Olsztynie**

Nieprawdziwe jest również stwierdzenie Dziekana o przebiegu publicznej obrony mgr. R. Krajniaka, na którym Pan Dziekan nie był obecny w Sali Wydziału Nauk Historycznych. W protokole pominięto część moich wypowiedzi, inne zostały zmienione, a na zarzuty o mojej niewiedzy bądź „niezrozumieniu” kwestii naukowych czy „bezpodstawności rzucania niesprawdzonych, publicznych oskarżeń”, wygłaszanych w części niejawną obrony, odpowiedzieć wówczas nie mogłem. Dostępne Panu Dziekanowi w dokumentacji (moje pisma do Dziekana z 8.11. 2017 r. i z 10.01. 2018 r. oraz do JM Rektora UMK i członków Senatu z 15.06. 2019 r.) dodatkowe informacje zostały zbyt pochopnie odrzucone.

1. Wbrew twierdzeniu Dziekana, prof. W. Rozynkowski w niegrzecznej formie przerwał moją wypowiedź, co wywołało moją reakcję: „Czy zamierza Pan wyrzucić mnie z sali?”. W odpowiedzi prof. W. Rozynkowski pozwolił mi tylko zadać pytanie. W protokole nie znalazło to odzwierciedlenia.

2. Nie jest też prawdą, że Doktorant udzielił mi merytorycznej odpowiedzi, wręcz przeciwnie stwierdził krótko: „Pan mnie zniesławia”. W protokole odnotowano: „Mgr Radosław Krajniak uznał tę wypowiedź (= HR) za oszczerczą”. Dopisano jednak dalsze słowa, których w sali nie słyszałem. W czasie przerwy, na korytarzu, mgr R. Krajniak wypowiadał pod moim i T. Borawskiej adresem obraźliwe słowa.

3. Poważnym nadużyciem jest wypowiedź Pana Dziekana (na podstawie protokołu), że dr H. Rietz sam określił się jako współautor hasła *Słownika biograficznego kapituły warmińskiej*. W protokole napisano inaczej: „dr Henryk Rietz odwołał się do opublikowanego w 1996 r. *Słownika biograficznego kapituły warmińskiej* i zawartych w nim biogramów autorstwa prof. Teresy Borawskiej, które jak przyznał sam skrócił na potrzeby wydania”. Informuję, że ze względu na ówczesne ograniczenia objętości publikacji (brak funduszy w roku 1995-1996) pełniłem rolę redaktora technicznego, skracającego teksty i przypisy,

a to na prośbę prof. Mariana Borzyszkowskiego. Moją propozycją było również wprowadzenie wspólnych skrótów cytowanej literatury do wszystkich tekstów.

Nieprawdziwe i publiczne stwierdzenia Dziekana, obniżające wartość samodzielnej pracy intelektualnej T. Borawskiej nie są dopuszczalne.

4. W protokole z posiedzenia Komisji Doktorskiej WNH zwraca uwagę przedziwna taktyka rejestrowania wypowiedzi Promotora, Recenzentów i członków Komisji. Głosy te zapisano w taki sposób, aby nie zostało wymienione nazwisko T. Borawskiej, autorki 270 biogramów stanowiących podstawę dysertacji R. Krajniaka. Szczegółową analizę protokołu znajdzie Pan Dziekan w moim piśmie do JM Rektora UMK i członków Senatu z 15.06.2019 r.

Przypominamy ponadto Panu Dziekanowi, że przedmiotem oceny nie jest osoba ani publikacje T. Borawskiej, ale była i pozostaje rozprawa doktorska R. Krajniaka. Domagamy się zatem opublikowania na stronie internetowej Wydziału recenzji profesorów K. Ożoga i E. Wólkiewicz oraz dysertacji R. Krajniaka, także dla jego własnego dobra. Umożliwi to każdemu zainteresowanemu spokojną analizę treści pracy i ocenę warsztatu historyka, a tym samym oddzieli dyskusję naukową od pomówień i ataków na osoby.

Z upowszechnionych bowiem tekstów dr. R. Krajniaka, prof. Radosława Biskupa i prof. Ewy Wólkiewicz odnoszących się do artykułu M. Wrońskiego w „Forum Akademickim” wynika, że z eksperta powołanego do oceny pracy doktorskiej, dr hab. Teresa Borawska, em. prof. UMK, sprowadzona została do roli nieuka, którą dotąd niesłusznie uważano za historyka i nie jest również godna miana nauczyciela akademickiego.

W obronie red. Marka Wrońskiego

Zarzut prof. Ewy Wólkiewicz podkreślającej, że „od kilkunastu lat specjalizuje się w badaniach nad prozopografią średniowiecznego kleru, co pominięto w artykule, sugerując w ten sposób pośrednio [jej] niekompetencję”, jest nietrafny. Wręcz przeciwnie, prof. M. Wroński „rozszerzył” kompetencje prof. E. Wólkiewicz na całą średniowieczną historię Kościoła. Dodajemy jeszcze, że publikacje Pani prof. E. Wólkiewicz są cennie i nam dobrze znane.

Oburzenie Pani Profesor powinno być skierowane do dr. R. Krajniaka, który w swojej dysertacji całkowicie zignorował jej naukowe osiągnięcia i nawet w bibliografii zabrakło prac z nazwiskiem E. Wólkiewicz.

*Dr hab. Teresa Borawska, em. prof. UMK w Toruniu
Dr Henryk Rietz*

Sprostowanie do artykułu Marka Wrońskiego pt. *Toruński doktorat „na źródłach”, opublikowanego w FA 4/2020*

Nie jest prawdą, że podczas jednej z rozmów z dziekanem WNH UMK prof. Teresie Borawskiej „zapropozowano, by złożyła krótką jednozdaniową rezygnację z recenzowania, a praca zostanie »poprawiona« i powoła się innego recenzenta”. Dziekan WNH UMK prof. Stanisław Roszak dwukrotnie zwracał się do prof. Borawskiej z prośbą o przedstawienie recenzji, uznając, że recenzent powołany przez Radę Wydziału ma nie tylko prawo, ale obowiązek wykazać wszystkie uchybienia pracy, wysunąć zarzuty o naruszeniu praw autorskich oraz sformułować wnioski o niedopuszczenie pracy do dalszych etapów postępowania.

Nie jest prawdą, że podczas obrony przewodniczący Komisji Doktorskiej prof. Waldemar Rozynkowski przerwał dr. Henrykowi Rietzowi, nie jest też prawdą, że nikt nie odniósł się do sformułowanych przez dr. [Rietza – red.] zarzutów. Dowodzi tego protokół udostępniony red. Wrońskiemu 9 kwietnia. Do zarzutów odniósł się sam doktorant Radosław Krajniak, a w części niejawną – recenzenci, promotor i członkowie Komisji, uznając jednoznacznie te zarzuty za chybotliwe i stwierdzając, że praca jest osiągnięciem badawczym.

Zespół Prasowy UMK

Żeby móc pamiętać

Wystarczy kilka minut, żeby ze zdrowej, dobrze funkcjonującej osoby zamienić się w pacjenta wymagającego całodobowej opieki i nadzoru. Udar, uraz głowy czy zatrucie tlenkiem węgla to wrogowie ludzkiego mózgu, którzy w krótkim czasie demolują dobrze działające struktury, pozostawiając w nich niebezpieczne wyrwy. Nad sposobami odtworzenia lub usprawnienia obszarów działających nieprawidłowo na skutek degeneracji zastanawiają się zarówno neurologi, genetycy, biolodzy czy neurochirurdzy, jak i rehabilitanci, psychiatry, filozofowie czy neuropsycholodzy. O szczegółach działalności tych ostatnich informuje miesięcznik Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie „Wiadomości Uniwersyteckie” (nr 9/2019).



Neuropsychologia, której zadaniem jest opisywanie relacji mózg-zachowanie, wyjaśnia, „w jaki sposób ośrodkowy układ nerwowy (OUN) reguluje nasze procesy psychiczne i zachowanie, czy i w jaki sposób zmieniają się one w efekcie zmian chorobowych dotyczących OUN lub też, czy zmiany w zachowaniu wskazują na patologię mózgu”. Tyle dowiadujemy się z definicji. W życiowej praktyce słowa te oznaczają najczęściej dramat pacjentów oraz ich rodzin, dla których ogromną traumę stanowi obserwowanie swoich najbliższych, pozbawionych sprawności, czy to ruchowej, czy poznawczej. I o ile jeszcze w przypadku tej pierwszej można mieć nadzieję, że przy pomocy rehabilitacji uda się odzyskać pełną sprawność, o tyle ta druga, pomimo podjęcia długotrwałego wysiłku, nie daje choremu gwarancji zniwelowania deficytów.

Neuropsychologia, z uwagi na swoją specyfikę, daleko wykracza poza płaszczyznę stricte medyczną. Obszary związane z wyjaśnianiem prawidłowości i trudności rozwojowych dzieci, młodzieży i dorosłych, opiniowaniem sądowym oraz diagnozowaniem różnic kulturowych stanowią kolejne elementy jej działalności.

Wyjść poza schemat

W tradycyjnie rozumianym behawiorystycznym modelu oddziaływań nagroda oraz kara stanowią podstawowe kategorie oceny zachowań. Metodę wykorzystującą potencjał pochwały i nagany od lat, z różnym skutkiem, stosują na uczelniach wykładowcy, używając jej



do weryfikacji stopnia zaangażowania i jakości pracy studentów. O potrzebie dokonania zmiany dotychczasowego paradygmatu, gotowości środowiska akademickiego do rozpoczęcia nowego etapu w procesie kształcenia i korzyściach wynikających z wykroczenia poza istniejący schemat, informuje pismo Zachodniopomorskiego Uniwersy-

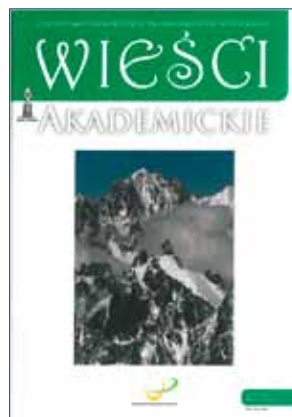
tetu Technologicznego w Szczecinie „Forum Uczelniane” (nr 4/2019).

Rezygnacja z kurczowego trzymania się raz przyjętego wzorca pobudzić ma do prawdziwej aktywności, będących do tej pory często biernymi wykonawcami poleceń, studentów. Staną się oni w ten sposób autonomicznie działającymi podmiotami, zdolnymi do krytycznego myślenia i samodzielnie przetwarzającymi oraz kreującymi poszczególne treści. Użyte w procesie indywidualizacji kompetencje komunikacyjne i społeczne pozwolą im poza tym dobrze przygotować się do pełnienia w przyszłości wielu różnych ról.

Modyfikacja dominującego na uczelniach modelu kształcenia wymagać będzie przede wszystkim zmiany mentalności wykładowców. Jednocześnie samo przekonanie kadry dydaktycznej do nowych rozwiązań nie wystarczy. Nie można bowiem zapominać, że nauczyciel akademicki nie działa sam, ale jest jednym z elementów wspólnie tworzących całość, jaką jest proces kształcenia. Bez zapewnienia komfortowych warunków pracy naukowej, co wiąże się chociażby z koniecznością gruntownego przeorganizowania przestrzeni, w której odbywają się zajęcia oraz z potrzebą zmniejszenia liczebności grup studenckich, ale też bez fachowego i konkretnego wsparcia ze strony osób decyzyjnych trudno wyobrazić sobie, by mające w sobie pozytywny potencjał założenia, mogły szybko stać się rzeczywistością.

Żywność 65+

Społeczeństwa się starzeją. W szybkim tempie przybywa osób, o których do tej pory zwykło się mówić, że są w podeszłym wieku. Dziś ludzie ci stanowią silną grupę społeczną i ekonomiczną, która ma swoje określone wymagania, także w zakresie sposobu odżywiania. Między bajki można już włożyć tezę, że starsi ludzie preferują produkty już znane i nie mają ochoty na żadne eksperymenty.



Wiedzą o tym dobrze specjaliści, którzy z chęci zaspokojenia potrzeby na produkty spożywcze przeznaczone specjalnie dla osób 65+ wymyślili ideę „Laboratoria zaangażowania konsumentów”. Projekt jest częścią międzynarodowego przedsięwzięcia „EIT Food RIS Consumer Engagement Labs”, którego celem jest stymulacja procesów wprowadzania innowacji na rynku

rolno-spożywczym. O szczegółach tego unikatowego rozwiązania informuje czasopismo Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu „Więści Akademickie” (nr 10-12/2020).

Nowatorstwo konceptu polega przede wszystkim na tym, że każdy towar, zanim wejdzie na rynek, przechodzi przez etapy konsultacji, w których uczestniczą seniorzy, przedsiębiorcy i naukowcy. W uczelni ze stolicy Wielkopolski w projekcie uczestniczą pracownicy Wydziału Ekonomiczno-Społecznego współpracujący z absolwentami UPP, którzy są założycielami start-upu biotechnologicznego Cofactor sp. z o.o.

Aneta Zawadzka

Łukasz Świerczewski

Globalna sieć komputerowa przed i po pandemii

Mając opracowaną dobrą koncepcję działania i dane o odpowiedniej rozdzielczości, można znaleźć najmniejszą igłę w największym stogu, co jest jednym z zasadniczych założeń projektu iThena.

W ciągu ostatnich miesięcy we wszystkich praktycznie serwisach informacyjnych i społecznościowych dominującym tematem jest pandemia COVID-19. Świat nie przewidywał pojawienia się tak niespodziewanego, cichego i przebiegłego wroga. Nie byliśmy przygotowani na widoczny obraz rzeczywistości, jaki przedstawia nam się w mediach. COVID-19 w znaczącym stopniu odbił się na wielu obszarach naszej działalności. Nowe zagrożenie wymusiło na szkołach, uczelniach, a także firmach przejście w bardzo dużym stopniu do działań prowadzonych zza biurka w naszych domach.

Nie jestem biologiem ani osobą z wykształceniem medycznym. Wirusy w mojej dotychczasowej pracy inżynierskiej zawsze atakowały komputery, a nie bezpośrednio ludzi. Jednak dynamiczna zmiana globalnej sytuacji i konieczność adaptacji całych społeczeństw do nowych warunków wpływa także na obszary technologiczne. Spędzając całe dnie w domach, surfując po stronach internetowych, robiąc zakupy online i oglądając filmy, częściej niż zwykle dajemy się pochłaniać rzeczywistości wirtualnej. Komunikujemy się, dane przepływają dzięki falom radiowym, impulsom elektrycznym w ośrodku jakiegoś medium transmisyjnego lub coraz częściej dzięki fotonom w rdzeniu światłowodu. Nawet najlepszą sieć komputerową może przygnieść zbyt duża fala ruchu, co momentami możemy zaobserwować.

BOINC a wyzwania współczesnej nauki

W „Forum Akademickim” (7-8/2014) został opublikowany mój artykuł pt. *BOINC – nie tylko obliczenia*. Pod skrótem BOINC (pełne rozwinięcie z angielskiego: Berkeley Open Infrastructure for Network Computing) kryje się znana platforma do obliczeń rozproszonych z wykorzystaniem zasobów komputerowych połączonych siecią internetową. Internauci mogą udostępnić zasoby obliczeniowe naukowcom, którzy realizują swoje prace w ramach różnych projektów BOINC. Projekty te

pod względem tematycznym są bardzo różnorodne – od czystej matematyki (<http://www.primegrid.com>), przez modelowanie problemów cząstek elementarnych (<https://lhcbhome.web.cern.ch>) i poznawanie praw rządzących czarnymi dziurami (<https://universeathome.pl>), do zagadnień typowo biologicznych, medycznych lub bezpośrednio związanych z farmacją (<http://boinc.bakerlab.org/rosetta>). Wraz z zaangażowaniem się sytuacji związanej z COVID-19 zespoły naukowe z całego świata zaczęły wykorzystywać także projekty BOINC do wsparcia obliczeń wykonywanych w celu opracowania szczepionki (https://boinc.bakerlab.org/rosetta/forum_thread.php?id=13702). Jest to niezwykle ciekawy wątek – każdy internauta może dołożyć drobną cegielkę oraz wspomóc walkę ze wspólnym wrogiem.

Jako pasjonat od bardzo wielu lat związany z BOINC i innymi metodami przetwarzania danych we wrześniu 2019 roku uruchomiłem własny projekt rozproszony. Projekt ten w momencie pisania artykułu nie realizuje jeszcze zadań typowo obliczeniowych – tak jak większość systemów BOINC. Głównym zadaniem zaprojektowanym na platformie w początkowej fazie było mapowanie oraz monitorowanie struktur sieciowych we współczesnym internecie.

Wychodząc od źródła, dane przesyłane w internecie pokonują punkt po punkcie kolejne urządzenia sieciowe, aż trafią do zdefiniowanego celu. Jeżeli wchodzimy z naszego komputera na stronę internetową pod adresem forumakademickie.pl (nasz cel), to dane w zależności od aktualnej sytuacji mogą przepływać przez router domowy, następnie wpadają na pierwsze urządzenie – już po stronie naszego operatora telekomunikacyjnego – skąd skaczą dalej, aż osiągną swój cel. Droga powrotna z odpowiedzią wcale nie musi przebiegać przez te same punkty. Struktura sieci i przepływu danych we współczesnym internecie może być bardzo skomplikowana, a my – jako obserwatorzy – często nie wszystkiego jesteśmy

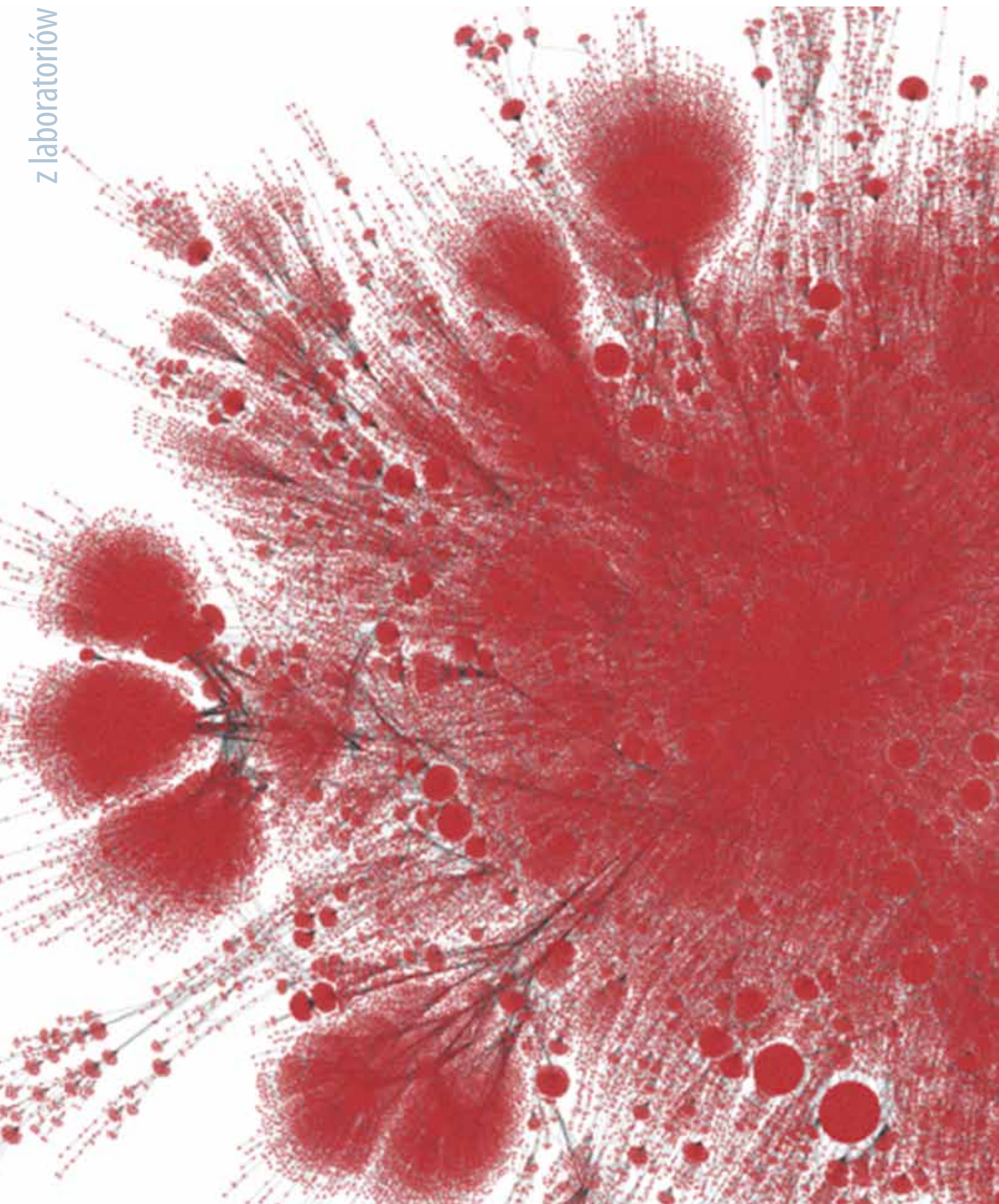


Fig. 1. Wycinek wizualizacji grafowej (punkty sieciowe połączone krawędziami reprezentującymi możliwy przepływ danych punkt – punkt

PoP (ang. Point of Presence) jest brzegowym punktem udostępniania usług we współczesnej sieci telekomunikacyjnej. Składa się z wielu urządzeń, takich jak serwery, routery, przełączniki sieciowe, multipleksery oraz inne urządzenia sieciowe i to w nim znajduje się inteligencja / logika do prowadzenia usług. Tego typu punkty bardzo często zlokalizowane są w punktach wymiany danych i centrach kolokacji.

AS – system autonomiczny (ang. Autonomous System) zbiór adresów sieci IP występujących pod wspólną kontrolą administracyjną, w którym w spójny sposób jest utrzymywany schemat trasowania (wyznaczania trasy i przesyłania nia pakietów). Przykładowo pod oznaczeniem AS12324 znajduje się system autonomiczny LUBMAN-EDU-AS Poland, Lublin. AS może zawierać w sobie wiele punktów PoP.

świadomi. Część urządzeń w sieci będzie dla nas widoczna, część natomiast może być dla nas „przeźroczysta”. Z założenia jednak na każdym punkcie transmisji (teoretycznie zresztą także na każdym odcinku – nawet np. światłowodu) występuje pewne opóźnienie, które odczuwamy podczas korzystania z sieci.

Niezawodność szybkiej komunikacji w warunkach nadzwyczajnych

Koncepcja sieci komputerowych była początkowo tworzona z myślą o zastosowaniach militarnych. Pierwsza sieć rozległa – ARPANET (ang. Advanced Research Projects Agency Network), która jest bezpośrednim poprzednikiem internetu, powstała jako inicjatywa Departamentu Obrony USA. Koncepcja technologiczna zakładała możliwość decentralizacji dowodzenia w przypadku wojny nuklearnej. Przesyłane informacje powinny docierać za pośrednictwem sieci komputerowej, bez względu nawet na stosunkowo duże straty i uszkodzenia w infrastrukturze kraju. Jeżeli jedna możliwa ścieżka trasy pakietów jest nieosiągalna lub przeciążona, algorytmy sieciowe automatycznie przeniosą ruch na inną – teoretycznie lepszą w nowych warunkach – ścieżkę.

Współcześnie rozwiązania, które zostały pierwotnie zaprojektowane w okresie zimnej wojny, bronią już nie tylko wysokiego szczebla bezpieczeństwa narodowego, lecz umożliwiają nam także redukcję zagrożenia w czasie pandemii.

Internet przed, w trakcie oraz po COVID-19

Projekt iThena (<https://root.ithena.net/usr/>), który uruchomiłem we wrześniu 2019 roku, w miarę swoich możliwości mapuje internet za pomocą wielu rozproszonych stacji kliencich. W dniu pisania artykułu (tj. 13 kwietnia 2020 r.) w systemie iThena zarejestrowanych było ponad 5600 komputerów. Do projektu może dołączyć każdy, a uzyskane dane z założenia mają być otwarte. Fig. 1. przedstawia drobny wycinek wizualizacji grafowej struktury sieci internetowej wygenerowanej przez iThena.

Budując system iThena kompletnie nie spodziewałem się wystąpienia takich zmian na arenie międzynarodowej. Nadzwyczajne warunki i duży dynamizm sprawiają, że system – z rozproszonych po całym świecie stacji – może otrzymywać znacznie ciekawsze informacje niż w przypadku ogólnej stagnacji. Z analitycznego punktu widzenia dane te mogą być wykorzystane do poszukiwania odpowiedzi na wiele pytań. Najprostszymi z nich mogą być: Co zrobić, aby sieć była bardziej odporna na problemy związane z aktualnymi wyzwaniami i gdzie są najsłabsze ogniwa? oraz: Czy wystąpiły w tym okresie jakieś szczególne anomalie?

Oczywiście nie jest to pierwszy tego typu projekt. Jedną z większych takich inicjatyw w ciągu ostatnich lat było rozwiązanie DIMES projektowane przez naukowców z Uniwersytetu w Tel Awiwie. W podstawowym zakresie iThena ma takie same możliwości i cele jak DIMES. Projekt może wygenerować „migawkę” grafu połączeń sieciowych (na poziomie szczegółowości od routerów, przez bardziej uogólnione punkty PoP, aż do AS – patrz ramka) z uwzględnieniem występowania w czasie tej „migawki” opóźnień i ewentualnych błędów na poszczególnych relacjach połączeń. Dysponując „migawką” struktury z danego odcinka czasowego możemy skonfrontować aktualne trasowanie w odniesieniu do trasy teoretycznie najlepszej, uzyskanej za pomocą metod matematycznych (np. poszukiwanie najkrótszej ścieżki w grafie z wagami) lub trasy mogącej wydawać się za dobrą, którą otrzymaliśmy w wyniku obliczeń ewolucyjnych (np. algorytmy probabilistyczne, a w tym także algorytmy mrówkowe). Taka analiza na tym swego rodzaju „organizmie żywym”, jakim jest internet, nie jest prosta. Często nie mamy pełnej i pewnej wiedzy o obecnej strukturze sieciowej. W dynamicznej sytuacji problematycznej może być nawet wyznaczenie geolokalizacji punktów tranzytu danych z dostatecznie dużą precyzją.

Innym ciekawym obszarem są nieprawidłowości w routingu. W rzeczywistym świecie błędy w trasowaniu mogą być błędami ludzkimi, które popełnili przypadkowo technicy lub przeciwie – działaniem celowym. Jeżeli np. jesteśmy w Polsce i wchodzimy na stronę forumakademickie.pl (serwer www także zlokalizowany w Polsce), a trasa przepływu naszych danych nie biegnie w sposób dość racjonalny, lecz przebiega przez różne azjatyckie punkty (tylko przykład), to często można uważać to za pewną anomalię. Mając spójny obraz naszej cyberprzestrzeni – dzięki danym z projektu – możemy takie anomalie próbować wykryć. Poszukiwania mogą często przypominać szukanie igły w stogu siana. Mając opracowaną dobrą koncepcję działania i dane o odpowiedniej rozdzielczości, można jednak znaleźć najmniejszą igłę w największym stogu, co jest jednym z zasadniczych założeń projektu iThena.

Czas pandemii COVID-19 jest dla nas wszystkich bardzo trudny, jednak – mimo wszelkich problemów – z punktu widzenia naukowego i technicznego jest to okres, w którym możemy bardzo dużo się nauczyć i wiele sprawdzić eksperymentalnie w zmienionym środowisku.

Słowem podsumowania

Z całą pewnością stoi przed nami wiele wyzwań. Nie wiadomo do końca, na ile obecnie kształtująca się sytuacja wpłynie na przyszłość – na nas wszystkich i naszą cywilizację, w której internet odgrywa istotną rolę. W takich momentach jednak szczególnie powinniśmy współpracować i udzielać sobie wsparcia. Mimo że artykuł ten został napisany przez inżyniera, a co za tym idzie ma mocne tło technologiczne, to słowa te można odnieść także do innych obszarów życia społeczno-gospodarczego.

Ze swojej strony, jako architekt i administrator rozwiązań systemowych działających w domenie rozproszonej BOINC, chciałbym podziękować wszystkim użytkownikom za poświęcony czas i nieocenioną pomoc.

*Mgr inż. Łukasz Świerczewski jest absolwentem studiów magisterskich (kierunek informatyka) na Wydziale Matematyki, Fizyki i Informatyki UMCS w Lublinie. Doktorant w Instytucie Badań Systemowych Polskiej Akademii Nauk. Głównie zainteresowania mieszczą się w obszarze obliczeń rozproszonych oraz ich akceleracji, a także automatyzacji procesów w zaawansowanych środowiskach komputerowych i metod masowego zbierania danych i późniejszego ich przetwarzania.
Adres e-mail: lswierczewski@cybercomplex.net*

Nocne, zimowe niebo nad Krakowem przy pełnym zachmurzeniu. Widoczne są w dole lampy uliczne, których w nocy nie powinno być od góry widać, oraz będąca ich efektem tona świetlna w postaci jasno świecących chmur.

Joanna Kosmalka

Zgaśmy sztuczny księżyc!

Do tej pory sądziliśmy, że istotnymi czynnikami mającymi wpływ na zakwit glonów są temperatura i nasłonecznienie w ciągu dnia, teraz wiemy, że światło padające na zbiornik w nocy jest istotnym czynnikiem, który ma wpływ na ten proces – mówi dr Ścieżor.

Z definicji każdy czynnik, który w sposób szkodliwy działa na środowisko naturalne, jest zanieczyszczeniem. Świadomość, że są nim zalegający lądy i wody na Ziemi plastik, pyły z dymiących kominów czy hałas jest już dość powszechna. A światło? Sztuczne światło z naszych latarni, reklam? Ono także jest szkodliwym zanieczyszczeniem. Czy to oznacza, że najlepsze jest globalne zaciemnienie?

Nikt tak radykalnie sprawy nie stawia, ale naukowcy zajmujący się badaniem wpływu sztucznego oświetlenia, zwłaszcza w nocy, na organizmy żyjące na Ziemi uważają, że niewłaściwe oświetlenie przynosi więcej szkody niż pożytku. Po co nam w nocy oświetlenie? To pytanie właściwie retoryczne, ale kiedy się spojrzy na rodzaj latarni w naszych miastach, na osiedlach, zdaje się już być zasadne.

Pod latarnią najciemniej

– Niewłaściwe oświetlenie widać zwłaszcza tam, gdzie dominują lampy z kulistymi kloszami – mówi dr hab. Tomasz Ścieżor z Katedry Wodociągów, Kanalizacji i Monitoringu Środowiska Wydziału Inżynierii Środowiska i Energetyki Politechniki Krakowskiej. – Latarnia powinna oświetlać podłoże, chodnik czy jezdnię, tymczasem tego typu oświetlenie nie tylko oślepia przechodniów, ale 80% emitowanego światła idzie w niebo, a nie na podłoże. W gruncie rzeczy pod nią jest najciemniej.

Jest gorzej, światło idące w górę daje lunę świetlną. W efekcie, jak mówi dr Ścieżor, mamy trzy negatywne zjawiska. Oślepianie, zbędne oświetlenie i lunę świetlną. Ona, jego zdaniem, jest bardzo podstępny zanieczyszczeniem.

– Światło idące w górę rozprasza się na pyłach w powietrzu, zwłaszcza w zimie, w sezonie grzewczym odbija się również od chmur i oświetla ziemię w dużym promieniu, nawet tam, w okolicach miast czy osiedli, gdzie światła sztucznego nie ma. Daje to efekt wiecznego świtu – wiecznego zmierzchu. Robiliśmy pomiary i tego typu oświetlenie działa tak, jak byśmy mieli 30% więcej nocy księżycowych, podczas gdy w Polsce, z uwagi na często pochmurną pogodę, w naturze nie ma tak

często jasnych nocy. Takie zjawisko jest bardzo niekorzystne zarówno dla ludzi, jak i zwierząt – mówi dr Ścieżor.

Nie mniej ważna od właściwie skierowanego oświetlenia miejskiego jest jego barwa. Oświetlenie typu LED, bardzo teraz promowane z powodów ekonomicznych w związku z dużą wydajnością energetyczną, występuje w dwu barwach: żółtej i białoniebieskiej. Niestety ta druga wersja jest tańsza, a więc bardziej powszechna, tymczasem dla nas zdecydowanie niewłaściwa. Ciepłe barwy, najbardziej zbliżone do widma oświetlenia naturalnego, są dla nas zdecydowanie bardziej korzystne.

– Powinniśmy tak widzieć świat w nocy w oświetleniu sztucznym, jak byśmy go widzieli przy świetle naturalnym – mówi badacz. – Różnice widać wyraźnie w sklepach, kiedy oświetlenie białoniebieskim światłem LED zmienia w sposób istotny nasze widzenie kolorów.

Istotnym źródłem zanieczyszczenia światłem są ledowe billboardy świecące w nocy w miastach.

– Mierzyłem ich jasność i, choć to wydaje się nieprawdopodobne, w ciągu jednej czwartej sekundy jasność takiej tablicy wzrosła do poziomu zachodzącego słońca – mówi dr Ścieżor. – Oślepiają więc kierowców i w znacznym stopniu przyczyniają się do powstawania luny świetlnej.

Noc ma być ciemna

Sztuczne oświetlenie w nocy zaburza cykl dobowy Kowalskiego, ptaków, leśnych zwierząt, a nawet rozwielitek. Zaczniemy od ludzi. Zarówno nadmiar światła docierający do nas w nocy, jak i jego białoniebieska barwa zaburzają sen. Czynnikiem za niego odpowiedzialnym jest melatonina, hormon wydzielany przez szyszynkę. Kiedy kładziemy się spać, zamykamy oczy. Pomimo tego przez powieki dociera do nas światło, które oszukuje nasz organizm. Nie jest dostatecznie ciemno, by w wystarczającej ilości zaczął się wydelać hormon snu. Efektem jest nie tylko zwykłe niewyspanie, ale nawarstwiający się stan przemęczenia, którego skutkami są nerwice oraz inne choroby z nowotworowymi włącznie. Na dodatek na wytwarzanie melatoniny

przez naszą szyszyngę znacznie bardziej niż światło o innych barwach wpływa hamująco światło biało-niebieskie.

Wróćmy więc do kwestii łuny świetlnej, która oświetla teren tam, gdzie, pomijając noce księżycowe, powinno być ciemno. Lasy w okolicach miast także są nią oświetlone. To zaburza istniejące w przyrodzie relacje łowca-ofiara, ponieważ łuna świetlna nie daje, jak naturalne światło Księżyca, cienia, ofiara nie ma zatem gdzie się schować. Dotyczy to nie tylko mieszkańców lasów czy parków.

– W Stanach Zjednoczonych robiono badania na temat relacji: oświetlenie ulic a przestępczość – mówi w formie pewnej dygresji dr Ścieżor. – Okazało się, że im jaśniejsze oświetlenie, tym większa przestępczość. Np. na jasno oświetlonej stacji benzynowej ofiara jest bardzo dobrze widoczna dla czającego się w cieniu przestępcy. Opracowano nawet pewne wytyczne dla ludzi, aby wracając w nocy do domów starali się unikać miejsc jasno oświetlonych, by byli mniej widoczni.

Jak widać i w naszym „industrialnym ekosystemie” nadmiar światła może sprzyjać drapieżnikom. Wróćmy jednak do nocy, która nie jest tak ciemna, jak być powinna. Okazuje się, że niektóre gatunki nauczyły się to wykorzystywać.

– W kilku krajach Europy zaobserwowano, że sokoły, normalnie polujące w dzień, z uwagi na sztuczne nocne światło zaczęły się zachowywać jak sowy i polują w nocy na śpiące gołębie – mówi dr Ścieżor.

By zmniejszyć efekt łuny świetlnej, a noc uczynić ciemniejszą, należy stosować na ulicach naszych miast inny typ oświetlenia. Przede wszystkim lampy muszą być skierowane w dół. Oczywiście od podłoża światło także się odbija, ale gdybyśmy stosowali nie światło ledowe, lecz właściwie osłonięte i skierowane tradycyjne lampy sodowe, efekt ten byłby znacznie mniejszy.

– Takie badania robiono w kilku miastach hiszpańskich i na zdjęciach satelitarnych badano efekty wymiany lamp. Przy lampach sodowych lub droższych, ledowych, świecących żółtym, bardziej zbliżonym do naturalnego światła, efekt łuny świetlnej jest mniejszy – wyjaśnia badacz.

Niedożywione rozwiłtiki

Zbiornik wody pitnej dla Krakowa, położony w Dobczycach, jest od kilku lat badany systematycznie przez naukowców z Katedry Wodociągów, Kanalizacji i Monitoringu Środowiska Politechniki Krakowskiej.

– Zbiornik leży praktycznie w mieście Dobczyce, a miasto świeci. Okazało się, że istotna jest zależność pomiędzy zawartością glonów w wodzie a oświetleniem. Łuna świetlna działa na zbiornik. W okresie jesienno-zimowo-wiosennym jest ona jaśniejsza z dwóch powodów. Po pierwsze, chmury są jaśniejsze i niższe, a po drugie w powietrzu więcej jest cząsteczek aerozoli – efektów spalania, czyli zimowego ogrzewania. Obserwujemy więc zjawisko sprzeczne z naturą, gdyż w tym okresie noc staje się jaśniejsza niż w lecie. Ma to istotny wpływ na organizmy żyjące w wodzie. Przede wszystkim chodzi o glony, które kwitnąc, zanieczyszczają wodę. Do tej pory sądziliśmy, że istotnymi czynnikami mającymi wpływ na zakwit glonów są temperatura i nasłonecznienie w ciągu dnia, teraz wiemy, że światło padające na zbiornik w nocy jest istotnym czynnikiem, który ma wpływ na ten proces – mówi dr Ścieżor.

Głony to organizmy samożywne, żyjące na powierzchni lub przy powierzchni wody.

Są głównym pokarmem dla zooplanktonu, w tym rozwielitek, a one także mają swój cykl dobowy związany z tym, że „nie lubią światła”.

– W dzień spoczywają na dnie, a w nocy podpływają pod powierzchnię wody i żywią się glonami. Stopień ich podpływania do powierzchni wody zależy od tego, jak jasno jest na zewnątrz. Przy pełni księżyca będą się trzymać do trzech metrów poniżej lustra wody. Jeśli pojawia się „sztuczny księżyc” w postaci łuny świetlnej, czyli światła odbitego od chmur, rozwielitki nigdy nie podpływają do powierzchni, a w efekcie zbiornik zarasta glonami. Badaliśmy to przez kilka lat. Są pewne fluktuacje pomiędzy miesiącami, raz jaśniejszy jest marzec, raz kwiecień, ale zawsze zachodzi ta sama tendencja pomiędzy jasnością nieba a ilością glonów. Zatem nasze sztuczne światło utrudnia naturalny proces samooczyszczania się zbiornika – wyjaśnia badacz.

W efekcie, rozwielitki są „niedożywione”, a władze miasta muszą wydać więcej pieniędzy na oczyszczanie wody przy ujęciu, co zresztą udaje się rewelacyjnie – Kraków ma w kranach wodę o najwyższej światowej jakości.

„Światelko” w tunelu, czyli astroturystyka

Zapewne niewiele osób pamięta, że jeszcze trzydzieści, dwadzieścia lat temu ekolodzy mówiący o zanieczyszczeniach planety traktowani byli jak rodzaj mniej lub bardziej szkodliwych oszołomów. Trudno było do ich racji przekonać nie tylko nas, społeczeństwo, ale przede wszystkim decydentów. Podobnie obecnie rzecz się ma ze szkodliwością sztucznego, niewłaściwego oświetlenia. Pewnym rozwiązaniem, które miejmy nadzieję z czasem się rozpowszechni, stanowiąc wyłom w naszym postrzeganiu oświetlenia, może być astroturystyka.

– To młoda forma aktywności, w Europie zaczęli ją Węgrzy – mówi dr Ścieżor. – Są takie miejsca, tzw. parki ciemnego nieba (lub gwiazdnego nieba), gdzie w nocy światła są znacznie przegazane, a w niektórych rejonach ich nie ma. Po co? Ludzie tam przyjeżdżają, by w nocy obserwować przyrodę i rozgwieżdżone niebo. U nas podobne działania rozpoczęto np. w Bieszczadach. Podpisano nawet trójstronne porozumienie gmin słowackich, polskich i ukraińskich dotyczące ochrony nocnego krajobrazu. Łączna powierzchnia chronionego przed sztucznym oświetleniem obszaru wynosi ponad 208 tysięcy hektarów, co czyni go drugim największym tego typu obszarem chronionym w Europie oraz siódmym na świecie. Ma to podwójną zaletę, nie tylko zmniejsza zanieczyszczenie światłem, ale także stanowi dodatkową, ciekawą formę przyciągania turystów w tych regionach.

Stok narciarski w Beskidzie Makowskim, ok. 20 km od Krakowa. Oprócz oświetlenia samego stoku, ingerującego w środowisko naturalne otaczających gór, widoczne są też w oddali łuny świetlne Krakowa i Skawiny, tworzące efekt „wiecznego świtu”.



Uniwersytet Stefana Batorego w Warszawie i Poznaniu

czyli tam i z powrotem. Cz. II

Efektom tych sporów było to, że Litwini nałożyli litewskie pieczęcie obok pieczęci bolszewickich i zaciągnęli swoje warty obok wart rosyjskich. Tak więc Uniwersytet był właściwie podwójnie strzeżony.

Nie ulega wątpliwości, że rząd wybrał rozwiązanie prostsze i lepsze, przedłużając o rok mianowanie wszystkim władzom Uniwersytetu. W międzyczasie dojść musiało do ustaleń rządowych polsko-litewskich, w których podejmowano również kwestię otwarcia Uniwersytetu w Wilnie. Dlatego też 9 września rektor w piśmie do Eustachego Sapiehy, ministra spraw zagranicznych, napisał: „Opierając się na rozmowie z JW. Panem Wiceministrem Janem Dąbskim, Rektorat Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie podaje niniejszym do wiadomości MSZ nazwiska członków tegoż uniwersytetu, którzy mogliby brać udział w naradach oraz pertraktacjach odnoszących się do spraw, z którymi jest związane istnienie Uniwersytetu Wileńskiego:

Prof. dr Michał Siedlecki – Rektor

X. prof. dr Bronisław Żongołłowicz – Dziekan Wydziału Teologicznego – znawca stosunków kościelnych oraz statystyki ludności na Litwie – mówiący doskonale po litewsku, rosyjsku i francusku

Prof. dr Ludwik Janowski – znawca historii Litwy i Rusi – znawca historii Uniwersytetu Wileńskiego – mówiący po rosyjsku i francusku

Szef Sekcji I Min. WRiOP, Prof. dr Adam Wrzosek – znawca historii Uniwersytetu Wileńskiego.

Wreszcie Rektorat podaje do wiadomości MSZ, że prof. Uniwersytetu Wileńskiego x. dr Bolesław Wilanowski przestawał dawniej w zażyłych stosunkach osobistych z litewskim ministrem spraw zagranicznych X. Puryckim, i gotów jest oddać się do dyspozycji MSZ”.

Wykłady po rosyjsku?

Czy jakiegokolwiek rozmowy polsko-litewskie na temat uniwersytetu miały miejsce – nie wiemy. Nie wspominają o tym ani ks. Żongołłowicz, ani rektor Siedlecki. Najpewniej władze USB były informowane o toczących się bojach na froncie bolszewickim i froncie zbliżającym się do Wilna, a wszelkie rozmowy z władzami MSZ czy Ministerstwa WRiOP zakładały natychmiastowy, po wyzwoleniu, powrót na uniwersytet. W dniu 18 września 1920 roku rozpoczęły się formalne rokowania polsko-litewskie w Kalwarii (suwalskiej), ale prędko zostały zerwane. Wrócono do nich 30 września w Suwałkach. Doprowadziły do zawarcia tymczasowego porozumienia, które ustaliło linię demarkacyjną na granicy pruskiej wzdłuż trajektorii Niemen – Orany – Ejszyszki – Bastuny. Ustanowiona Rada Miejska w Wilnie składała się z dwóch Litwinów, dwóch Żydów i dwóch Polaków. Inspektorem szkół polskich został członek tymczasowego Senatu Uniwersytetu w Wilnie w 1919 roku, a niebawem profesor wileńskiej uczelni, Stanisław Kościółkowski.

Kolejni uciekinierzy z Wilna przywozili informacje sprzeczne ze sobą. Niezawodny Ruszczyc notował: „Od 28 sierpnia Litwini w Wilnie. Pustki. Brak inteligencji. Uniwersytet nie zrabowany”. 6 września gazeta „Naród” napisała: „Od osoby przybyłej drogą okrężną z Wilna dowiadujemy się, że Litwini zajmując Wilno znaleźli się wobec ogromnych trudności w uruchomieniu urzędów i uniwersytetu. Co do uniwersytetu, rząd kowieński zdecydował, że wykłady mają się odbywać po rosyjsku (!), lecz kiedy zwrócono się do pozostałych w Wilnie profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego, wszyscy odmówili. Wobec tego Litwini z konieczności zgodzili się na wykłady polskie”.

Sprzeczne ze sobą komunikaty wojenne i informacje prasowe, ale przede wszystkim niejasne decyzje władz państwowych w Warszawie, powodowały, że rektor Siedlecki radził się pracowników USB przebywających w Warszawie i Wilnie w sprawie decyzji o powrocie do uniwersytetu. Wysłał telegramy m.in. do prof. Staniewicza, który z relacji odwiedzającej Wilno żony wiedział, że: „Uniwersytet podobno nie ucierpiał. Pani Staniewiczowa widziała się z woźnymi, bolszewicy wywieźli podobno łóżka amerykańskie. Ocalało też prawdopodobnie mieszkanie Brensztejna. Natomiast dużo prywatnych ucierpiało”.

7 października w Warszawie, o godz. 2.00, w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w gabinecie prof. Adama Wrzosa, szefa sekcji I, odbyło się zebranie profesorów USB, które zastąpić musiało posiedzenie Senatu. Przewodniczył rektor Siedlecki. Obecni byli: Kazimierz Sławiński, Piotr Wiśniewski, Edward Bekier, ks. Bolesław Wilanowski, Wacław Komarnicki, Wacław Dziwulski, Alfons Parczewski, Wiktor Staniewicz, Józef Patkowski, Benedykt Kubicki, Ferdynand Ruszczyk i Emil Godlewski. Zaproszono także młodszych pracowników USB: Stanisława Ptaszyckiego, Jana Wilczyńskiego i Witolda Sławińskiego. Jedynym tematem spotkania była sprawa powrotu uniwersytetu do Wilna. Rektor zdał sprawozdanie z rozmów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mówiąc, że zdaniem MSZ „jest pożądanym powrót do Wilna, choćby drogą przez kraj zajęty przez Litwinów”. Zapadła jednomyślna decyzja, że trzeba przygotowywać wyjazd do Wilna, a jako pierwsi mają pojechać: rektor, Ruszczyk, K. Sławiński, W. Sławiński, ks. Wilanowski i Latwis.

Czy nadeszła już chwila decydująca

Tego samego dnia, po zebraniu, Siedlecki po raz kolejny zwrócił się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie zabiegów o powrót do Wilna rektora i członków USB: „Z powodu wiadomości o postępach naszych wojsk w kierunku Wilna, wysłałem do Ministra WRiOP telegram z zapytaniem, czy nadeszła już chwila decydująca o naszym powrocie do Wilna. [...] Wskutek tych depeš przyjechałem dnia 4 października do Warszawy i po dłuższych staraniach uzyskałem najpierw posłuchanie u p. Ministra Spraw Zagranicznych. Na posłuchaniu tym p. Minister powiedział, iż wezwał mnie, ażeby mi oświadczyć, że jest jego życzeniem, i że uważa za wskazane, aby w jak najkrótszym czasie członkowie Uniwersytetu powrócili do Wilna. Zapytałem się wówczas jaką drogą mamy się tam dostać, na co otrzymałem odpowiedź, że o tej drodze poinformuje mnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Na moje pytanie, czy byłoby wskazane, ażeby Rektor Uniwersytetu, mający urzędowy charakter jako przedstawiciel instytucji państwowej polskiej także już obecnie udał się do Wilna, odpowiedział p. Minister, że sądzi, iż to byłoby właściwie wskazane. Kiedy zwróciłem uwagę, że Litwini są bardzo czuli na sprawy Uniwersytetu Wileńskiego i mogą mi odmówić pozwolenia na przyjazd do Wilna, p. Minister oświadczył, że to nic nie szkodzi, ponieważ gdyby odmówili pozwolenia, byłoby to dowodem ich nieżyczliwości dla Polski. Prócz tego p. Minister dał mi poufne wyjaśnienia o sytuacji w Wilnie i o powodach, które nakazują powrót do Wilna znacznej części inteligencji”.

Marsz „zbuntowanych” oddziałów gen. Lucjana Żeligowskiego na Wilno rozpoczął się rano 8 października 1920 r. Pomimo niewielkiej odległości dzielącej wojsko od miasta i zdecydowanej przewagi nie udało się Żeligowskiemu wkroczyć do Wilna tego samego dnia. Uczynił to dnia następnego, 9 października, pozwalając, by władze litewskie i ludność mogły się bezpiecznie ewakuować z miasta. Wkraczające oddziały polskie spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem miejscowej ludności polskiej. Żelazna dyscyplina i akcja miejscowego Komitetu Polskiego zapobiegła ekscesom antylitewskim i antyżydowskim. 10 października 1920 roku odbył się w Wilnie wielotysięczny wiec manifestujący powrót do Polski, jakkolwiek jednym z pierwszych postanowień gen. Żeligowskiego było ustanowienie Litwy Środkowej.

11 października, w rocznicę otwarcia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, zebrali się w warszawskim mieszkaniu Kazimierza Sławińskiego wileńscy uczeni: Ruszczyk, Jerzy Smoleński, Staniewicz, ks. Wilanowski, W. Sławiński, Józef Patkowski, Edward Bekier i Witold Kraszewski. Ustalili kolejność działań i terminy swojego powrotu. Następnego dnia w mieszkaniu Ruszczyków obchodzono rocznicę otwarcia Wydziału Sztuk Pięknych. Obecni byli: Zygmunt Kamiński, Juliusz Kłos, J. Bułhak, Benedykt Kubicki, Tadeusz Jan Dmochowski, Bonawentura Lenart i Wincenty Drabik.

Znaleźli go prawie nienaruszonym

Trzy dni później wyruszył z Warszawy pierwszy pociąg ewakuacyjny, w którym znalazła się cywilna administracja miasta, radni oraz pierwsza partia pracowników Uniwersytetu: asystent zakładu botaniki Witold Sławiński, dr T. Dmochowski i intendent Latwis. 15 października wojskowym pociągiem wyjechali z Warszawy do Wilna: rektor, F. Ruszczyk z żoną i J. Bułhak. W czasie podróży Bułhak fotografował, a Ruszczyk rysował – ani zdjęcia, ani rysunki z tej podróży się nie zachowały. Ruszczyk zapisał w dzienniku, że 20 października o godz. 16.00 dotarli do Wilna. Nawet ta data nie jest pewna, jako że rektor Siedlecki w swoich wspomnieniach zanotował datę 16 października”.

Z niepokojem weszli na teren Uniwersytetu, ale znaleźli go prawie nienaruszonym, a szkody w inwentarzu i budynkach



Gmach Uniwersytetu Warszawskiego

okazały się minimalne. Zbiory zoologiczne i Biblioteka Uniwersytecka pozostały nietknięte. Tu i ówdzie tylko w seminarach poniszczono trochę książek, lecz na ogół bardzo niewiele. Zniszczeniu uległ także Ogród Botaniczny. Przez kolejne dni przeglądali wszystkie pomieszczenia uniwersyteckie, zbierając i zabezpieczając rozrzucone przedmioty. W sprawozdaniu napisano, że najpewniej władze litewskie myślały o założeniu własnej uczelni, a zorganizowany i uposażony na wielką skalę uniwersytet przedstawił się jako instytucja poważna, którą należało wykorzystać bez grabienia. Wielką pomoc w zachowaniu całości majątku wykazała także służba uniwersytecka, broniąc dobytku publicznego. Nie bez znaczenia był również autorytet L. Abramowicza, który bronił gmachów w rozmowach z bolszewikami i Litwinami. Oddając zasługi Abramowiczowi, wydania te opisał rektor Siedlecki: „Prawie natychmiast po zajęciu Wilna przez bolszewików, a mianowicie dn. 15 lipca 1920 r., zjawił się w Uniwersytecie t.zw. komisarz oświatowy bolszewicki, którym był nauczyciel żydowskiej szkoły powszechnej i zażądał od służby wydania kluczy od Uniwersytetu celem jego objęcia. Służba powiedziała, że nie ma tych kluczy, a że Uniwersytetem opiekuje się p. Ludwik Abramowicz. Komisarz zgłosił się do niego, zaś p. Abramowicz oświadczył mu, że trudno mu wydawać klucze i oddawać Uniwersytet w jego ręce bez rozkazu jakichś naczelnych władz. Po dłuższej rozmowie komisarz, który jako miejscowy dobrze wiedział, jaką wartość ma Uniwersytet dla miejscowej ludności, zadecydował, że najlepiej będzie, jeżeli się Uniwersytet opieczętuje i postawi przy nim warty wojskowe, a służbę uczyni się odpowiedzialną, tak jak zwykle, za całość gmachu. Taki stan trwał przez kilka dni; warty bolszewickie zaciągnięto około różnych drzwi, a na drzwiach położono ogromne urzędowe pieczęcie bolszewickie. W ślad za bolszewikami i przez nich wprowadzeni przyszli Litwini, którzy od razu wystąpili z pretensjami o Uniwersytet. Powstał spór między bolszewikami i Litwinami o to, kto Uniwersytet obejmie. Zwracano się kilkakrotnie do p. Abramowicza o oficjalne oddanie, jednak on słusznie wysuwał kwestię najpierw uzgodnienia, komu właściwie mógłby te gmachy oddać. Efektem tych sporów było to, że Litwini nałożyli litewskie pieczęcie obok pieczęci bolszewickich i zaciągnęli swoje warty obok wart rosyjskich. Tak więc Uniwersytet był właściwie podwójnie strzeżony. Przyszedł jednak

pewien moment krytyczny. Bolszewicy mieli w swej administracji wojskowej także wydział zaopatrywania wojska, który tem się odznaczał, że zazwyczaj rabował wszystko, co mogłoby im się przydać. Ten wydział miał przeprowadzić «rewizję» gmachów uniwersyteckich, ale jednak przedtem, zdaje się dla zachowania pozorów pewnej formy, zwrócono się do p. Ludwika Abramowicza, zawiadamiając go o tym zamiarze. Jakich on użył argumentów, aby odwlec tę przykrą operację, tego dokładnie nie wiem, ale tego jestem pewien, że z narażeniem własnego bezpieczeństwa starał się wytłumaczyć bezcelowość takiej rewizji i, jak sądzę, musiał nawet pewnym dygnitarzom bolszewickim dać argumenty brzęczące z własnych funduszków byle tylko do ostatniej chwili ratować Wszechnicę”.

Rozpoczęły się wykłady

Po sporządzeniu listy braków okazało się, że ukradziono wiele przedmiotów ruchomych i przyrządów pierwszej potrzeby, zwłaszcza wyposażenia klinik i szpitali, a także burs akademickich: łóżek, bielizny, materaców, koców. Rozszabrowano ubrania, buty, środki czystości itd. Zrekompensować te braki miała pomoc Amerykańskiego Czerwonego Krzyża dla powracających z wojska studentów. Z tego źródła uczelnia otrzymała jeszcze jesienią 1920 roku m.in.: 200 kompletów bielizny, 50 swetrów, 30 funtów wełny, 200 pudeł konserw mięsnych, 50 kg kawy z mlekiem w proszku, 5 kg herbaty, 50 paczek pasztetów, 100 kawałków mydła toaletowego i 500 kawałków bulionu kostkowego.

Poszukiwaniem zarekwirowanych i rozkradzionych uniwersyteckich mebli, książek, obrazów itp. zajęli się prof. F. Ruszczyc i historyk Jan Dąbrowski, którym władze wojskowe Wilna umożliwiły przejście lokali po sowieckich i litewskich urzędach. Wiele odzyskano.

We środę, 3 listopada 1920 roku, rozpoczęły się wykłady na uniwersytecie, choć wciąż jeszcze większość studentów nie wróciła z wojska. O godz. 19.00 miał miejsce otwarty odczyt rektora „Zagadnienie istot żywych”, przyjęty oklaskami. Siedlecki mówił nie tylko o „urokach rzeczy wielkich”, ale też o opiekach uniwersytetu: L. Abramowiczu i niższym personelu administracyjnym, którzy ocalili majątek szkoły w czasie wojny. Dwa dni później w kościele św. Janów odbyło się nabożeństwo za poległych akademików. W ciągu kilku następnych dni powrócili do

Wilna: Staniewicz z żoną, L. Janowski, Massoniusowie, Władysław Zahorski, M. Brensztejn, Wacław Studnicki, ks. Żongołłowicz, Władysław Tatarkiewicz i inni. 17 listopada odbyło się pierwsze w Wilnie posiedzenie Senatu USB. Liczono szkody i straty: „Wydział lekarski złożony z dwóch tylko profesorów (Władyczko i Ziemacki) ma być na razie przyłączony do wydziału przyrodniczego z dziekanem Staniewiczem” – zanotował Ruszczyc w dzienniku.

Mając pewność, że uniwersytet w Wilnie kontynuuje działalność, Ministerstwo WRiOP poleciło przewieźć archiwa i paki z Poznania do Warszawy. W piśmie do Dyrekcji Kolei w Poznaniu z prośbą o transport mowa jest o piętnastu pakach jako bagażu podręcznym. 5 listopada transport wyjechał z Poznania. Obok kancelarii, kasy, sekretariatu



Gmach Politechniki Warszawskiej



Gmach Uniwersytetu Poznańskiego (UAM)

z dokumentami wyruszyło czternaście osób, profesorów, funkcjonariuszy i ich rodzin. Ale krótko przed wyjazdem zdecydowano, że pociąg pojedzie od razu do Wilna.

Wyjazd USB z Poznania nie został odnotowany w aktach Senatu UP. Dopiero na posiedzeniu w dniu 13 listopada rektor UP Heliodor Święcicki zakomunikował, że „Rektor UWil. prof. Siedlecki dziękuje za gościnność UP dla siebie i sekretariatu”. I do przymusowego pobytu Wilna w Poznaniu więcej nie wracano.

Jeszcze w końcu listopada wysłano do Poznania prof. Władysława Zawadzkiego, Bonawenturę Lenarta, kierownika artystycznego USB, oraz do pomocy woźnego J. Szczerbę i monterę Mikołaja Wierzbickiego, by przygotowali transport ostatnich pozostawionych materiałów z majątku uniwersytetu, skrzyń z przyrządami, zdeponowanych w firmie Karola Hartwiga w Poznaniu i Warszawie. Starano się także o zwrot przyrządów biurowych wypożyczonych z Ministerstwa WRiOP, najpewniej w czasie gdy uniwersytet zatrzymał się w Warszawie. Trudno sobie to wyobrazić, ale domagano się maszyny do pisania sytemu „Underwood”, czasowo oddanej do użytku ministerstwa, „ponieważ obecnie Uniwersytet rozporządza tylko jedną maszyną, a wobec rozpoczynających się wpisów nie jest w stanie nadążyć pracy”.

Krucze podstawy i brak warunków do rozwoju

Wśród skarbów, które w 1920 roku zostały ewakuowane do Warszawy i Poznania, znalazł się portret Andrzeja Towiańskiego, pędzla Walentego Wańkowicza, подарowany uniwersytetowi w czasie inauguracji 1919 roku przez córkę Towiańskiego, Walerię Kulwieciową z Warszawy. Obraz posiadał przytwierdzoną do ramy metalową wizytówkę informującą o darze. Do Poznania wywieziono tylko płótno, a w Wilnie – jak pisał ze skargą do rektora Władysława Dziewulskiego prof. Stanisław Pigoń „z daru pozostały Uniwersytetowi jedynie puste ramy i owa tabliczka. Ostatnio, jak widzę, tabliczka została usunięta, a ramy uzyskały inne przeznaczenie”. Dopiero w 1924 roku, po interwencji u władz Uniwersytetu Poznańskiego i osobiście prof. S. Władyczki, płótno wróciło do Wilna.

Uniwersytet powrócił, a wraz z nim większość uczonych i studentów. Ale na długie lata zatrzymany został impet,

z jakim rozpoczęto budowanie wileńskiej wszechnicy w roku 1919. Należało od nowa walczyć z przeszkodami technicznymi i finansowymi, o tyle poważniejszymi, że uczelnia znalazła się formalnie poza granicami Państwa Polskiego. Najbardziej obawiano się jednak zwątpienia i braku wiary w lepszą przyszłość. Część wybitnych uczonych, z racji niepewnego jutra, nie zdecydowała się na powrót i pozostanie w Wilnie, obawiając się o kruche podstawy i brak warunków do rozwoju drugiego kresowego uniwersytetu. Nie powrócili lub szybko Wilno opuścili humaniści: prof. Władysław Tatarkiewicz, Stanisław Ptaszycy, Józef Kallenbach i Jan Dąbrowski, zmarł Ludwik Janowski. Straty te z czasem przestały być tak bolesne, bo uczelnia wychowała własnych absolwentów.

Pisząc w styczniu 1921 roku sprawozdanie za rok akademicki 1919/20, rektor Siedlecki zauważył z determinacją: „Myśmy tutaj nie pierwsi, nie jesteśmy obcymi pionierami kultury; przed nami byli tutaj inni, którzy przez wieki działali i doprowadzili do wychowania filareckiej generacji. My do tradycji tych synów tej ziemi pragniemy nawiązać nić naszej pracy. Powstaliśmy jako urzeczywistnienie pragnień tutejszego społeczeństwa i jemu służyć chcemy, a zadawalając jego duchowe potrzeby, stać się musimy dla niego niezbędni; w tym zaś jest najlepszy warunek naszej trwałości.

Rola Uniwersytetów dzisiaj nie jest tylko rolą warsztatów, w których produkuje się fachowców, mających pewną dozę wiedzy. Dziś, na całym świecie Uniwersytety spełniają, prócz nauczycielskiego także i wychowawcze zadanie. Nic nie jest wartą ta wiedza, która w sercu i w uczuciu nie ma podstawy; niewart nic fachowiec, który nie umie być obywatelem. A spełniając zadanie wychowawcze, dając kulturę nie tylko umysłu lecz także serca, Uniwersytet łączy się najściślej ze społeczeństwem i najtrwalsze zyskuje podstawy”.

Dr hab. Mirosław Adam Supruniuk, UMK w Toruniu, historyk nauki, kultury i sztuki, wydawca, twórca Archiwum Emigracji i Muzeum Uniwersyteckiego w Toruniu

Dr hab. Anna Supruniuk, UMK w Toruniu, historyk nauki, mediewista, kierownik Archiwum UMK

Co lekarz robi z milionem pacjentów

W latach siedemdziesiątych XX w. byłem asystentem na Akademii Medycznej w Warszawie (dziś Warszawski Uniwersytet Medyczny) i jako lekarz zainteresowany filozofią w medycynie zajmowałem się między innymi deontologią lekarską, czyli etyką zawodową. Mój profesor, wtedy docent, szef przedmiotów takich jak historia medycyny i etyka lekarska, Marcin Łyskanowski, wpadł na pomysł, żeby zrealizować nasz wspólny pomysł sprzed paru lat. Chodziło o stworzenie na Wydziale Lekarskim zajęć polegających na analizie trudnych sytuacji moralnych występujących w praktyce lekarskiej. Studenci mieli mieć w nich swoje role jako „lekarze i pacjenci”, a ja i ewentualnie jakiś starszy, doświadczony klinicysta korygować ich zachowania, komentować je i prowokować dyskusję. To się udało i sądziliśmy, że bardzo się podoba.

Byłem szczęśliwy, słuchając pozytywnych opinii, i wkładałem mnóstwo pracy w opracowywanie scenek, które mogłyby być wykorzystywane w takich ćwiczeniach. Starłem się też sam możliwie dużo uczyć z opisów przypadków, komentarzy, relacji sądowych lub prasowych, a nawet powieściowych, jednocześnie śledząc własną praktykę lekarza internisty w szpitalu i lekarza rejonowego w przychodni. Szczególnie dotkliwe i zdejmujące łuski z oczu były doświadczenia udokumentowane w materiałach sądowych i rozstrzygnięciach komisji rzetelności (etyki) zawodowej, które działały przy wydziałach zdrowia rad miejskich i powiatowych.

Na przykład na jednym z wykładów pokazałem studentom wyjęte z akt zdjęcia rentgenowskie, na których było widać płuca i jamę brzuszną noworodka ponakłuwane kilkudziesięcioma igłami do szycia (z widocznymi uszkami), wbitych przez chorą psychicznie matkę. Byli przerażeni. Z opisu sądowego dowiedzieli się bowiem, że w ciągu wielu miesięcy nie zauważyło tego aż ośmiu lekarzy, a cierpiące na ropnie niemowlę otrzymało w sumie niemal kilogram antybiotyków i miało osiemnaście bezskutecznych operacji (a wystarczyłaby jedna). Po takim wprowadzeniu następowały dwie-trzy wyreżyserowane scenki, które miały studentom uświadomić, na czym polegały błędy lekarskie związane z tą sprawą, kto i w jaki sposób mógł stać się winny wadliwej postawy, fałszywego działania, błędu w sztuce.

Wszystko szło wspaniale do momentu, kiedy pewna grupa studencka przyszła nastawiona negatywnie. Jeszcze zajęcia się nie zaczęły, gdy jej przedstawiciel zapytał, czy może się zapisać na liście obecności i od razu wyjść, to znaczy, czy może nie uczestniczyć w „tych idiotycznych ćwiczeniach”. Moment zastanowienia (mam nadzieję dla nich niezauważalny) zadecydował, że odparłem: „Tak, każdy może wyjść, jednak pod warunkiem że uzasadni ten krok”.

Chciałem wiedzieć, jakie błędy popełniam lub w co się wpakowałem, organizując taki rodzaj zajęć. Miałem też nadzieję, że

może ujawni się jakieś nieporozumienie, skutek mojej niewiedzy, błędów strategii i może dowiem się o nieznanym mi emocjach towarzyszących krążącej po uczelni opinii o ćwiczeniach. Niestety nie umieli nic wyjaśnić, bełkotali ogólniki, ale w końcu wstała dwudziestotrzyletnia kobieta o twarzy tak naładowanej agresją, że od razu miałem odpowiedź na pytanie o moc emocji. Była wielka. Jeszcze mnie nie poznali, a już z góry wiedzieli, co będzie: niechybnie zaproponuję jakiś faszyzm. Zatem ktoś im napłótł bzdur.

Pani ta twierdziła, że będę próbował ich zmusić, aby zostali aktorami i udawali kogoś, kim nie są, oraz myśleli to, czego nie myślą, czyli kłamali zarówno w życiu, jak i w praktyce zawodowej, a wobec tego prezentowali postawy, które z moralnością, prawdą, wolnością i dobrem nie mają nic wspólnego; co najwyżej z „aktorskim udawaniem”. Podkreśliła, że aktorzy to nie są ludzie, którzy żyją tak, jak grani przez nich bohaterowie, a wobec tego niczego nie mogą się ze swej gry nauczyć. Lekarz, jej zdaniem, nie może być aktorem ani się też kierować wyssanym z palca kodeksem etyki lekarskiej, stworzonym przez sowiecki związek zawodowy służby zdrowia. To ostatnie było akurat trochę prawdą, choć w rzeczywistości kodeks ten był napisany całkiem nieźle, i to w duchu przedwojennym (tyle że wyjęto z niego Boga). Tak czy inaczej ani ona, ani jej koledzy aktorami nie chcieli być i wyszli.

Tak, dziwne rzeczy mogą się ludziom przyśnić. Trzeba było temu przeciwdziałać. Po ochłonięciu zastosowałem miniwykład startowy. Okazało się to skuteczne, bo ci sami studenci w następnym semestrze poprosili „jednak o pokazanie im teatrzyku lekarskiego”. Pewnie przeprowadzili tak zwaną giełdę i się dowiedzieli, że coś pomylili.

Modelową scenkę (zawsze inną, nową, żeby samemu nie szczeznąć z nudów) i dyskusję o niej zacząłem poprzedzać trzykrotnie wypowiedzianym objaśnieniem, za każdym razem innymi słowami, czyli dobitnie. Raz nie wystarczyło. Mówiłem, że nie chodzi o to, aby studenci uczyli się stereotypowego działania według wyuczonych schematów, bo zebranie takich modeli i ich opisanie jest niemożliwe ze względu na niepoliczalną liczbę możliwych sytuacji. Nie da się utworzyć schematów aktorskich. Chodzi natomiast o uzmysłowienie kandydatom na lekarzy, z czym będą mieli do czynienia naprawdę i czym to się będzie różnić od podręcznika akademickiego. I że zawsze będą musieli zaczynać od nowa: najpierw błyskawiczna wstępna refleksja moralna, potem zastosowanie reguł wiedzy naukowej, wreszcie etyczna analiza skutków działania. Niech im przyświeca maksyma: „Lekarz, mając w życiu nawet milion pacjentów, musi tę procedurę zastosować co najmniej milion razy”.

Magdalena Bajer

Obrębscy

Cz. 1 Rodzeństwo

Trudno wyliczyć wszystkie funkcje pełnione przez Józefa Obrębskiego w instytucjach i organizacjach okresu międzywojennego, kiedy polska socjologia, a z nią etnografia, dojrzywały jako ważne dziedziny humanistyki, przed którymi stało zadanie poznania struktury społeczeństwa, procesów jego rozwoju, mechanizmów przemian powodowanych przez historię.

Przychodzi mi przedstawić kolejny ród, w którym cała trójka dzieci wychowanych w bogatym majątku zarządzanym przez ojca, sięgnęła po tytuły akademickie, zawierając małżeństwa z równie utytułowanymi partnerami, tym samym zakładając domy, gdzie panował klimat intelektualnego fermentu, szybko dochodziła do głosu ciekawość świata, ceniono wiedzę i ambicje jej pomnażania. W takich domach rośli twórcy modernizacyjnych idei ożywiających Drugą Rzeczpospolitą.

Pierworodna

Antonina Obrębska urodziła się na Podolu w roku 1901. Naukę gimnazjalną zaczęła w szkole polskiej w Kijowie, kontynuowała na renomowanej warszawskiej pensji Jadwigi Kowalczykówny i Jadwigi Jaworkówny, kończąc ją w roku 1919. W tym samym roku rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, a ukończywszy je, studiowała w latach 1921–1925 slawistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie słuchała wykładów Kazimierza Nitscha, wybitnego lingwisty, historyka języka, sławianoznawcy, dialektologa. Był pionierem badania języka w kontekście kulturowym i porównawczo w obrębie słowiańskiej grupy językowej. Wolno, jak sądzę, przypisać wpływowi tego uczonego rozległe zainteresowania badawcze następczyni, a także obszar jej działalności związanej z organizacją, nauczaniem i upowszechnianiem nowoczesnego językoznawstwa.

Antonina Obrębska obroniła doktorat z filozofii w roku 1925 na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w 1934 uzyskała tam docenturę z filologii słowiańskiej. Od roku 1935 związana była z Uniwersytetem Warszawskim, gdzie w roku 1954 została profesorem nadzwyczajnym, a w 1962 zwyczajnym. Spektrum jej wykładów było tak samo szerokie jak zakres badań, obejmując sławianoznawstwo, historię języka polskiego i rodzimą dialektologię, językoznawstwo porównawcze, będące w Polsce młodą jeszcze dyscypliną.

Podczas drugiej wojny światowej wykładała w tajnym UW i uczyła w szkole powszechnej niedaleko Warszawy. Po wojnie kierowała placówkami prowadzącymi badania z zakresu filologii słowiańskiej, białoruskiej, rosyjskiej, nadal prowadząc własne badania porównawcze w obszarze slawistyki, bacząc,



Antonina Obrębska-Jabłońska

by wypełniały „białe plamy” w poznawaniu genezy i rozwoju pokrewnych języków. Realizowała program rozwoju językoznawstwa w obrębie poznawczych zadań humanistyki obejmujących całość zjawisk i procesów kulturowych. W jej czasach było to podejście pionierskie.

Tematyka licznych publikacji Antoniny Obrębskiej – od 1920 roku Obrębskiej-Jabłońskiej – jest dla laika nazbyt szczegółowa, filologa fascynuje, ujawniając zaskakujące związki znaczeniowe wyrażen i zwrotów językowych, które bywają kluczem do nowych interpretacji utworu, w którym występują. Zaso-
bem takich odkryć jest praca *Niezauważony rutenizm w „Worku Judaszowym” Klonowica z 1965 roku*.

Profesor Obrębskiej-Jabłońskiej polskie językoznawstwo zawdzięcza ugruntowanie białorutenistyki jako specjalności „pobliskiej”, ujawnienie wielu pokrewieństw i powinowactw w różnych językach, np. tych związanych z przysłow-
kiem „dopiero”, co pomogło ustalić polską metrykę tego wyrazu. Praktycznym niejako rezultatem naukowej analizy okazało się

wyjaśnienie nazwy rzeki Niepradwy, pochodzącej od jej powolnego nurtu, później także analogicznych – polskich, rosyjskich, białoruskich, ukraińskich – nazw rzek.

Własnym, pionierskim badaniom towarzyszyła, już wspomniana, bardzo aktywna działalność organizacyjna, edytorska i publikacyjna, służąca tworzeniu szerokich podstaw słowia-
noznawstwa, w czym pomagał wielki autorytet w środowisku akademickim, jakim cieszyła się profesor Obrębska-Jabłońska. Zmarła w roku 1994 w Warszawie.

Siostra młodsza

Maria Obrębska urodziła się w roku 1904, a już w 1911 opu-
ściła rodzinne Podole, by uczyć się, jak starsza siostra, na warszawskiej znanej pensji. Ukończywszy edukację gimna-
zjalną, rozpoczęła w roku 1923 studia w Szkole Sztuk Pięk-
nych. Pod kierunkiem Władysława Skoczylasa studiowała
grafikę, malarstwo zaś u Tadeusza Pruszkowskiego i Mieczys-
ława Kotarbińskiego. Byli to mistrzowie najpierwszej próby,
cieszący się powszechnym uznaniem dla twórczości i osobis-
tystym autorytetem. A i kolegów Maria Obrębska miała uta-
lentowanych oraz interesujących. Dzieła wielu z nich oglą-
damy w muzeach.

Zakończywszy długotrwałe studia w ASP (1931) znalazła się
rychło pośród znaczących przedstawicieli polskiej grafiki. Dwa
dzieła: *Alpinista* i *Kąpiel* zaprezentowano w ramach Olimpij-
skiego Konkursu Sztuki i Literatury, jaki towarzyszył Igrzy-
skom Olimpijskim w Los Angeles w 1932 roku. Dwa lata póź-
niej w łódzkim oddziale Instytutu Propagandy Sztuki odbyła się
wystawa wspólna z Anielą Cukier, gdyż obyczajem było wtedy
pokazywanie prac graficzek parami.

W roku 1937 prace Marii Obrębskiej-Stieber – niewiele wcze-
śniej wyszła za mąż za znanego już językoznawcę – znalazły się
na Wystawie Światowej w Paryżu i uzyskały dwa srebrne oraz
jeden brązowy medal. Dwa lata później, niedługo przed wybu-
chem drugiej wojny światowej, czwartą nagrodą wyróżniono
jej projekt wnętrza pawilonu polskiego na Wystawie Światowej
w Nowym Jorku.

Ich autorka miała wyraźnie określone zapatrywania na istotę
grafiki jako sztuki, a także na jej zadania użytkowe, wiedziała,
czego trzeba uczyć utalentowanych adeptów i przekazywała tę
wiedzę, wykładając w lwowskim Instytucie Sztuk Plastycznych,
co przerwała wojna.

Podczas okupacji przechowywała u siebie braci bliźniaków
Efraima i Menasze Seidenbeutelów, utalentowanych żydowskich
malarzy, którzy byli jej kolegami ze studiów. W biografiach
artystki nie podkreślano tego faktu, jak ona sama nie widziała
w nim nic innego niż zwyczajną powinność przyzwoitego czło-
wieka, który nie powinien ulegać paraliżującym lękom ani pod-
szytym pychą pokusom heroizmu.

Po wojnie wybrała dla zawodowych zainteresowań i satys-
fakcji miejsce odległe od polityki oraz ideologii, tworząc Zakład
Druku na Tkaninie Wydziału Włókienniczego Wyższej Szkoły
Sztuk Plastycznych w Łodzi, gdzie została profesorem nad-
zwyczajnym w 1957 roku. Zmarła w roku 1995, pozostawiając
potomnym najlepsze swoje prace w muzeach.

Brat

Najmłodszy z trójki rodzeństwa, Józef, przyszedł na świat
w roku 1905. Do gimnazjów chodził w Warszawie – redagował
tam piśmi-
ko „Ślawistyka” – i w Krakowie, gdzie zdał maturę. Nie zagrawszy miejsca na Wydziale Prawa UW (studiował tam
dwa semestry), przeniósł się na Studium Słowiańskie (jak star-
sza siostra słuchał wykładów Kazimierza Nitscha) Wydziału
Filozoficznego UJ, gdzie niebawem został asystentem wybit-
nego etnografa Kazimierza Moszyńskiego.



Józef Obrębski

Józef Obrębski wykreślił bardzo szeroko obszar swoich zainteresowań, obejmując nimi etnografię, filologię słowiańską, językoznawstwo porównawcze i dialektologię w obrębie słowiańszczyzny, archeologię, historię sztuki... Za ważną inspirację uważał zawsze socjologię humanistyczną Floriana Znanieckiego.

Jeszcze podczas studiów zaczął uczestniczyć w wyprawach badawczych, m.in. do Bułgarii i Macedonii, gdzie zebrał materiał do pracy magisterskiej opublikowanej w czasopiśmie „Lud Słowiański”, współredagowanym przez jej autora. W latach 1934-1937 prowadził badania, jak dziś powiedzielibyśmy, kulturoznawcze na zachodnim Polesiu.



Maria Obrębska-Stieber, *Portret*, tempera na dykcie, lata 30. XX w.

Nad doktoratem pracował w London School of Economics and Political Science pod kierunkiem Bronisława Malinowskiego, specjalizując się w metodach badań terenowych oraz antropologii społecznej. Był najbliższym współpracownikiem wielkiego uczonego i zapewne jemu zawdzięczał płodne intelektualnie kojarzenie socjologii z antropologią społeczną, co nadało przymiotnikowi „społeczna” dodatkowej wagi. W tym okresie, zakończonym doktoratem z filozofii w zakresie właśnie antropologii społecznej, zebrał wiele materiałów dotyczących m.in. struktury rodziny, religijności, obrzędów, leżnictwa ludowego, przygotował do druku monografię magii na Polesiu; maszynopis uległ zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Trudno wyliczyć wszystkie funkcje pełnione przez Józefa Obrębskiego w instytucjach i organizacjach okresu międzywojennego, kiedy polska socjologia, a z nią etnografia, dojrzały jako ważne dziedziny humanistyki, przed którymi stało zadanie poznania struktury społeczeństwa, procesów jego rozwoju, mechanizmów przemian powodowanych przez historię. W roku 1936 został wicedyrektorem nowo powstałego Instytutu Kultury Wsi z bardzo szerokim programem badawczym. Był aktywnym członkiem Polskiego Instytutu Socjologicznego i redakcji wydawanego przezeń „Przeglądu Socjologicznego”, podczas okupacji działających konspiracyjnie. W warszawskim mieszkaniu państwa Obrębskich redagowano wtedy tajne wydawnictwa, odbywały się zakonspirowane wykłady i seminaria, ukrywały się Żydzi.

Po wojnie Józef Obrębski kontynuował pracę w zarządzie Polskiego Instytutu Socjologicznego i redakcji „Przeglądu Socjologicznego”, a także w Wolnej Wszechnicy Polskiej, która stała się kolebką Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie w roku 1945

objął Katedrę Etnologii w utworzonym tam Instytucie Socjologicznym. Działal w Komisji Socjologicznej PAU i w zarządzie Towarzystwa Ludoznawczego.

Rok później został zaproszony do Londynu, by wygłosić cykl wykładów o przemianach warstwy chłopskiej w krajach Europy wschodniej, a następnie London School of Economics and Political Science proponowała polskiemu etnografowi badania terenowe na Jamajce, które przyniosły bogaty zbiór materiałów.

Lata 1948-1958 były przerwą w pracy akademickiej uczonego, który został członkiem Sekretariatu ONZ w Nowym Jorku jako specjalista od spraw społecznych, którymi zajmo-

wał się Departament Powierniczy. Zadaniem tej agendy była pomoc krajom wyzwalam się z kolonialnej zależności, budującym własne autonomiczne państwa, nierzadko jednak zachowujące mocniejsze lub słabsze więzi z mocarstwami. Wiedza z zakresu antropologii społecznej i etnologii pomagała Józefowi Obrębskiemu inicjować praktyczne rozwiązania problemów towarzyszących tym procesom.

Po dekadzie zatęsknił jednak za pracą naukową w środowisku akademickim i od roku 1959 przez trzy lata wykładał w New York University, następnie zaś w Long Island University, zostając tam pierwszym profesorem antropologii społecznej. Nie zdecydował się na powrót do Polski mimo kilkakrotnych propozycji i oferty stanowiska na Uniwersytecie Warszawskim. Zmarł nagle w roku 1967 w Hollis.

Wiele prac wybitnego etnografa, antropologa, socjologa i kulturoznawcy nie zostało dokończonych i opublikowanych. Służą niekiedy za źródło inspiracji następcom, a całokształt dorobku jest – w epoce specjalizacji i westchnień do interdyscyplinarności – wzorem szukania twórczych uogólnień.

W rodzinie Obrębskich powtarzają się uczone małżeństwa koleżeńskie, o czym będzie mowa w następnym numerze. Warto się zastanowić nad tym, czy domy takich rodzin częściej bywają miejscem buźowania intelektów, inspiracji wzajemnych i pobudzania ambicji twórczych, czy też może taka myślowa kumulacja sprzyja czasem samozadowoleniu i poprzestawianiu na tym, co się osiągnęło. Nie ma, na szczęście, definitywnej odpowiedzi na to pytanie, przykłady są interesujące. Myślę, że można w nich znaleźć wzór na to, jak intelektualne ambicje (zawsze pożądane) czynić ponętnymi i zarażać nimi otoczenie.

Krakowska blokada

Przywilej Jana Kazimierza oprotestowała Akademia Krakowska, broniąca wyłączności nauczania w Koronie.

Akademia Krakowska akceptowała sieć własnych kolonii, ale blokowała powoływanie nowych ośrodków akademickich w Poznaniu i Lwowie. Kolonie – było ich około czterdziestu – liczyły najczęściej dwóch-trzech bakałarzy czy magistrów przysłanych z Akademii Krakowskiej. W nocie do „Stanu oświecenia w Polsce” wyjaśniał ks. Hugo Kołłątaj, iż w koloniach akademickich „były tylko 4 klasy (...) gramatyka, w której uczono języka łacińskiego; poetyka, w której uczono prozody i sztuki pisania wierszów łacińskich i polskich; retoryka, w której uczono wymowy, i dydaktyka, w której uczono sztuki argumentowania”.

W Poznaniu działało Collegium, od 1533 roku zwane Akademią Lubrańscianą (założyciel zmarł 22/23 V 1520). Nie zachował się akt fundacyjny, a ustny w formie testamentu sankcjonował jedynie nadzór Kapituły Katedralnej nad wykupionym z królewskiej majątki Stawiszyn. Zygmunt Stary zatwierdził wykup dyplomem z 2 maja 1518 roku; była to podstawa utrzymania Collegium. Okazały gmach na Ostrowie Tumskim ukończono w 1528 roku. Po dziesięciu latach kapituła ustanowiła prowizorów, by egzekwowali dyscyplinę w prowadzeniu wykładów. Powołano pięć katedr: gramatyki, poezji, retoryki z dialektyką, matematyki z astronomią oraz teologii. Mimo tych dysproporcji uznawano, że istnieją dwa studia: humanistyczne i teologiczne. Dominował w humaniorach sprowadzony z Lipska Krzysztof Hegendorfer, jednak oskarżony o herezję przez kanonika katedralnego, ks. Grzegorza z Szamotuł, został zmuszony do wyjazdu (1535). Wśród wykładowców teologię wyróżniały publikacje przybyły w 1562 roku ks. Benedykt Herbst. Studiujących ukierunkowywano na przyszłą pracę kapłańską i zdolność do polemik z luteranami. Wśród absolwentów wyróżniali się: poeta Klemens Janicki oraz medyk Józef Struś. Ostatnie regularne wykłady humaniorów prowadzono w 1572 roku, do tego czasu pojawiały się jednak przejściowe kryzysy, wywołane głównie brakiem stabilnego składu profesorów.

Do wznowienia prac Lubrańscianum przyczyniła się darywizna (28 tys. zł) sufragana włocławskiego, ks. Jana Rozdrażewskiego (1604). Nowi wykładowcy przybyli z Krakowa w 1616 roku. Powołano konwikt dla trzydziestu synów szlacheckich. Lubrańscianum było kierowane przez dyrektora studium, zwanego rektorem, przy udziale konwokacji profesorskiej. W sprawach majątkowych decydowała kapituła. Od czasu przyjęcia nowych statutów z 1746 roku czynsze fundacyjne pobierał dyrektor akademii. Kapituła wykonywała ogólny nadzór poprzez kuratorów (dawni prowizorzy). Gmachem Lubrańscianum i zaopatrzeniem zarządzał prepozyt, do niego należały też sprawy dyscyplinarne studentów i profesorów. Od 1746 roku

powoływano corocznie bibliotekarza oraz prefekta drukarni, a nawet prefekta oratorium. Ogólny prowizor z ramienia Akademii Krakowskiej został powołany dopiero w 1765 roku, co wiązało się z polityką zwiększania wpływu akademii na własne kolonie. Patronem Lubrańscianum był św. Jan Kanty. Obok Konwiktu Rozdrażewskich uruchomiono fundacyjne bursy Szołdrskich, Krzyckich i Zalasowskiego. Nauka była pobierana bezpłatnie, wynagradzano profesorów z dochodów fundacyjnych. Obok fakultetu humanistycznego, typowo propeutycznego, funkcjonował Wydział Publiczny (dawniej teologiczny). W tym drugim wykładano prawo (głównie kościelne), teologię moralną i spekulatywną oraz działy filozofii, wśród nich fizykę i matematykę oraz logikę. Powołanie Komisji Edukacji Narodowej przejściowo zwiększyło liczbę studentów, ale w październiku 1780 roku przeniesiono profesorów i studentów do Szkół Wojewódzkich w Poznaniu.

Rósł poziom nauczania w konkurencyjnym jezuickim Collegium (1573–1773). Uruchamiał Collegium SJ rektor ks. Jakub Wujek. Kolegia jezuickie kształciły kleryków na wyższym poziomie niż kolegia katedralne, tak by byli przygotowani do dysput i pisemnych polemik z protestantami. Kolegia jezuickie działały niezależnie od kapituł katedralnych, co prowadziło do lokalnych konfliktów. Poznańskie Collegium SJ starano się przekształcić w akademię. Trzykrotnie (1612, 1650 i 1678) uzyskiwało ono królewską akceptację na przekształcenie w uniwersytet, co każdorazowo obalała Akademia Krakowska. Kasata zakonu (1773) łączy się z kolejną próbą, podjętą przez ks. Józefa Rogalińskiego. Powołał on Akademię Wielkopolską (1774–1780) i został jej rektorem.

Po objęciu przez Grzegorza z Sanoka arcybiskupstwa (1451) działała we Lwowie szkoła katedralna. Jan Dymitr Solikowski sprowadził uroczyscie jezuitów do Lwowa w celu działalności misyjnej i uruchomienia Collegium (1591). Fundusze pozyskano od wojewody sandomierskiego Jerzego Mniszecha oraz od Sieniawskich i Stadnickich. W roku 1608 podzielono Prowincję Polską SJ (powołaną w 1575) na litewską i koronną, co dało argument do tworzenia we Lwowie Akademii Jezuickiej. Uruchomione w roku ak. 1608/1609 Collegium połączone było ze studium teologii moralnej dla kleryków. Nauczano artes liberales i teologii. Liczba uczniów (około 400) świadczyła o celowości przedsięwzięcia. W uruchomionym (1640) budynku usytuowano też drukarnię i bibliotekę, a nawet zaczątkowe obserwatorium astronomiczne. W roku 1650 uruchomiono czteroletni kurs teologii, a w 1651 drugi kurs filozofii. Działo pięć katedr. W takich realiach pozyskano przywilej królewski od Jana Kazimierza z dnia 20 stycznia 1661 roku, nada-

jący dotychczasowemu Collegium „godność Akademii i (...) tytuł Uniwersytetu” – z prawem nadawania stopni akademickich i odbywania innych „promocyj i uroczystości”. Król brał pod uwagę konkurencyjny projekt Rusinów, włączony do zapisów ugody w Hadziaczu (1658), przewidujący podniesienie do rangi uniwersytetu Collegium Kijowsko-Mohylowskiego (działało od 1631) oraz powołanie we Lwowie uniwersytetu dla Rusinów. Oba uniwersytety miały posiadać rytuś grecki. Przywilej Jana Kazimierza oprotowała Akademia Krakowska, broniąca wyłączności nauczania w Koronie. Wspierały ten protest władze Lwowa oraz część posłów powiązanych z Kościołem rzymskokatolickim, co spowodowało brak potwierdzenia przywileju królewskiego ze strony Sejmu i Stolicy Apostolskiej.

Akademia Krakowska prowadziła we Lwowie – na prawach filii – szkołę metropolitalną. Jezuici uzyskali jedynie prawo nadawania w Universitas Leopolitana (zwane też Academia Leopoli in Collegio RR) stopni doktora teologii i magistra filozofii (1673).

W epoce oświecenia rozszerzono program nauki o „realia”: naukę języków nowożytnych i przedmiotów „ścisłych”. Uroczomiono jezuicki konwikt Collegium Nobilium (1749) dla synów szlacheckich. Od 1758 roku działało we Lwowie Collegium pijarskie. Akademizację Universitas Leopolitana przeprowadzono dyplomem króla Augusta III Sasa z 18 kwietnia 1758 roku, zatwierdzonym bullą papieską Klemensa XIII z 24 marca 1759 roku. Akademia Krakowska oprotowała dyplom Augusta III Sasa do sądu asesorskiego (kanclerskiego). Mimo to zorganizowano inaugurację Akademii (11 XII 1759), a nawet nadano przy tej okazji kilka stopni doktora filozofii. Pod wpływem Akademii Krakowskiej i narastającej niechęci ze strony kapituł koronnych, które zawiązały tzw. filadelfię, oświadczając, że nie dopuszczą promowanych we Lwowie do godności kościelnych, pojawiły się liczne broszury antyjezuickie. W efekcie od 1764 roku zaprzestano we Lwowie nadawania stopni naukowych, utrzymano jednak strukturę katedr i wykładowych przedmiotów.



Akademia Lubrancianum w Poznaniu

Nauka statystyki z Szymborską i Tokarczuk

Olga Tokarczuk dobrze rozumiała prawa statystyki i jej ograniczenia, zanim odrzuciła je jako sposób objaśniania i rozumienia przez nią świata.

Do mało poważanej wśród większości humanistów nauki, jaką jest statystyka, a także do tego, czym się ona karmi, czyli zbiorów liczb i sposobów ich analizy, rzadko odwołują się poeci i pisarze. Ale są wyjątki, i to bardzo znaczące!

Wisława Szymborska

Niezwykłym ukłonem w kierunku statystyki – nauki, która próbuje poznać prawidłowości ukryte w różnych zbiorowościach opisanych liczbami – jest piękny wiersz Wisławy Szymborskiej zatytułowany *Przyczynek do statystyki*. Rozpoczyna go krótkie, jakże typowe dla tej nauki wyrażenie: „Na stu ludzi...”. I dalej następuje charakterystyka kilkuset cech i zachowań, którym poetka przypisuje liczby – własne, subiektywne szacunki proporcji osób przejawiających rozważane cechy i zachowania. W większości podaje konkretne liczby:

„skłonnych do podziwu bez zawiści
– osiemnastu”.

Dwukrotnie formułuje szacunki mniej precyzyjne, odwołujące się do równego podziału populacji na dwie części:

„niegroźnych pojedynczo,
dziczących w tłumie
– ponad połowa na pewno”;

oraz

„mądrych po szkodzie
– niewielu więcej
niż mądrych przed szkodą”.

I tylko raz, gdy z trwogą pisze o okrucieństwie ludzi, nie towarzyszy temu żadna liczba:

„okrutnych,
kiedy zmuszą ich okoliczności
– tego lepiej nie wiedzieć
nawet w przybliżeniu”.

Nie jest to jedyny utwór Szymborskiej, w którym pojawiają się liczby i terminy statystyczne. Uważny czytelnik i miłośnik jej poezji dotrze bez trudu do pozostałych. Chociaż za nieco

zapomniany utwór noblistki trzeba by uznać ten z późnych lat sześćdziesiątych pt. *Spis ludności*, przypomniany w wydanym niedawno tomiku *Sto pociech* (Wyd. Znak, 2019). Wiersz ten kończą słowa:

„Homer pracuje w biurze statystycznym.
Nikt nie wie, co robi w domu”.

Oba przywołane utwory traktują oczywiście o czymś innym. Łączy je natomiast język statystyki, po który zdecydowała się sięgnąć autorka. Warto na to zwrócić uwagę teraz, kiedy ogrom

zbiorów liczb, jakie nas otaczają – zwłaszcza w sferze wirtualnej – sprowadza niekiedy statystykę jedynie do wykonania obliczeń, prezentacji tablic czy wykresów. W rzeczywistości zaś statystyka to przede wszystkim pewien sposób myślenia o świecie, postrzegania i analizowania rzeczywistości. To także przekonanie o tym, że językiem statystyki da się wyrazić rzeczy ważne w życiu pojedynczego człowieka i różnych ludzkich zbiorowości.

Olga Tokarczuk

W życiu znacznie później urodzonej drugiej naszej noblistki, statystyka pojawiła się – niezależnie od woli Olgi Tokarczuk – w sposób dość typowy, bo w programie jej studiów

na kierunku psychologii. „Wprowadzano nas w tajemnice statystyki” – pisze w powieści *Bieguni*. Dość szybko odrzuciła jednak popularne w naukach społecznych badania ankietowe jako wiarogodne źródło poznania. Z wyrzutem pisze: „Co to za metodologia! Milcząco zakłada się, że człowiek nie zna siebie, lecz gdy mu podsunąć odpowiednie sprytnie pytania, sam się ów człowiek zlustrowuje. Sam zada sobie pytanie i sam na nie odpowie”. Sądzę, że myśl ta warta jest refleksji w wielu dziedzinach nauki, zwłaszcza współcześnie, gdy nazbyt wiele oczekuje się od badań sondażowych i ankietowych.

Tokarczuk dobrze rozumiała prawa statystyki i jej ograniczenia, zanim odrzuciła je jako sposób objaśniania i rozumienia przez nią świata. Z jednej strony deklaruje: „Nie interesują mnie



wydarzenia powtarzalne, te, nad którymi z uwagą pochyla się statystyka”, a z drugiej docenia znaczenie m.in. statystycznych miar współzależności i korelacji. Pisząc o snach w powieści *Dom dzienny, dom nocny*, snuje takie oto wyobrażenie: „Gdyby (...) włączył w to statystykę z tymi wszystkimi testami korelacji, które działają jak magiczny klej, łącząc ze sobą rzeczy, wydawałoby się, niemożliwe do połączenia, może znalazłby w tym jakiś sens”. Dostrzega więc autorka możliwość zdobycia choćby części wiedzy, poprzez użycie narzędzi statystycznych.

Pięknym fragmentem *Biegunów* jest ten, który pokazuje istotę wnioskowania statystycznego, mimo że ani razu nie pada w nim słowo statystyka, a także żadne ze słów pokrewnych. W krótkim opowiadaniu pt. *Dziewięć* tytułowa dziewczątka to numer klucza „w małym tanim hotelu nad restauracją”, który gubił się pośród innych kluczy najczęściej. Wiedział o tym recepcjonista, który każdego roku musiał zamawiać najwięcej nowych kluczy z numerem dziewięć. „Ciekawe, jakie to prawo rządziło kluczem numer dziewięć, jakie przyczyny i jaki skutek”. Pytanie to dobrze ilustruje główny problem wnioskowania statystycznego na podstawie ciągu obserwacji w próbie.

Wśród innych kluczy jeden gubi się najczęściej. Może stać za tym zwykły przypadek, dający się wytłumaczyć losowym charakterem tego typu zjawiska. W końcu nie spodziewamy się, że w ciągu roku goście gubią lub zapominają zwrócić dokład-



nie tę samą liczbę kluczy do pokoi hotelu. Dopuszczamy w tym względzie jakieś losowe odchylenia. Ale jak duże, aby wciąż uważać je za losowe? Kiedy liczba kluczy z numerem dziewięć, które trzeba dodatkowo zamówić u ślusarza („Dziwił się temu sam ślusarz”), powinna zostać uznana za zbyt dużą w stosunku do innych numerów, aby mógł wziąć za to pełną odpowiedzialność los, przypadek? Jaką różnicę w liczbie zagubionych kluczy z numerem dziewięć w stosunku do liczby innych utraconych kluczy uznamy za niedającą się wytłumaczyć przypadkiem, a więc za statystycznie istotną? Statystyczna istotność – jak wiadomo – stanowi główną kategorię wnioskowania na podstawie niepełnej informacji. Bohaterka tej historii kilka dni po

opuszczeniu hotelu, w którym zajmowała pokój numer dziewięć, znajduje klucz w kieszeni spodni. Dokłada w ten sposób jeszcze jedną obserwację do próby sugerującą, że mamy tu do czynienia ze statystycznie istotną prawidłowością.

Być może warto sięgać do poezji i literatury, wyjaśniając studentom pierwszych lat pojęcia i język statystyki. Choćby po to, by w przyszłości nie mieli „uczucia skurczu w żołądku, które pojawia się, gdy w zadaniu albo rozmowie wypływa temat statystyki” (M. Kaplan, E. Kaplan, *Zawsze masz szansę*).

Prof. dr hab. Mirosław Szreder, ekonomista, kierownik Katedry Statystyki i dziekan Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Gdańskiego.

Henryk Grabowski

Refleksje z czasów zarazy

Nikt nie jest w stanie przewidzieć, w jakim stadium rozwoju będzie pandemia, kiedy ten tekst się ukaże. To, o czym chcę w tym kontekście napisać, ma jednak wymiar ponadczasowy. Zaczę od mniej smutnej refleksji.

Naprzeciw bloku, w którym mieszkam, rośnie świerk. Na wysokości mojego balkonu uwiła sobie gniazdo para gołębi. Najpierw były zaloty, później pojawiły się jajka, z których wykluły się dwa pisklęta. Żeby opisać bogactwo zachowań opiekuńczych tej pary wobec siebie i swego potomstwa, trzeba by pióra poety, którego nie mam. Uczeń kwitują to jednym słowem – instynkt.

Człowiek również posiada instynkt sprzyjający zachowaniu życia jednostkowego i gatunkowego. Oprócz tego podobno ma rozum. Pewnie dlatego potrafi być bezinteresownie brutalny i agresywny wobec najbliższych w sytuacji konieczności ustawicznego przebywania z nimi w czasach zarazy.

Z niewyobrażalnym zdumieniem i niesmakiem dowiedziałem się o przepełnionych nienawiścią agresywnych zachowaniach wobec różnych kategorii pracowników służby zdrowia tylko dlatego, że z narażeniem własnego zdrowia i życia, niosąc pomoc chorym na COVID-19, mogą sami stać się źródłem zakażeń.

Zaszczuty fałszywymi posądzeniami o zarażenie pacjentek ginekolog popełnił samobójstwo. Pracująca w szpitalu na oddziale zakaźnym lekarka, nękana przez sąsiadów za rzekome roznoszenie koronawirusa, musiała zmienić mieszkanie. Podobno w niektórych sklepach można usłyszeć, że personelu medycznego nie należy obsługiwać, bo przynosi zarazę. Przypadki traktowania w czasie epidemii lekarzy, pielęgniarek, ratowników medycznych jak „trędowatych” zdają się nasilać.

W świecie przyrody istnieje coś takiego, jak pasożytnictwo, które polega na tym, że jeden organizm żywi się kosztem drugiego. Nie mam odpowiedniego wykształcenia do wydawania kompetentnych sądów na ten temat, ale wydaje mi się, że na ogół pasożyty nie dążą do całkowitego unicestwienia swych żywicieli, bo straciłyby źródło utrzymania. Tylko wśród ludzi niszczycielskie zachowania wobec ich darczyńców występują nagminnie.

Z tego, co zostało napisane, wynika smutna refleksja, że na tle innych gatunków najmniej udanym wytworem Pana Boga lub – jak kto woli – Natury jest człowiek.

To jest właśnie Rosja

Gromadzenie i opracowywanie źródeł do „Domu władzy” zajęło autorowi dwadzieścia lat. Korzystał zarówno z państwowych, jak i prywatnych archiwów. Rozmawiał najczęściej z dziećmi byłych bolszewików – represjonowanych, zsyłanych, rozstrzelanych. Doszedł do ciekawych spostrzeżeń odnoszących się do mentalności budowniczych komunizmu.

Miała Moskwa Bagnisko, osobliwe miejsce naprzeciwko Kremla, pas grzęzawisk i błotnistych łąk nad samą rzeką. Było ono ringiem walk pięściarskich, miejscem publicznych egzekucji i pokazów fajerwerków, ułatwiało szemrane interesy. Z czasem powstał tu plac targowy, składy towarów pobliskich fabryczek i biedne domki bednarzy, tkaczy, kowali, poborców danin.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową znaczna część Bagniska należała do fabryki czekoladek, cukierków i ciastek F.T. Einema, a po rewolucji zaczęły już znikać niektóre przedsiębiorstwa. Miejsce raz pustoszało, innym razem przygotowywane było pod jakąś inwestycję. W owym czasie zaprzestano tu jednak zwożenia brudnego śniegu, powyławiano ciała pijaków i samobójców, wyburzono część domków, by postawić prowizoryczne baraki dla budowniczych. To tu miał zostać zbudowany Dom Władzy.

Decyzja o budowie – jak zwykle – trochę się ślimaczyła. W styczniu 1927 roku Komisja ds. Domu Centralnego Komitetu Wykonawczego i Rady Komisarzy Ludowych, powołana przez przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Aleksieja Rykova, wyznaczyła na głównego architekta Domu Władzy odeskiego Żyda – Borysa Iofana. Dom Władzy miał być wzniesiony ze zbrojonego betonu, posiadać ceglane ściany, dach kryty blachą oraz wysokiej klasy udogodnienia: centralne ogrzewanie, parkietowe podłogi, armatury, dostęp do wody (w tym ciepłej), dźwigi towarowe i osobowe, dwie klatki schodowe (główną i kuchenną). Mieszkania miały być 3- i 5-pokojowe (łącznie 200 lokali). Parter przeznaczono na sklepy. W domu miały znajdować się również: służbówki, biblioteka, czytelnia, stołówki, sala gimnastyczna. Na wewnętrznym dziedzińcu zaprojektowano place zabaw i miejsca odpoczynku. Budowa i urządzenie Domu Władzy służyło również propagandzie. Wielu chłopów przybyło do Moskwy, zamieszkało w barakach i poddało się socjalizacji w duchu komunizmu. Sztandarowym przykładem jest chociażby prosty chłop z opowiadania Andrieja Platónowa *Powątpiewający Makar*, który na budowie mógł się wreszcie najeść do syta kaszy.

Coś wisiało w powietrzu

Koncepcje architektoniczne Domu Władzy parokrotnie zmieniały się w trakcie budowy. Postanowiono zlokalizować tam dodatkowo: klub, teatr, pralnię, żłobek, a nawet klinikę. Kilka pomieszczeń zarezerwowano do spędzania czasu wolnego. Doszła sala prób orkiestry, sala bilardowa, dodano kort

tenisowy. Nadto przyszli mieszkańcy otrzymali: boisko do koszykówki, siłownię, szatnie z natryskami, bank, telegraf, salon fryzjerski, kino „Przodownik Pracy” dla 1500 widzów i kawiarnie. Niestety większość przyszłych lokatorów i tak krótko cieszyła się nowym mieszkaniem. Niektórych już w trakcie przeprowadzki ogarnęły złe przecucia. Wszystko było nowe i piękne, ale coś wisiało w powietrzu. Nadchodził czas wielkiej czystki.

Dom sam w sobie, choć przeolbrzymi, ale nawet ładny i funkcjonalny, stał się solą w oku komunistów pismaków. Krytyka partyjna podnosiła, że miał on być przecież przykładem domu – komuny, stał się zaś jej wypaczeniem. Architekt Aleksander Leonidowicz Pasternak pisał: „Widzimy oto dwie negatywne strony naszej polityki mieszkaniowej: z jednej strony propagowanie indywidualnych mieszkań określających na długie lata charakter naszego miejsca zamieszkania, a zatem i naszego życia w miastach; z drugiej strony nieprawidłowe przestrzeganie idei domu – komuny, przez co odkładamy w czasie i jednocześnie dyskredytujemy wdrożenie wśród mas nowych środków społecznych”.

Kto zatem jest głównym bohaterem *Domu Władzy*? Najpierw sam dom, potem jego budowniczowie, w końcu jego mieszkańcy.

Dzieło Slezkine’a to opasła, trzynomowa, monumentalna opowieść. Sam autor mówi, że na Zachodzie będą jego książkę czytać wybiórczo, w przeciwieństwie do Wschodu, gdzie usiądą i przeczytają ją od dechy do dechy. Możliwe jest czytanie na oba sposoby. Wszystko za sprawą konstrukcji szkatułkowej, bo jest to powieść, która najbardziej przypomina mi Hansa Fallada z jego *Każdy umiera w samotności*. Towarzyszymy bowiem życiu kilkuset osób: mieszkańców moskiewskiego Domu Władzy oraz tych wszystkich, którzy bardziej lub mniej byli z nimi związani. Bolszewicy i ich rodziny otrzymali w Domu Władzy szczególne lokum, ale dopiero wprowadziwszy się tam pojęli, że są w pułapce, że znaleźli się w położeniu bardziej opłakanym niż „klatka Wersalu”. W końcówce lat trzydziestych po prostu zaczęli znikać. Nie od razu. Powoli, systematycznie, najczęściej nocą. Sąsiedzi nie rozpytywali się nazajutrz o losy zabranej rodziny. Mogłoby to rzucić na nich cień podejrzenia. Wiadomości docierały skrycie, jakby od niechcenia rzucane przy wysiadaniu z windy: tamci w łagrze, towarzyszy X rozstrzelany. Schemat znikania był dość prosty: najpierw szła głowa rodziny, potem żona albo od razu żona z dziećmi. W gruncie rzeczy te ostatnie

miały najgorzej. Najczęściej przeżywały katorgę, a potem po XX zjeździe KPZR już nie potrafiły wrócić do normalnego życia.

Odurzeni ideologią

Gromadzenie i opracowywanie źródeł do *Domu władzy* zajęło autorowi dwadzieścia lat. Korzystał zarówno z państwowych, jak i prywatnych archiwów. Rozmawiał najczęściej z dziećmi byłych bolszewików - represjonowanych, zsyłanych, rozstrzelanych. Doszedł do ciekawych spostrzeżeń odnoszących się do mentalności budowniczych komunizmu, z których jedną z ciekawszych jest ta, że dzieci bolszewików nie do końca zaakceptowały ideologię i wynikające z niej postawy ojców. Wszyscy jednoznacznie orzekli, że bolszewizm traktowany był przez rodziców jak religia. Miał on strukturę, hierarchię i swoje dogmaty. Bolszewicy byli wręcz odurzeni swoją ideologią, gotowi oddać za nią życie, i tak też się w wielu przypadkach stało.

Slezkine usiłuje zgłębić owe religijne przesłanki komunizmu, tę fascynację ideologią aż do zatracenia się w niej. Dużo miejsca zajmuje mu historiozoficzny wywód. Szuka rodowodu bolszewizmu, wskazując wpraw na judaizm, wzmocniony później w Europie przez reformację, zwłaszcza w jej kalwińskim, opresyjnym społecznym wydaniu. Ostatecznie dociera do Marksa ustawiającego metodycznie wszystkie te przesłanki tak, aby stanowiły zapalnik rewolucji.

Autor uzasadnia też, że nie było lepszego gruntu niż Rosja dla przeprowadzenia rewolucji. Po kilku nieudanych próbach rewolucji na Zachodzie, tej francuskiej i tych pomniejszych, jedynie Rosja z jej samodzierżawiem i od wieków duszonym buntem mas, z jej coraz prężniej rozwijającym się przemysłem, z jej aktualnymi literackimi ideałami srebrnego wieku mogła być idealnym miejscem na wdrożenie bolszewizmu. Starzy komuniści-bolszewicy czytali *Kapitał* Marksa, ich dzieci już nie. W Rosji przełomu XIX/XX w. czytano wiele. A co czytanie może zrobić z ludźmi? Paweł Własow z *Matki Gorkiego* był w stanie pokonać nawet swój alkoholizm, gdy dotarł do książek, które zapaliły go; znalazł nową religię – stał się komunistą.

Zlikwidować prywatną przestrzeń

Rosyjska rzeczywistość czasów rewolucji opisana została przez Slezkine'a z pozycji zmian mieszkaniowych. Skoro sowiecka „wojna z pałacami” spowodowała spalenie bądź skonfiskowane dworów, nastąpiła konieczność przyjęcia przez bogatych pod swój dach miejskiej biedoty lub oddanie części pokoiów służącym i ich rodzinom. Chodziło o zlikwidowanie prywatnej przestrzeni i własności. Rodzinę zastąpić miało komunistyczne braterstwo czy organizacja, a jednostka miała wtopić się w kolektyw. Projektowano już budynki eliminujące całkowicie sferę prywatną. Wspólna miała być odzież, pościel, wspólne miało być chowanie dzieci, gotowanie, prace domowe. Wszyscy mieli spać we wspólnej, wielkiej sypialni, a osobne pokoje miały służyć prokreacji. Zaczęto projektować odzież codzienną i ubrania robocze, tak aby znosiły podział na męskie i żeńskie. Ich projektanci, W. Stiepanowa i W. Tatlin, realizowali bolszewickie wytyczne likwidacji różnic płci.

Tworzenie człowieka sowieckiego, nad którym czuwał Trocki, nazwany przez Stalina w 1932 roku „inżynierem dusz

ludzkich”, dokonywało się przy wsparciu radzieckiej nauki i sztuki. Konstruktywiści i futuryści, teatralna grupa Meyerholda i grupy filmowe „Kino – Oko” i S. Eisensteina, „konstruktorzy” i „technicy”, Lewy Front Iskusstw, fotomontażyści od reklam skupieni wokół A. Rodcenki i G. Klucisa, a w końcu El Lisicki – twórca składanego łóżka, praktycznego ze względu na ciasnotę mieszkań i w założeniu umożliwiającego pojedynczej osobie zmianę noclegu i partnera, po to by rozbić burżuazyjną rodzinę – wszyscy oni pracowali nad przeobrażeniem obywatela w nowego sowieckiego człowieka. Bohaterowie *Domu Władzy*

obserwowali bądź uczestniczyli bezpośrednio w tym procesie do czasu wielkiej czystki. Wierzyli, że tworzą lepszy świat. Stary miał przeminąć, zakończyć się katastrofą. Świat ich dzieci miał być już idealny. Katastrofa osobista jednak dotknęła najzagorzalszych wyznawców bolszewizmu, ich rodziny i dzieci. Bolszewicy, wierni swojej religii, także w czasie wielkiej czystki, umierali, wierząc nadal, że ich ofiara jest potrzebna.

Slezkine zwraca uwagę na problem mentalny współczesnej Rosji – niepaństwo. O ile kwestię rewolucji, zmagania białych, bolszewików, eserowców, terroru okołorewolucyjnego już dobrze przepracowano w rosyjskiej historiografii, o tyle wielka czystka pozostaje białą plamą. Lukę tę próbowali zapłacić pisarze radzieccy, np. Jurij Trifonow czy Wasilij Grossman, ale robili to w sposób symboliczny i niewystarczający. Odnoszę wrażenie, że *Dom władzy* jest poniekąd hołdem złożo-

nym Trifonowowi. Był on lokatorem *Domu Władzy*, a w jego powieściach często pojawia się motyw nowego mieszkania i przeprowadzki. Starzy bolszewicy Trifonowa godzinami rozprawiają o przeszłości, ale nie pamiętają. Nie chcą pamiętać. Profesor Ganczuk z *Domu nad rzeką Moskwą* wspomina przeszłość, uznając wszystko ostatecznie za nudne. Dziadek z *Zamiany* powiedział, że nic, „co pozostawił za sobą przez całe swoje niezmiernie długie życie, zupełnie go nie obchodzi”. A babcia Gorika ze *Zniknięcia* nigdy nie wspominała tego, co minione, ale raz powiedziała coś, co niezwykle uderzyło Gorika: „nie pamiętam już mojego prawdziwego imienia i nazwiska. I jest mi to obojętne”.

Tania z *Czasu i miejsca* nie pamięta najważniejszych rzeczy, a historyk z opowiadania *Letnim popołudniem* upamiętnia przeszłość niemającą nic wspólnego ze wspomnieniami jedyne żyjącego świadka wydarzeń. Gienia Klimuk z *Dругiego życia* wierzy, że rolę historyka jest odnaleźć konieczność historyczną, a Grisza Rebrov z *Długich pożegnań* zaczął wreszcie, nie wiadomo dlaczego, mówić o tym, że jedna jego babcia pochodzi z rodziny polskich zesłańców, pradziadek był chłopem pańszczyźnianym, a dziadka za udział w rozruchach studenckich zesłano na Sybir, że jego druga babcia dawała lekcje muzyki w Petersburgu, ojciec brał udział w I wojnie światowej i w wojnie domowej i że to właśnie jest Rosja, i że musiała wycierpieć.

Yuri SLEZKINE, *Dom władzy. Opowieść o rosyjskiej rewolucji. Tom 1: W drodze; Tom 2: W domu; Tom 3: Przed sądem*, tłum. Gabor Chodkowski-Gyurics, Grzegorz Kulesza, Klaudyna Michałowicz, Mateusz Różycki, Dariusz Skotarek, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019.

Humanistyczne laboratorium



Świdrujący dźwięk modemu uruchamiającego w celu połączenia z internetem, koślawą grafiką i równie nieskomplikowaną muzyką towarzyszącą pionierskim grom, dyskiety do zapisu danych... Z dzisiejszej perspektywy to prehistoria, ale dla pokolenia, które jako pierwsze doświadczało komputeryzacji, nie tak znowu odległa, by całkiem zatarła się w pamięci. Sięgając wstecz do początków technologicznej rewolucji, a za „żelazną kurtyną” to określenie nie miało w sobie nic z przesady, niejeden użytkownik „peceta” może przywołać dziesiątki różnych wspo-

mnień. Wspólnym dla nich mianownikiem będzie niepowtarzalność tamtej epoki. Już choćby ze względów czysto technicznych: dziś otaczamy się przecież innym sprzętem, nieporównanie szybszym (inna rzecz, czy aby mniej awaryjnym), bez przerwy aktualizowanym, a do tego funkcjonalnym na tyle, że trudno oddzielić to, co wirtualne, od realnego.

Komputer traktujemy więc dziś jako przezroczyste narzędzie, za pomocą którego piszemy, oglądamy, gramy, komunikujemy się, ale zawsze pozostaje on w tle tych czynności. Dostrzegamy go zazwyczaj dopiero wtedy, gdy szwankuje, zawiesza się, nie działa tak, jak byśmy chcieli. Postawienie go w centrum uwagi – tak jak to zrobił Piotr Marecki w stworzonym przez siebie laboratorium na Uniwersytecie Jagiellońskim – zmienia optykę patrzenia. To trochę tak jak z podróżami. Ileż ekscytacji towarzyszyło im przed laty, głównie z uwagi na ograniczenia i przeszkody, ileż frajdy sprawiało pokonanie nawet krótkiej trasy. A teraz?

Podobnie jak z innymi dziedzinami życia, tak i z kulturą cyfrową: nie da się jej odtworzyć bez owych reminiscencji, własnych przeżyć. Uruchamiając wehikuł czasu, który pozwoliłby na powrót do tamtej niewinnej, jak zwykło się uważać, przeszłości, twórca UBU lab przekonuje, że istotne są nie poszczególne narzędzia – konsole, aplikacje, programy – ale eksperymentowanie za ich pomocą. Za jedną z przywoływanych w książce badaczek amerykańskich można rzec, że komputer jest tu środowiskiem, nad którym, a nie w którym, się pracuje. Porzuca więc pracę z tekstem przy biurku w bibliotece na rzecz doświadczania dzieła na komputerze, który podobnie jak widelec, łyżka czy nóż służy do konsumpcji, tyle że właśnie kultury cyfrowej. Wszelako o ile sztuczce pozostają w gruncie rzeczy niezmiennie, o tyle PC wtedy i obecnie to dwa różne światy.

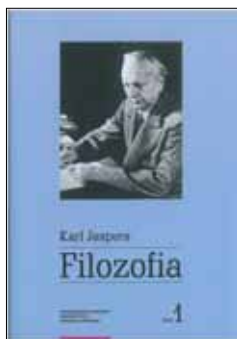
Inspiracja spod znaku „Stars and Stripes”, którą Marecki czerpie z pobytów za Atlantykiem, wyznaczyła mu kierunek działania, z jakim w Polsce wcześniej się nie zetknął. To laboratorium w ujęciu humanistycznym, a więc takie, które „wytwarza relacje między człowiekiem a technologią i może być czytane w kategoriach teorii aktora sieci”. Buduje je na trzech filarach: sprzęcie, co oczywiste, przestrzeni, która jest nie mniej ważna, oraz zespole współpracowników. Gromadzi wokół siebie specjalistów od demosceny, literatury elektronicznej, gier, media artu, czyli tych obszarów, które składają się na pojmowanie kultury cyfrowej. Odtworzenie jej lokalnej specyfiki, zwłaszcza w postaci sprzętu, który dawniej składało się w myśl zasady „zrób to sam”, byle tylko rozszerzyć, ulepszyć, a zamiast oryginalnych monitorów podłączało się ekrany telewizorów, wymaga od zespołu nie lada wyczynów, nieco z przymrużeniem oka przez Mareckiego opisanych.

Jego monografia nie jest ani instrukcją, ani poradnikiem, jak taki media lab stworzyć. To bardziej dokumentacja kilkuletnich prac nad wcieleniem w życie idei, która nie powiela istniejących schematów, przełamuje kanony, idzie na przekór dotychczasowemu myśleniu. Mogłoby się wydawać, że to praca stricte teoretyczna. Ale czyż w pokazaniu, jak rejestrować zmieniający się świat nie słowami, lecz realnym doświadczaniem, nie kryje się choćby nuta empirii?

(karma)

Piotr MARECKI, **Praktyka i eksperyment. Laboratoryjny model humanistyki**, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019, seria: Biblioteka XXII wieku.

Filozof a orientacja w świecie



„Gdyby filozofia jako ryzyko wnikania w niedostępną podstawę pewności człowieka o sobie samym miała być nauką, musiałaby prowadzić do błędów charakterystycznych dla pospolitej prawdy. Filozofii co prawda chodzi o to, by pojąć, co przedmiotem wiedzy musi być w sposób konieczny, ale ani nie powtarza ona tego, co okazało się poznawalne w naukach, ani nie wkracza w grono tychże nauk z własnym przedmiotem i podobnym jak one zamiarem. Od filozofowania nie oczekujemy podobnego zadowolenia, jakie przynosi nam rzeczowa wiedza o przedmiotach tego świata. Będziemy w niej poszukiwali i wymagali od niej czegoś więcej: myśli przekształcającej moją świadomość własnego bytu dzięki pobudzeniu, które pozwala znaleźć siebie w podstawowych popędach, powodujących, że działając jako bycie tu oto, staję się tym, czym jestem. A tego nie zdoła osiągnąć żadna wiedza obiektywna”.

Te zdania to początek przedmowy, którą napisał w 1931 Karl Jaspers do pierwszego tomu podstawowego dzieła noszącego po prostu tytuł *Filozofia*, które ukazało się po niemal dziewięćdziesięciu latach w polskim przekładzie Mirosława Żelaznego, poprzedzone wnikliwym wprowadzeniem tłumacza, w Wydawnictwie Naukowym UMK w Toruniu. Księga monumentalna – ponad pięćset stron formatu B5, a to dopiero pierwsza z trzech części Jaspersowskiej *Filozofii*. „Pisząc swą *Filozofię*, Jaspers nie tworzy jedynej słusznej filozofii, ale daje odpowiedź na cztery charakterystyczne dla każdego myślenia filozoficznego pytania: Co mogę wiedzieć? Co powinienem robić? Czego się mogę spodziewać? Kim jest człowiek? Sformułowanie tych pytań (...) przypisuje się Kantowi. Ich symbolami, określonymi w terminologii Jaspersa mianem szyfrów, są idee: świata, duszy i Boga”.

Pierwsza część *Filozofii*, nazwana przez Jaspersa (*Filozoficzną*) *Orientacją w świecie*, poprzedzona w omawianym tomie czteroczęściowym wprowadzeniem dotyczy świata, czyli całości przedmiotów, które są nam dane. Termin „orientacja” rozumiany jest tu szerzej niż po prostu poznanie – jest to warunek zajścia poznania, możliwość oderwania się od percepcji i stworzenia uogólnień pojęciowych przedmiotów za pomocą tzw. świadomości uogólniającej; „w procesie poznania konkretne zjawiska przetwarza się w idee, kategorie, pojęcia, te zaś syntetyzuje się w ramach teorii, łączonych następnie tak długo, jak tylko się da w teorii wyższego rzędu”.

Na *Orientację w świecie* składa się siedem rozdziałów: *Świat, Granice orientacji w świecie, Systematyka nauk, Zamykająca się orientacja w świecie (Pozytywizm i idealizm), Źródło filozofii, Formy bycia tu oto filozofii i Filozofia w samoodróżnianiu* – już ich tytuły dają możliwość odtworzenia czy przynajmniej wyobrażenia sobie głównego kierunku myśli autora. Nie sposób oczywiście streścić w krótkim tekście niniejszej recenzji zawartości dzieła; to jedynie nieadekwatna zapowiedź, w której zupełnie nie widać, że Jaspers to obok Heideggera największy niemiecki filozof egzystencjalny. Żeby więc jednak połączyć tę prezentację z myślą egzystencjalistyczną, zacytujmy, co pisze we wprowadzeniu tłumacz: „w życiu ludzkim muszą wystąpić sytuacje graniczne: walka, śmierć i wino. W trzecim tomie *Filozofii* Jaspers wprowadził łączące je wszystkie słowo *Schreitern*, które przetłumaczyłem na język polski jako krach (...) Świadomość faktu, że wszystkie nasze dzieła przemijają na naszych oczach, a w końcu przemijają zupełnie, że każde życie (...) kończy się śmiercią, że wymrą nasze dzieci... Jaki miałby być [zatem] jego [życia] cel? (...) Jaspers zdając sobie sprawę, że »woda transcendencji« w tym świecie nie jest nam dostępna w wystarczających ilościach, uważa, że czasami jest nam jednak zaofiarowany jej łyk” jako szyfr transcendencji. Może to dobra, choć, trzeba przyznać, trudna lektura na czas zarazy?

Marek Lechniak

Karl JASPERS, **Filozofia. Tom 1: Filozoficzna orientacja w świecie**, tłum. Mirosław Żelazny, red. nauk. Mirosław Żelazny i Roman Specht, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2019, seria: Klasyka Filozofii.

Zachęta do klasyki



Literaturoznawca o literaturze powinien mówić i pisać zajmująco, z pasją, która się udziela słuchaczowi lub czytelnikowi. Tę zasadę wyznaje Marek Piechota – związany z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach – a ilustruje ją książka *(Nie)zapomniany czar arcydzieł*. Anonim, Barańczak, Camus.... Zebrane w niej szkice napisane są z jednej strony z akademickim pietyzmem, a z drugiej na profesorskim luzie.

Autor pozostaje w kręgu arcydzieł. Rozprawia o należących do nich filologicznych drobiazgach, pokazując ich genezę, znaczenie, dzieje. Z atencją *miłośnika słowa* przywołuje motta, cytaty, definicje, sentencje. Narrację prowadzi tak, jakby miał przed sobą grupę rozkończonych w epice, liryce i dramacie studentów filologii polskiej. W literaturoznawczą refleksję wplata migawkowe wspomnienia o uczestnictwie w spotkaniach naukowych czy dyskusjach o dziełach.

Z książki wyłania się forma uprawiania literaturoznawstwa rozumianego jako dziedzina obcowania z utworami i poprzez utwory, zwłaszcza te arcydziełne. Autor wyjaśnia, referuje, podważa, opowiada, nie roszcząc prawa do ostatecznego rozstrzygnięcia poruszanych zagadnień. Postępuje po trosze jak literat, który snując narrację, posługuje się dowcipem, anegdotą lub własną sentencją, diagnozą współczesności. Stwierdza przenikliwość na przykład: „Żyjemy w paradoksalnych czasach, w których, jak jeszcze nigdy dotąd, tak wielu pisze dla tak niewielu”. Jako obserwator procesu literackiego podpowiada: „Parafraza, pastisz bądź parodia tekstu klasycznego sygnalizuje wyczerpywanie się formuły *Serio*, bywa zwiastunem dekadencji artystycznej i intelektualnej”.

Marka Piechotę widzimy w roli szperacza i detektywa, uważnego i krytycznego czytelnika, dla którego szczegół tekstowy bywa pretekstem do odbicia intelektualnej podróży do źródeł lub weryfikacji rzekomo kiedyś raz na zawsze ustalonych „skrzydlatych słów”, faktów czy interpretacji. W trybie sumowania swojej drogi literaturoznawczej wyznaje: „Od zawsze interesowały mnie dawne fragmenty, drobne artefakty, choćby to były urywki zdań, pojedyncze słowa, niekoniecznie granitowe lub marmurowe wielobarwne kolumny, okazałe *spolia*. Interesowało mnie, skąd pochodziły, jaką uprzednio tworzyły całość. Co współtworzyły”. Co prawda ani razu w tej książce nie występuje nazwisko Zbigniewa Herberta, ale to jego poetycka refleksja trafnie określa motywację, którą kieruje się katowicki badacz: „niebezpieczne są słowa / które wypadły z całości / urywki zdań sentencji / początki refrenu / zapomnianego hymnu”.

W książce znajdują się analizy pierwszych zdań arcydzieł, semantycznych skutków wrywania wypowiedzi z kontekstu. Autor zanurza się w świat przedstawiony *Mistrza i Małgorzaty* Michaiła Bułhakowa oraz *Wojny żydowskiej* Liona Feuchtwangera, próbując odkryć tajemnice związanych z Poncjuszem Piłatem postaci komendanta tajnej służby Afraniusza i centuriona Pedana. Intrygujące jest śledztwo w sprawie rzekomego użycia przez Adama Mickiewicza w inwokacji *Pana Tadeusza* rymów częstochowskich. Literaturoznawca oświetla motyw homerycki w scenariuszu i filmie Krzysztofa Zanussiego *Góry o zmierzchu*. Nie tylko w tym szkicu ukrywa swój cel dydaktyczny, aby wytrwale, najlepiej w oryginale, czytano klasyków.

Książkę kończą szkice spinające współczesność z tradycją. W poezji Wisławy Szymborskiej odsłonięta jest kontynuacja trzynastozgłoskowca, co dowodzi, jak żywotne są rytmyzacje języka poetyckiego. Omówienia ludowych inspiracji w powieści Wiesława Myślińskiego *Kamień na kamieniu* i niesłabnącego pociągu poetów, Stanisława Barańczaka i Tadeusza Kijonki, do pisania sonetów, wieńczą ten tom. Ucieszy on każdego, kto ceni dojrzały warsztat literaturoznawczy i opowieści o tekstach klasycznych.

Zbigniew Chojnowski

Marek PIECHOTA, *(Nie)zapomniany czar arcydzieł*. Anonim, Barańczak, Camus..., Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2019, seria: Prace Naukowe UŚ w Katowicach.

Sztuka ponad granicami



Relacje pomiędzy literaturą a sztukami plastycznymi są od wieków bardzo silne, a przez to oczywiste dla wszystkich. Jednakże, jeżeli dobrze się zastanowić, to za każdym razem rozumienie tych relacji uzależnione jest od całej sieci kontekstów i ich powiązań.

Najbardziej klasycznym jest występująca w kulturze europejskiej kwestia relacji Pisma Świętego i sztuki kościelnej. Na długie stulecia ogromny wpływ miała wyrażona opinia, że malarstwo religijne

to Biblia Pauperum, czyli sposób ukazywania treści religijnych osobom, które nie opanowały sztuki czytania i pisania. Ale nie można też zapominać wcześniejszego, w gruncie rzeczy konstytutywnego dla europejskiej kultury, zdania Horacego: „ut pictura poesis”. Klasyczne przekonanie, że przedmiotem poezji nie może być nic, co nie mogłoby być przedstawione w postaci obrazu lub rzeźby, konstytuowało europejską sztukę przez całe stulecia, stało się jednak dwuznaczne (lub nawet poliwalentne), gdy pojawiła się sztuka abstrakcyjna, a z czasem jeszcze inne wyrazy ekspresji plastycznej. Co w kontekście sztuki współczesnej znaczy, że wiersz powinien być jak malowidło? Wszak bywa, iż malowidła wyzbywają się obrazu, a nawet materii samej.

Tak samo poważne przemiany zaszły w XX i XXI wieku w literaturze. Jej podejście do przedstawianego świata również uległo daleko idącym przemianom. I chociaż pojęcie awangardy inaczej się wyrażało w słowie, to jednak rewolucja formy nie ominęła także i tej gałęzi sztuki.

Próba podjęcia problemu relacji sztuk literackich i plastycznych w czasach, gdy króluje transgresja (nie tylko jako termin, ale praktyka artystyczna oraz interpretacyjna), jest publikacją przygotowana wspólnie przez Muzeum Sztuki w Łodzi oraz Uniwersytet Łódzki. Zebrano w niej czternaście przykładów podejmowania przez wybitnych artystów wyzwań twórczych usytuowanych na granicy pomiędzy różnymi mediami wyrazu artystycznego. Mało kogo dziwi obecność w tym gronie Tadeusza Kantora. Wiedza, że parał się różnymi rodzajami sztuk, jest powszechna. Podobnie rzecz się ma z Themersonami czy Stanisławem Czyczem. Ale już wiedza o pisarskich i teoretycznoliterackich pracach Strzebińskiego nie jest bynajmniej powszechna. W książce znajdujemy także szkice poświęcone artystom o wiele mniej znanym, bowiem Zygmunt Haupt czy Andrzej Partum z całą pewnością nie zajmują należnego sobie miejsca w publicznej świadomości.

Jednakże celem książki była nie tylko prezentacja twórczości szeregu ważnych polskich artystów działających w drugiej połowie XX wieku. Redaktorzy postawili sobie jeszcze inne, bardzo ambitne zadania. Pierwszym niewątpliwie było wskazanie nowych możliwości metodologicznych w badaniach nad sztuką nowoczesną. Zamierzeniem publikacji było odejście nie tylko od klasycznego podziału sztuk, ale też zastosowanie adekwatnej do tego zjawiska metodologii prac. Wskazali na fakt, że awangarda wypracowała nowy charakter korespondencji sztuk – polegającej na „symbiotycznej kooperacji albo hołdowaniu zasadzie multiartystyczności”.

Drugim zadaniem było ukazanie przełamywania granic nie tylko w działalności artystycznej, lecz także jej interpretacji. Autorami są historycy sztuk plastycznych, a także historycy literatury. Zatem – jak widać wyraźnie – przekraczanie granic dokonywane jest nie tylko przez artystów, lecz także przez ich odbiorców.

Chyba najlepiej zagadnienie podjęte w książce oddaje jej tytuł. Dyfuzja jest procesem polegającym na rozprzestrzenianiu i mieszanu się drobin różnych substancji w wyniku ruchu cząstek. Przekraczanie granic dziedzin sztuki jest często niezauważalnym procesem, jednakże niesie za sobą dalekosiężne skutki.

Juliusz Gałkowski

(Dy)fuzje. Związki literatury i sztuki w Polsce po 1945 roku, pod red. Magdaleny LACHMAN i Piotra POLITA, Muzeum Sztuki w Łodzi, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019.

Humanistyczny plankton

Nie znałem użytego w tytule, uroczego określenia, które znalazłem w zajmującym i niezwykle przekonującym artykule Wojciecha Włoskowicza *W oparach nowomowy* (FA 3/2020). Humanistyczny plankton... Otóż uświadomiło mi to, że do planktonu należą wszak pierwotniaki, które zamieszkiwały naszą planetę jakieś pół miliarda lat temu, gdy tymczasem historia homo sapiens, stojącego jakoby na szczycie piramidy ziemskiego królestwa organizmów żywych, liczy sobie latek ledwie jakieś 190 tysięcy. Zważywszy przy tym, że człowiek wyewoluował – jeśli Darwin ma rację – z owych drobnych i pradawnych istotek, jedno przynajmniej jest im winien: szacunek dla odległego przodka, zgodnie z przykazaniem mówiącym, że ojca i matkę czcić należy. Tyle w sprawie planktonu.

A teraz zajmijmy się przydawką przymiotną „humanistyczny”. W tym wypadku należy to określenie pojmować jako dziedzinę zajmującą się sprawami ludzkimi, człowiekiem zaś

hyle, czyli pierwszą materią (którą zresztą na ogół obdarzali pierwiastkiem duchowym – czy to Anaksymenes, czy Heraklit), ani nawet wtedy, gdy dwa tysiące lat temu Lukrecjusz w swej *De rerum natura* wykoncypował istnienie atomów.

No tak, brakuje jeszcze tego, bym napisał, że wszystko zaczęło się od poezji... Ale oczywiście to prawda: zaczęło się od poezji, od magicznych zaklęć, różnych czary-mary i tym podobnych „bzdur”. Nic w tym dobrego i nic w tym złego. Lecz kiedy piszę „wszystko”, to piszę właśnie to, o co chodzi: myślenie, kreowanie, konstruowanie, planowanie. Nie ma nauki bez wyobraźni. To ona uruchamia bożka naszej – powtórzę za Włoskowiczem – „innowacyjności”, jest tym, co inspiruje. I może warto uświadomić naszym milusińskim od reform naukowych, że wszelka nauka to w ostatecznym rachunku... humanistyka. Jest działaniem człowieka dla człowieka, z myślą o człowieku. Nawet wówczas, gdy sobie z tego nie zdajemy sprawy. Cóż, wciąż nie brakuje takich, co nie są świadomi faktu, że mówią prozą... Tymczasem ja, lecąc kiedyś samolotem, gdy zabrakło mi płynu, zamówiłem u stewardesy whisky, i gdy mi ją przyniosła, poczułem wdzięczność dla nieznanego mi człowieka, który zaprojektował przezroczystą plastikową szklaneczkę. Jej kształt sprawił mi przyjemność. Wiem, że nie myślał o mnie, ale ważne, że ja pomyślałem o nim; ważne dla mnie...

„Bo to niezrozumiałe...”. Takie rzeczy też się słyszy o poezji czy humanistycznych esejach. I to prawda, nie wszystko dla wszystkich jest zrozumiałe. Przypuszczam, że jakieś 99,9% ludzi na świecie nie jest w stanie pojąć artykułów publikowanych w „Studia Mathematica”, nie mówiąc już o wyspecjalizowanych czasopismach poświęconych problemom logiki pytań, ale większość z nich zapewne odczuwa wdzięczność dla twórców telefonów komórkowych. A w stronę humanistyki to też tak działa: bez treningu trudno czytać niektóre wiersze, co nie znaczy, że są bez znaczenia (choć, oczywiście, bywają, ale to zdolny jest ocenić profesjonalista). Lecz z kolei nie raz wiersze – czasem z towarzyszeniem muzyki – okazują się potrzebne. A czasem – rzadko, jak to było w okresie sierpniowego strajku w stoczni gdańskiej – wiersze zaczynają pisać ci, którym by to wcześniej do głowy nie wpadło, gdyż tylko tak są w stanie dać wyraz swym przeżyciom.

Nie wiem, czy Lukrecjusz – lub jego współczesny odpowiednik (a są tacy) – wydany na łup naszych naukowych urzędników, otrzymałby choć pół złamanego punkcika. Raczej nie. Na pewno nie. I w tym kontekście warto przeczytać słowa kluczowe dla artykułu Wojciecha Włoskowicza: „Oczywiście wojna na i o wartości życia naukowego od dawna tliła się gdzieś w tle, ale w kontekście Ustawy 2.0 rozgorzała na dobre. Jedną z przyczyn jest to, że bibliometryczne wskaźniki, które mniej lub bardziej udatnie opisują obieg wiedzy w naukach ścisłych i przyrodniczych, przemocą próbuje się rozciągać także na humanistykę”. Przeciwdziałać takim zabiegom należy zawsze, bo są i głupie, i niemoralne. Jeśli tego nie będziemy czynić, możemy się z jękiem bólu ocknąć ze snu o innowacyjnościach z parafrazą wiersza Konstantinosa Kawafisa na ustach: „Bez humanistów, cóż pocniemy teraz? Ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem...”.



Rafaël Santi, *Szkoła ateńska*

w szczególności. Wielu poważnych skądinąd i legitymizujących się uznanym dorobkiem przedstawicieli dziedziny przyrodniczych, ścisłych bądź po prostu technicznych ma tendencję do traktowania dyscyplin humanistycznych z poczuciem pewnej wyższości, by nie powiedzieć w sposób autorytatywny bądź wręcz patriarchalny. Można od biedy to zrozumieć: kompleks niższości musi znaleźć ujście. Tyle że to kompleks nieuświadomiony, a w dodatku niepotrzebny. To tak, jakby Pitagoras lub Euklides mieli kompleksy wobec Łobaczewskiego bądź Riemanna, zaś Newton wobec Einsteina – albo, co gorsza, na odwrót. Po prostu „unaukowienie” dziedzin przyrodniczych czy technicznych jest historycznie nieco późniejsze – przynajmniej w naszej cywilizacji – od humanistycznych. Fizykom nie mogła śnić się fizyka w czasie, gdy presokratycy zajmowali się prote

Koronawynalazki



Fot. PSI

Specjalną bramę, która pozwala personelowi ratownicemu odkażać kombinezony ochronne, opracowali pracownicy i absolwenci Wydziału Inżynierii Środowiska i Energetyki Politechniki Śląskiej. Pierwsza tego typu komora stanęła na Oddziale Zakaźnym Szpitala Specjalistycznego nr 1 w Bytomiu.

Naukowcy z MAB AstroCeNT przy Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie uczestniczą w projekcie nowego respiratora MVM. Został wymyślony i zaprojektowany przez międzynarodowy zespół fizyków cząstek. Polacy odpowiadają za kontrolę jakości oprogramowania respiratora, w tym proces rozwijania i testowania kodu, który musi spełniać normę ISO wymaganą do certyfikacji przez amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków (FDA).

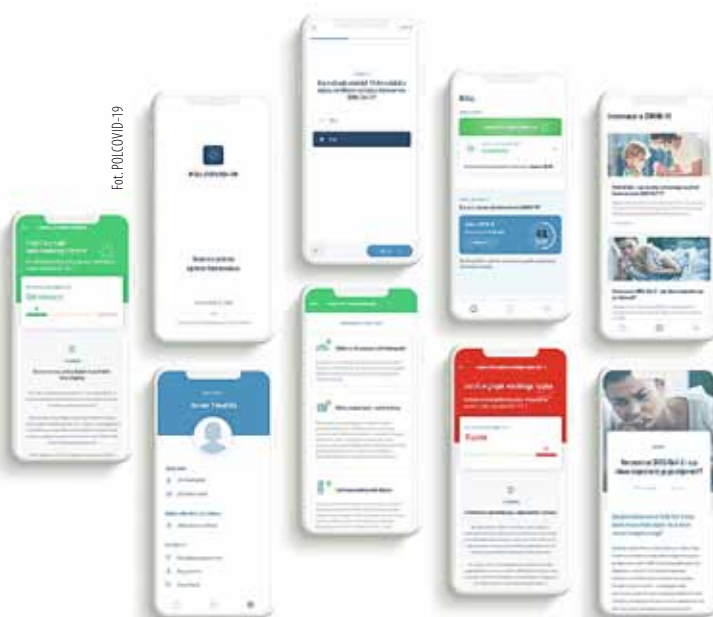


Fot. MVM



Fot. PWSZ Jarosław

W Katedrze Elektrotechniki Wydziału Politechnicznego Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Tarnowie zaprojektowano stanowisko do pomiaru temperatury ciała na odległość. Wystarczy, że badana osoba zatrzyma się na kilka sekund w odległości około 2 m przed okiem kamery termowizyjnej.



Fot. POLCOVID-19

Naukowcy z Uniwersytetów Medycznych w Białymstoku i Wrocławiu stworzyli aplikację, która oblicza ryzyko zakażenia koronawirusem w poszczególnych rejonach Polski i pokazuje, gdzie jest najwięcej osób z objawami COVID-19.



Fot. PL

Prototyp respiratora zbudowali inżynierowie Politechniki Lubelskiej przy współpracy z naukowcami Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. To niskobudżetowe urządzenie służące do wspomagania oddychania u osób z niewydolnością oddechową występującą np. w przypadku zarażenia wirusem Covid-19. Powstało przy wykorzystaniu tanich, powszechnie dostępnych materiałów oraz elementów wydrukowanych na drukarkach 3D.

Dyplomatorium on-line

Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie stanęła przed nie lada problemem: zakończył studia rocznik pielęgniarstwa, który rozpoczął kształcenie w roku akademickim 2016/17. Lokalne szpitale czekały na absolwentów, tymczasem zaczęły się ograniczenia epidemiczne. Postanowiono zatem dyplomy wręczyć... zdalnie, nie rezygnując jednak z uroczystości. Na dokumenty czekało 76 absolwentów, w tym 3 mężczyzn. Dyplomy ukończenia studiów pierwszego stopnia z wyróżnieniem uzyskało 16 absolwentów, sześcioro zostało wyróżnionych za pracę licencjacką, a dyplomy uznania za działalność w Studenckim Kole Naukowym Honorowych Dawców Krwi i Potencjalnych Dawców Szpiku zdobyło 9 absolwentów.

Dyplomatorium – wręczenie dyplomów przez rektora – odbywa się zwykle w maju. – W tym roku przyspieszyliśmy przekazanie dyplomów ze względu na prośby ze strony placówek służby zdrowia – mówi dr Dominik Wróbel, prorektor ds. studiów KPU. Absolwenci już w kwietniu przekazali drogą elektroniczną wnioski o wysłanie dokumentów pocztą. Uczelnia wysłała je za zwrotnym potwierdzeniem odbioru

w dniach 23-24 i 27 kwietnia. Natomiast 29 kwietnia w rektoracie odbyło się uroczyste dyplomatorium on-line. Kilka osób uczestniczyło w nim osobiście z zachowaniem wymogów epidemicznych. Obowiązywały stroje formalne: togi, czapki studenckie, insygnia rektorskie. W sali obecni byli: prof. Grzegorz Przebinda, rektor, prorektorzy D. Wróbel i Zbigniew Barabasz oraz kanclerz KPU Franciszek Tereszkiwicz. Przybył prezydent Krosna Piotr Przytock. Osobiście stawiły się też trzy absolwentki: Joanna Leśniak, Sabina Nowak i Agnieszka Górczyca, która zabrała głos w imieniu dyplomantów.

On-line uczestniczyło w spotkaniu więcej osób. Trwały równocześnie dwie sesje, wyświetlane na dwóch monitorach. Za pośrednictwem jednej z salą łączyli się ministrowie Wojciech Murdzek i Anna Budzianowska oraz kierowniczka Zakładu Pielęgniarstwa mgr Małgorzata Dziura i kilkoro wykładowców, m.in. prof. Danuta Zarzycka. Drugie łącze umożliwiło śledzenie uroczystości absolwentom i pozostałym wykładowcom pielęgniarstwa.

(mit)

